22 lipca

huta katowice

● CZY ZNAMY JANA MATEJKĘ?
● ZAGADKI STAROŻYTNEJ ARCHITEKTURY ● TURYSTYKA

ODGŁOSY

ROK XIX NR 30 (972) 22 LIPCA 1976 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

POLSKA–76

JACEK INDELAK

NA WIELKĄ SKALĘ

Kilkanaście miesięcy temu zjechały pod Oświęcim ekipy budowlane. Zjechały z ciężarówkami, z ciężkim sprzętem budowlanym. Ludzie przegrodzili żelazem i betonem Sołę. Postawili tamę, zalali betonem brzeg rzeki, puścili pod ziemią potężne rury, kamienie z dna potoku nakryli stalową siatką, spiętrzyli wody Soły z jednej strony, z drugiej — wypuścili niewielki potoczek.

Wielka budowa wdarła się w wiejski pejzaż. Nie krzywdują sobie jednak miejscowi gospodarze. Bo przecież latem zjeżdżać będą wczasowicze, kwater szukać, mleko i jajka kupować. A do tego wiosną i jesienią spać będzie można spokojnie: **już nigdy wielka woda nie zaleje pól uprawnych.**

Nie opodal brzegu Soły wyrosły murowane budynki. Wchodzimy do największego, ma niewielkie okna u powały, niczym potężny bunkier. Pod strop wysokiej hali niesie się odgłos kroków. Przez uchylone drzwi dobiegają jakieś dźwięki. Za drzwiami — półmrok. Jedna ściana pulsuje kolorowymi światełkami. Dziesiątki pokręteł, lampek kontrolnych i przyrządów pomiarowych, nasuwających skojarzenie z mózgiem elektronowym.

Brygadzista — **Jan Szymakowski**, w towarzystwie elektryka — **Józefa Kręcicha** i maszynisty — **Józefa Stachury**, pełni dziś dyżur, obserwując tablicę dyspozytorską. Palą się światła kontrolne, lekko drgają wskazówki zegarów, rozlega się cichutkie buczenie. Dyspozytornia działa. Cała instalacja pod prądem. Maszyny gotowe do pracy.

Jan Szymakowski i jego koledzy wspominają datę 29 kwietnia tego ro-

Dalszy ciąg na str. 3

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

ZAPISKI Z CZARNEJ ZIEMI (2)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

DUŻO WIĘCEJ NIŻ FABRYKA

Najtrudniej jest zacząć dzień, a potem to już idzie — powiada IWAN WUSIK, przewodniczący kołchozu „PAŹDZIERNIK". Siedzimy na razie w jego kwaterze głównej, to się zawsze tak zaczyna. Meble na wysoki połysk, taka moda, ale to są meble nowoczesne, bardzo funkcjonalne. Na ścianach dyplomy uznania, w gablotach nagrody — puchary, postumenty, robotnicy z brązu. Co jakiś czas wpadają w pilnych sprawach pracownicy biura kołchozu, zauważam więc przy okazji, że w modę wchodzą lakierki. Na biurku bateria telefonów, mikrofony, tablica rozdzielcza. Przewodniczący ma do dyspozycji radiostację.

Stanica nazywa się **Stara Wieliczkowskaja**. Liczy 10,5 tysiąca mieszkańców, z tego 7,5 tysiąca pracuje w kołchozie. Można więc powiedzieć, że inżynier Wusik dowodzi dywizją czasu pokoju, rozrzuconą na 14,5 tysiącach hektarów, uzbrojoną w 70 kombajnów, 100 samochodów, kilka autobusów pasażerskich, mikrobusów i samolot. Są także wołgi. Sztab składa się z 68 specjalistów z wyższym wykształceniem i 105 ze średnim. Pytam:

— Jakże to z tym początkiem dnia?

— **Zacząć dobrze dzień znaczy tyle, co uruchomić sprawnie całą dywizję, dopilnować, aby w porę podwieziono brygady na tereny rozmaitych upraw, do ferm ptasich, mlecznych, hodowlanych, do rozległych sadów i warzywników, do winnic, znaczy sprawdzić, czy wszystko „gra" w przetwórni owoców i warzyw, ale także w żłobku, przedszkolu, szpitalu, w domu dla starców i wdów. Kołchoz to skomplikowana machina, wypełnia równocześnie wiele funkcji, jest całością. Rano ruszają także na motocyklach niżsi członkowie sztabu, doglądają powierzonych im odcinków, w newralgicznych punktach pracują nadajniki, a jak już koniecznie trzeba — startuje samolot, używany najczęściej do rozsiewania nawozów. Informacja o stanie prac, zagrożeniu, prośby o pomoc, muszą na czas trafić do centrali. Można więc powiedzieć, że połowę sukcesu gwarantuje mądry podział pracy, sprawna organizacja. A reszta zależy od ludzi, od ich pracy.**

Inżynier Iwan Wusik nie sprawia wrażenia człowieka energicznego i wygadanego. Jest skromny, mówi jakoś tak przepraszająco i tylko to, co jest konieczne, ale to jeden z pierwszych gospodarzy na Kubaniu. Woził nas po stacjach maszyn, fermach, zajrzeliśmy na nieco dłużej do winnicy, cóż, proces wytwarzania wina jest skomplikowany i wymaga czasu. Przewodniczącego wszędzie witano z szacunkiem. Ludzie pamiętają jeszcze dawne biedy, tęgi bałagan, liche zarobki, sypiące się domy w stanicy. To nie było tak znowu dawno temu. A teraz zarobek wynosi przeciętnie 6 rubli, 72 kopiejki dziennie. Rzadko spotykana dniówka, a trzeba brać pod uwagę deputaty, możliwość zakupu w magazynach kołchozu różnych artykułów żywnościowych po niskich cenach. No, ale tak wysoką dniówkę można otrzymać, cieszyć się nią po dobrej pracy, można jednak wylecieć z kołchozu za obijanie boków. Jeżeli na pierwszych latach „Października" ciążył może cień przymusu, to teraz niemal zaszczytem jest należeć do zamożnej społeczności kołchozowej.

Pod kwitnącą akacją, pod wiekowym platanem jemy typowy obiad kozacki, zwykłe niewyszukane osiem dań, rozcieńczone wytrawnym winem własnej produkcji. Okazuje się już przy pierwszym daniu, że młodziutki sekretarz organizacji komsomolskiej nie może zrozumieć kłopotów, występujących na naszej wsi. Brak ludzi, mało młodzieży? Dziwne, nie chcą dobrze zarabiać i to na świeżym powietrzu? I opowiada o swoich podopiecznych. Młodzi dostają kredyty przedmałżeńskie, każdego wianuje się nowym domem, budowanym z szacunkiem dla tradycji, bogato rzeźbione okiennice, słoneczne ganki, jakże może brakować młodzieży w takich warunkach? Inżynier Iwan Wusik dodaje skromnie, właściwie to jest tak, że dobrze gospodarujący kołchoz wszystko może, a myśli o swojej fabryce domów i słynnej brygadzie, wyspecjalizowanej w krzyżowaniu nowo-

Dalszy ciąg na str. 6

TELEWIZJA

NA UPALNE NOCE

A więc zaczęło się. Dokładnie w sobotę, 17 lipca 1976 roku, chociaż TVP „Studio olimpijskie" uruchomiła już znacznie wcześniej i zrobiła słusznie. Ale od 17 lipca 1976 roku wszystko dzieje się pod znakiem Olimpiady. Niedzielny program też był pod znakiem Olimpiady, choć do późnego wieczora o Olimpiadzie w Montrealu nie mówiło się wiele. Kibice cieszyli się na dużą porcję sportowych wrażeń i martwili się, czy będzie transmisja meczu piłkarskiego Polska — Kuba. Bezpośredniej transmisji nie było, za co Tomasz Hopfer serdecznie przepraszał, choć to nie wina TVP.

Przez dwa tygodnie mamy sposób na upalne noce i dla tych, którzy cierpią na bezsenność — transmisje telewizyjne z Montrealu. To, co nam pokazano w niedzielę, jest tylko zapowiedzią tego, co nas dopiero czeka. Pamiętajmy, że niedziela była tylko pierwszym dniem Olimpiady. Przyjdzie więc jeszcze czas na zmęczenie sportem olimpijskim i na ocenę „Studia olimpijskiego" TVP.

Dla tych, których sport nie interesuje, a okazuje się, że są tacy, co nam nawet w niedzielę pokazano w „Studio olimpijskim", i dla tych, którzy interesują się nie tylko sportem, TVP nadaje też inne programy. Na przykład blok programowy „Tylko w niedzielę".

Na początku, gdy narodziło się „Studio 2", powszechnie niemal psioczono na tego rodzaju pomysł. Czy pomysł był zły? Okazało się, że nie. O co więc chodziło? O zgrupowanie w jednym dniu wielu różnych, interesujących audycji. Propozycja „Studia 2" zyskała szybko uznanie i choć nie jestem pewny, czy ludzie z niecierpliwością oczekują na wolną sobotę, aby znów zasiąść przed szklanym ekranem i oglądać z zainteresowaniem program „Studia 2" to wiem na pewno, że taka ewentualność nie wywołuje sprzeciwu, wstrętu, czy obrzydzenia. „Studio 2" cieszy się uznaniem.

Wprawdzie po wcześniejszej jakby euforii pomysłów, „Studio 2" wydoroślało, ustabilizowało się i nabrało dostojności, ale to się nawet widzom podoba. Telewidz lubi bowiem, kiedy traktuje się go poważnie. Lubi wprawdzie, żeby było też „coś do śmiechu", ale nie za bardzo, bo musi być też „coś do łez", o miłości. Więc „Studio 2", jakby wyczuwając te zapotrzebowania telewizyjnej widowni, stara się serwować swoim sympatykom pomysły dojrzałe, w dobrym gatunku, stara się bawić ucząc i uczyć bawiąc. Trudna to sztuka, ale jakoś wychodzi. Sam byłem świadkiem, kiedy w którąś wolną sobotę, biesiadnicy zażądali przerwania imieninowej uroczystości i domagali się zgodnym chórem dalszego ciągu spotkania z Aleksandrem Bardinim.

Mogłoby się wydawać, że kiedy Naczelna Redakcja Publicystyki Kulturalnej pozazdrościła sukcesu twórcom „Studia 2", to nic z tego nie wyjdzie. Ale wydaje się, że jednak wyszło. Program „Tylko w niedzielę" zbudowano w zupełnie inny sposób. I bardzo dobrze. Ma on bardziej bawić, jest pomyślany, jako program z przechyłem na rozrywkę, ale tę — jak to się u nas mówi — kulturalną. Sporo jest w tym programie dobrej zabawy, ale myliłby się ten, kto sądziłby że twórcom „Tylko w niedzielę" chodzi wyłącznie o zabawę. Stosują oni również tę samą zasadę, co „Studio 2": bawią ucząc i uczą bawiąc, tylko, że robią to inaczej. I w tym cała różnica i zasługa.

Chciałbym jeszcze tylko zwrócić uwagę że program telewizyjny na bieżący tydzień zapowiada się interesująco ale interesujące rzeczy dziać się na telewizyjnym ekranie będą nie tylko przed południem, w południe i wieczorem, ale także we wszystkie upalne noce. Życzę dobrego odbioru i aby nie było zakłóceń na linii Montreal — Warszawa!

ADAM KOT

SPORT

DZIEŃ PIERWSZY

Uroczystość otwarcia Igrzysk Olimpijskich jest niewątpliwie widowiskiem barwnym (dla tych, którzy mają kolorowe telewizory), wzruszającym, ale też trochę monotonnym. Zasiadając przed telewizyjnym ekranem, człowiek obiecuje sobie Bóg wie co, a później do siebie niech tylko ma pretensje, że się rozczarował. Mnie rozczarowała nasza ekipa, ale jest to tylko moja sprawa, myślałam bowiem, że nasi reprezentanci wyjdą w uroczych kapeluszach, a la mój ulubiony aktor Humphrey Bogart, ale, nie, pomaszerowali z gołymi głowami.

Nie było to jednak jedyne rozczarowanie, choć i tak wyniki pierwszego dnia trzeba ocenić pozytywnie. Odłóżmy jednak rozczarowania na później, a zajmijmy się tym, co spełniło nasze oczekiwania. Spełnili je **piłkarze.** Inauguracyjny mecz na montrealskim stadionie nie rozczarował mnie. Od dawa wiadomo było, jak nasza reprezentacyjna drużyna gra i trzeba było być niepoprawnym optymistą, aby mieć nadzieję, że w Montrealu zagrają inaczej. Chciałabym być jednak sprawiedliwa i dlatego przypomnę, że na otwarciu Mistrzostw Świata w Monachium, mecz inauguracyjny między drużynami Brazylii i Jugosławii też zakończył się wynikiem bezbramkowym i nie stał na zbyt wysokim poziomie

Ale nie zapominajmy też, że Brazylia i Jugosławia sprzed 4 lat były to zespoły o wyrównanym poziomie, które wiele miały do powiedzenia w całych mistrzostwach. Zespół Kuby — jak to oceniają fachowcy — nie należy do najsilniejszych, dopiero szlifuje swoje umiejętności. Kubańczycy jednak odważnie poczynali sobie z naszymi chłopcami i niewiele brakowało, aby ich załatwili odmownie. Na dalsze szanse naszego zespołu staram się patrzeć raczej realnie, a martwi mnie głównie to, co będzie po olimpiadzie, kto będzie bronił piłkarskiego honoru w rozgrywkach do kolejnych Mistrzostw Świata?

Nie rozczarowali **siatkarze,** choć początek był niemal tragiczny, ale i przeciwnik silny, marzący o złotym medalu, pogromca Japonii. Z Koreańczykami Polacy przegrali w Monachium i słuchając radiowego sprawozdania z przebiegu tego meczu, można było poważnie martwić się o wynik. Ale nie. Polacy pozbierali się i wygrali. Nie był to dla nich łatwy mecz, ale przynajmniej pokazali, że potrafią przełamywać kryzysy, potrafią zwycięsko wychodzić z trudnych sytuacji. Jak na pierwszy dzień XXI Olimpiady w Montrealu, to bardzo duzo.

Nie rozczarowali też **kolarze.** Wprawdzie po cichutku ten i ów marzył o złotym medalu. Ale nie przesadzajmy. Srebro też jest dobre i nie jest to tylko pocieszanie. Kolarze pokazali, że są nadal na takim samym poziomie, potwierdzili swój sukces z Monachium, a czas dzielący ich od złotego medalisty zmniejszyli z 30 sekund w Monachium do 20 sekund w Montrealu. Wypada im szczerze pogratulować, ale nie tego, że pojechali o 10 sekund szybciej, tylko tego, że potrafili potwierdzić i swój poziom, i swój sukces. To powinno się liczyć.

Nie zawiódł **Ryszard Żugaj,** który wprawdzie zakwalifikował się tylko do półfinału, ale za to dwukrotnie pobił rekord Polski, ustanawiając go na poziomie 59,90 sekund.

Ale to był tylko pierwszy dzień XXI Igrzysk Olimpijskich. Zainaugurowaliśmy srebrnym medalem. Jak na początek, dobre i to. Nie był to zły początek, choć nie ukrywam, że spodziewaliśmy się lepszego. Co będzie dalej? Zobaczymy.

32 ROCZNICA

POCZĄTEK

22 lipca 1944 roku ogłoszono Manifest PKWN.

„Rodacy w kraju i na emigracji!

Polacy w niewoli niemieckiej!

Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska, obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary".

Tak zaczynał się ów Manifest, który zwiastował Polakom nie tylko wolność, zapowiadał zbliżający się koniec wojny, ale przynosił też wyzwolenie społeczne. Zapowiadał przeprowadzenie reformy rolnej, bezpłatną, powszechną oświatę. Wzywał do odbudowy zniszczonego kraju.

Działo się to 32 lata temu, kiedy na ziemie polskie wkroczyły wojska radzieckie i polskie. Dla wielu współczesnych Polaków jest to już historia. Urodzili się i wychowali w Polsce, która rozwijała się i zmieniała w oparciu o realizowane zapowiedzi Manifestu PKWN. Kształcili się już w Polsce Ludowej, budującej społeczeństwo socjalistyczne.

32 lata, to okres w życiu narodu niewielki. Dla Polski Ludowej był to okres brzemienny w zmiany, przeobrażenia. Odbudowaliśmy zniszczony wojną kraj, zagospodarowaliśmy odzyskane ziemie nad Odrą, Nysą i Bałtykiem, zbudowaliśmy podstawy nowoczesnej gospodarki.

Proces przeobrażeń, zapoczątkowany 32 lata temu, w lipcu 1944 roku, trwa nadal. VII Zjazd PZPR — partii, która jest inicjatorką społecznych i gospodarczych przemian zachodzących w Polsce — nakreślił program tworzenia rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. A stało się to możliwe dlatego, że właśnie 22 lipca 1944 roku w Chełmie Lubelskim Manifestem PKWN zapoczątkowano proces socjalistycznych przemian.

Każdego roku w lipcu przypominamy sobie tamte dni i wydarzenia, kiedy wszystko było pierwsze w wolnej Polsce, i choć n a s z p o c z ą t e k coraz bardziej oddala się w przeszłość, przechodzi do historii, to przecież wszyscy pamiętamy, że nasza teraźniejszość zaczynała się wówczas, w lipcu 1944 roku, na skraju wolnej polskiej ziemi, kiedy jeszcze trwała wojna, kiedy Warszawa była w ręku wroga. Ale wszyscy wówczas wierzyli, że ostateczna rozprawa z faszyzmem już niedługo, że nadejdą dni pokojowego odtwarzania tego, co zniszczyła wojna i budowania nowego. Taki był n a s z p o c z ą t e k, o którym zawsze będziemy pamiętać. Był to początek naszej teraźniejszości i przyszłości.

GRATULACJE!

Z okazji 32 rocznicy odrodzenia Polski Ludowej, przyznano nagrody państwowe. Wśród laureatów znaleźli się:

— Prof. dr hab. **STANISŁAW KALABIŃSKI,** który otrzymał nagrodę I stopnia za badania naukowe nad klasą robotniczą i ich syntezę zawartą w pracach: „Polska klasa robotnicza" i „Polska klasa robotnicza — zarys dziejów".

— Prof. dr hab. **EDWARD ROSSET,** nagrodzony również nagrodą I stopnia za dzieło „Demografia Polski".

— Twórcy metody i maszyn do bezwrzecionowego przędzenia włókien metodą wiru stacjonarnego: doc. dr **RYSZARD JÓŹWICKI,** doc. dr **WACŁAW ANKUDOWICZ,** technik **TADEUSZ FILIPCZAK,** inż. **JERZY JABŁKIEWICZ,** doc. dr **TADEUSZ JĘDRYKA,** dr inż. **HENRYK KUBICA,** technik **JÓZEF ŁASKI,** mgr inż. **JAN PACHOLSKI.** Otrzymali oni również nagrody I stopnia.

Za całokształt twórczości, nagrody I stopnia otrzymali: **BOHDAN CZESZKO** i **STANISŁAW LEM,** II stopnia — **RYSZARD KAPUŚCIŃSKI** — reporter, **JULIAN KAWALEC** — pisarz i **MIECZYSŁAW FRANCISZEK RAKOWSKI** — publicysta.

Wśród laureatów nagród państwowych I stopnia znalazł się też wybitny aktor i pedagog — prof. **JAN ŚWIDERSKI.** Taką samą nagrodę uzyskali twórcy filmu „Noce i dnie": **JERZY ANTCZAK, JADWIGA BARAŃSKA** i **JERZY BIŃCZYCKI.** Nagrodę II stopnia otrzymał zespół realizatorów i wykonawców serialu telewizyjnego „Dyrektorzy": **ZBIGNIEW CHMIELEWSKI, HENRYK BĄK, JERZY JESIONOWSKI, ALEKSANDER MINKOWSKI, JAN NOWICKI, MIKOŁAJ SPRUDIN, ANDRZEJ SZYPULSKI.**

WSZYSTKIM LAUREATOM nagród państwowych składamy serdeczne gratulacje.

Gratulacje należą się też tym, którzy otrzymali wyrazy uznania, dyplomy i nagrody ministra spraw zagranicznych za propagowanie polskiej kultury i polskiego sportu za granicą w 1975 roku.

Dyplomy uznania otrzymali: **Mieczysław Fogg, Władysław Hasior, Kazimierz Kord, Stanisław Lorentz, Piotr Paleczny, Irena Santor, Józef Szajna i Andrzej Wajda.** Dyplomy otrzymał też zespół twórców popularnego serialu dla dzieci „Bolek i Lolek", pracujący pod kierunkiem **Władysława Nehrebeckiego** oraz **ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA IM. SZYMONA HARNAMA** z Łodzi.

Nagrodę ministra spraw zagranicznych za wybitne osiągnięcia sportowe otrzymał zespół kobiecej wyprawy alpinistycznej w góry Karakorum, kierowany przez **Wandę Rutkiewicz.**

NAUKA

BIAŁKO Z ALKOHOLU

Poszukiwania nowych źródeł białka, objęte jednym z siedmiu rządowych programów naukowo-badawczych, przynoszą już konkretne rezultaty. Otrzymane przez gdyńskich naukowców białko spożywcze z ryb będzie wkrótce produkowane na skalę przemysłową. W Politechnice Łódzkiej zespół naukowców kierowany przez prof. BOLESŁAWA BACHMANA dokonał niedawno dzieła nie mniejszej wagi — opracował technologię otrzymywania bogatych w białko drożdży paszowych z metanolu. Niestety, przemysł nie wykazuje jeszcze należytego zainteresowania tym, zaryzykuję twierdzenie — rewelacyjnym osiągnięciem.

DLACZEGO WŁAŚNIE DROŻDŻE?

Deficyt białka zmusza do poszukiwania jego nowych źródeł. Muszą to być źródła wydajne. Chodzi o to, by możliwie najtaniej i najszybciej uzyskać jak największe ilości białka. Jest ono, jak wiadomo, złożoną substancją organiczną wytwarzaną przez organizmy żywe; jest jednym z podstawowych składników każdej żywej komórki. Drożdże i bakterie mają niebywałą zdolność wyjątkowo szybkiego rozmnażania się. Czas podwojenia biomasy drożdżowej wynosi około dwóch godzin. Oznacza to, że tyle czasu potrzeba, aby z jednej komórki powstały dwie, z jednego kilograma — dwa kilogramy drożdży, a każdy nowy kilogram — to pół kilo białka. Prosty rachunek wskazuje, że gdyby proces rozmnażania drożdży przebiegał w sposób nie ograniczony warunkami zewnętrznymi, w ciągu doby można by otrzymać dwie tony białka z jednego kilograma drożdży.

Przy produkcji drożdży konieczna jest tzw. pożywka, którą obecnie stanowi melasa lub jej wywar. Będąca odpadem przemysłu cukrowniczego melasa jest surowcem deficytowym. Znaczne jej ilości pochłania przemysł fermentacyjny. Ponadto jest ona cennym komponentem paszowym. Nic więc dziwnego, że zaczęto szukać nowych, nie wymagających stosowania melasy sposobów hodowli drożdży.

Naukowcy dawno już zauważyli, że można otrzymać drożdże ze składników i związków pochodnych gazu ziemnego, ropy naftowej itp. Jednak nie wiązano z tym możliwości produkcji na skalę przemysłową. W Instytucie Technologii Fermentacji i Mikrobiologii Politechniki Łódzkiej zerwano z tradycyjnym podejściem do technologii drożdżownictwa. Wyniki otrzymane przez dr **Adama Pizło,** a przedstawione w jego rozprawie doktorskiej, stały się zachętą do prowadzenia dalszych prac badawczych w tym kierunku. W efekcie, po trzyletnich badaniach, opracowano technologię produkcji drożdży paszowych (Torulopsis, Candida) z alkoholu metylowego zwanego też metanolem.

W tym miejscu należy się pewne wyjaśnienie Czytelnikowi znającemu alkohol metylowy jako substancję silnie trującą, której spożycie poważnie zagraża zdrowiu i życiu nie tylko ludzi, ale i zwierząt. W stosunku do drożdży podobne obawy są, jak twierdzi profesor Bachman, bezpodstawne, gdyż reakcje, jakim podlega metanol w procesie rozmnażania drożdży, prowadzą do powstania związków o zgoła odmiennej strukturze chemicznej, całkowicie bezpiecznych dla organizmu. Prowadzone właśnie badania w Zakładzie Bromatologii Akademii Medycznej w Łodzi nie wykazały dotychczas żadnych szkodliwych właściwości drożdży z metanolu.

Bez obaw mogłem więc degustować owoce twórczej pracy łódzkich chemików. Drożdże metanolowe mają przyjemny smak i zapach. Znam, co prawda, wiele potraw smaczniejszych, ale trzeba pamiętać, że nowe drożdże mają być używane głównie jako składnik paszy dla bydła i trzody chlewnej, znacznie mniej wybrednej niż człowiek.

DLACZEGO Z METANOLU?

Cena jednego litra alkoholu metylowego wynosi 2,36 zł. Surowiec jest więc wyjątkowo tani. W najbliższym czasie krajowa produkcja metanolu osiągnie pół miliona ton rocznie, co wystarcza do otrzymania ponad 200 tysięcy ton drożdży paszowych. Obecnie produkuje się ich 30 tysięcy ton, podczas gdy potrzeby są dziesięciokrotnie większe. Przy niedoborze melasy jedyna możliwość wydatnego wzrostu produkcji drożdży paszowych tkwi w zastosowaniu technologii proponowanej przez łódzkich naukowców. Tym bardziej że technologia ta daje duże korzyści ekonomiczne.

Koszt produkcji jednego kilograma drożdży metanolowych wynosi 15,49 zł, a więc jest tylko o złotówkę mniejszy niż w przypadku drożdży melasowych. Jednak ta złotówka pomnożona przez wspomniane 200 tysięcy ton oznacza dla gospodarki narodowej 200 milionów złotych rocznych oszczędności. Nowa technologia nie wymaga specjalnych nakładów inwestycyjnych. Do podjęcia produkcji drożdży z metanolu wystarczyłaby niewielka adaptacja już istniejących urządzeń.

CZY TYLKO WZGLĘDY EKONOMICZNE?

Alkohol metylowy, w przeciwieństwie do melasy, jest substancją sterylną i nie wymaga ochrony przed infekcją. Wielką zaletą nowej metody jest łatwość utrzymania mikrobiologicznej czystości w drożdżowniach.

Drożdżownie i gorzelnie melasowe należą obecnie do najpoważniejszych producentów ścieków zatruwających rzeki naszego kraju. Niechlubnym przykładem może być tutaj rzeka Utrata, która „wzbogacona" w dodatkowe składniki przez zakłady w Józefowie nie uprzyjemnia bynajmniej pobytu turystom coraz liczniej odwiedzającym Żelazową Wolę.

Podjęcie produkcji drożdży z metanolu umożliwiłoby dwudziestokrotne zmniejszenie obciążenia ścieków pochodzących z drożdżowni substancjami trującymi.

* * *

Zalety nowej technologii potwierdziły próby ćwierćtechniczne przeprowadzone w resortowej Stacji Doświadczalnej przy Zakładach Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Jaśle. W maju ubiegłego roku Urząd Patentowy zarejestrował pod numerem 169907 wynalazek o nazwie: „Drożdże paszowe z metanolu". Odkryciem zainteresowały się już niektóre firmy zachodnie. „Wynalazek naukowców z Politechniki Łódzkiej czeka na producenta" — pisał 7 kwietnia br. „Głos Robotniczy". Minęły trzy miesiące i nic się nie zmieniło.

„Twórcy wynalazku wierzą jednak, że zgodnie z sugestiami Ministerstwa Przemysłu Spożywczego i Skupu cenne źródło białka będzie wykorzystane".

PAWEŁ PATORA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

Na wielką skalę

Dalszy ciąg ze str. 1

ku. Dzień, w którym po raz pierwszy ruszyły potężne silniki, napędzające wielkie pompy, jakie tłoczyć będą wodę dla **HUTY „KATOWICE"**. Wspomnienie przerywa inspektor nadzoru — **Andrzej Góral**, który zabrania dyżurnym udzielania jakichkolwiek informacji.

— **Do udzielania informacji** — mówi — **upoważniony jest tylko kierownik pompowni, inż. Stanek. A jego teraz nie ma, pojechał...**

Wiemy: pojechał na bazę, czyli do dyrekcji inwestycji w Chełmie Śląskim, skąd zresztą niedawno przyjechaliśmy. Trafić nie było łatwo: kilkadziesiąt kilometrów krętej drogi.

BAZA

Zjechaliśmy do **Chełma Śląskiego** poprzedniego dnia. Odnaleźliśmy bazę generalnego wykonawcy „wody dla Huty" — poznańskiego **„Energopolu"**. Baza, wybudowana na skraju lasu, przypomina spory ośrodek wczasowy. Zresztą — kiedy ją tylko budowlani opuszczą — zostanie przekształcona na taki właśnie ośrodek.

Przez środek działki przebiega szeroka jezdnia, wyłożona trylinką. Po obu jej stronach ciągną się murowane parterowe budynki. Hotele na dwieście miejsc. Warsztaty techniczno-naprawcze. Magazyny. Biurowiec. Stołówka. Ta ostatnia jest zresztą chlubą dyrekcji: ich właśnie stołówka numer 15 była pierwszą uruchomioną jadłodajnią dla budowniczych **Huty „Katowice"**.

Zjechaliśmy tu po południu.

Zbliżała się wprawdzie pora kolacji, lecz baza była pusta i cicha, jakby wymarła. Portierka wyjaśnia:

— **Jeszcze nie wrócili z pracy. Pracują przecież na przedłużonym dniu, a w niektórych miejscach to nawet i na trzy zmiany. Nikogo w dyrekcji już nie ma! Nie, nie w domu... Dyrektor naczelny pojechał na rurociąg, prawdopodobnie tu jeszcze wróci...**

Czekamy więc. Doprowadzamy siebie i samochód do względnego porządku. Obserwujemy spalonych na brąz młodych ludzi, którzy zrzucili przed chwilą robocze uniformy, a teraz wyszorowani i wystrojeni stoją na ganku przed świetlicą. Odpoczywają po pracy w chylącym się słońcu.

Nie odpoczywa jeszcze Artur Kowalczyk — mechanik z warsztatu. Ten ma wiecznie pełne ręce roboty: ciężarówki, spychacze, koparki muszą być na chodzie. Nieraz i nocą trzeba usuwać awarię: praca goni i gonią koledzy. I tak od dwudziestu lat, bo tyle już Kowalczyk przepracował w **„Hydrobudowie"**, jak nazywał się do niedawna poznański „Energopol". Dziś na szczęście, odpukać! — maszyny nie robiły ludziom świństw. **Artur Kowalczyk** może skończyć już pracę i pójść do domu. Ba, ładny mi dom. Prywatna kwatera w Chełmie.

— **Nie powiem** — wzdycha Kowalczyk — **pokoik ładny i wygodny, ale prawdziwy dom daleko stąd, w Kożlu. Tyle że beze mnie. Wiecznie na delegacji, dwadzieścia lat. Żona — nauczycielka. Dzieciaki — nastolatki, córka i syn, prawie mnie już nie poznają.**

Nagle pisk opon: na parking obok stołówki zajeżdża żółty „Fiat". Z jego wnętrza wydostaje się wysoki mężczyzna w usmolonym ubraniu. To mistrz spawaczy — **Jan Dębski**. Wrócił z rurociągu. Jego kolega — młody operator dźwigu — informuje nas, że jak się pospieszymy, to złapiemy jeszcze dyrektora naczelnego.

Nie sądzone nam było jednak spotkać tego dnia dyrektora. Po wielogodzinnych poszukiwaniach rurociągu i dyrektora poddaliśmy się. Dopiero następnego dnia, po krótkim noclegu (wybłaganym w hotelu górniczym w Jaworznie) wróciliśmy na bazę, gdzie urzędował już cały sztab inwestycji z jej dyrektorem naczelnym — inż. **Ferdynandem Kaczanowskim.**

HISTORIA

Dyrektor przemierza dziennie dziesiątki kilometrów. 400 pracowników budowy działa w kilkunastu punktach, rozrzuconych na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Poszczególne ekipy otrzymują przydział zadań tu — w bazie. W przypadku jednak nagłych dyspozycji korzystać trzeba z łączności radiowej...

— **Nie zawsze, niestety, łączność ta wychodzi** — mówi dyr. Adam Paszek — **często zakłócana jest przez Amerykanów i Francuzów, którzy pracują w pobliżu. Mają silniejsze radiostacje. Wówczas, chciał — nie chciał, pędzi któryś z nas samochodem, żeby szybciej, bo każda godzina cenna...**

Inżynier Kaczanowski stoi przy szkicu sytuacyjnym i objaśnia poszczególne etapy inwestycji. Pompownia — rurociąg — sztuczny zbiornik — przepompownia — rurociąg — sztuczny akwen — rurociąg grawitacyjny — Huta „Katowice" — zbiornik awaryjny „Pogoria III". Do tego: oczyszczalnia grupowa dla Dąbrowy Górniczej i okolicy oraz oczyszczalnia przemysłowa dla samej Huty.

— **Historia inwestycji?** — pyta dyr. Ferdynand Kaczanowski. — **Krótka, aczkolwiek burzliwa i pracowita. Zaczęliśmy w listopadzie 1972 roku od porządkowania działki, jaką przydzielono nam na bazę w Chełmie Śląskim. Pierwsze roboty — przy wznoszeniu bazy — rozpoczęliśmy w kwietniu roku następnego. W czerwcu tego samego roku rozpoczęliśmy kładzenie rurociągu. A dziś? Dziś nam została tylko końcówka — około kilometra trudnych połączeń. Tyle historii...**

Skrót telegraficzny! A co za nim się kryje? 72 kilometry rurociągu. Przetransportowanie, zmontowanie, położenie w ziemię, przerzucenie przez Wisłę i Białą Przemszę, pod drogami i torami kolejowymi, przez szkody górnicze — 35 tysięcy ton konstrukcji stalowych. Wydobycie 7 mln metrów sześć. ziemi przy robieniu wykopów. Usypanie 3 mln metrów sześć. ziemi w nasypy. Wyprodukowanie i położenie 140 tysięcy metrów sześciennych betonu i żelbetu. Wyprodukowanie i założenie 300 kompensatorów (elastycznych przegubów, łączących odcinki rurociągu) o przeciętnej wadze 6 ton każdy, których w ramach oszczędności nie sprowadzono z zagranicy. Zainstalowanie i zmontowanie czterech tysięcy ton maszyn i urządzeń.

W kwietniu ruszyły po raz pierwszy pompy, tłocząc rurociągami wodę do zbiornika retencyjnego.

DOMENA BUDOWLANYCH

To domena inżyniera Dawidowicza, który kończy budowę przepompowni, mając do pomocy takich znakomitych fachowców, jak **Stanisław Szeliga.** Szeliga — brygadzista cieśli — pochodzi z Nysy Kłodzkiej. „Pochodzi", bo trudno powiedzieć, że mieszka, gdyż pracuje w przedsiębiorstwie od dwunastu lat, więcej więc czasu spędza na wyjazdowych budowach, niż we własnym domu.

Wokół zalewu trwa budowa. Pracują koparki, spychacze, usypując wysoki wał z ziemi. Tu powstają osadniki, w których oczyszczana będzie woda.

Zalew — to ciągle jeszcze domena budowlanych, lecz nie tylko. Coraz skuteczniej biorą go w posiadanie mieszkańcy Jaworzna i innych miast Śląska. Zalesiony brzeg opada raptownie w dół. U podnóża urwiska kawałek piaszczystej plaży, na której opalają się grupki dorosłych, młodzieży, dzieci. Woda nagrzana słońcem. Kąpiących się więc sporo. Ale tylko przy brzegu, dalej strach wypływać, bo i daleko do następnego brzegu.

Zalew budowany będzie w dwu etapach, stanowić on będzie prawdziwą ozdobę krajobrazu, powstał z żadną szkodą dla tego ostatniego.

Właśnie z tego zbiornika przepompowywana będzie woda rurociągiem do położonego w bezpośrednim sąsiedztwie Huty sztucznego zbiornika Akwen ten utworzono powyżej poziomu Huty, całe więc jego dno i brzegi, aby nie przepuszczały wody, wylano asfaltowym betonem. W tym gigantycznym magazynie — 10-metrowej głębokości — woda nagrzewa się błyskawicznie, przyciągając licznych amatorów wzbronionej tu kąpieli. Jeden z nich, w pierwszych dniach po napełnieniu zbiornika wodą, przypłacił lekkomyślność życiem.

RUROCIĄG NA UKOŃCZENIU

Skręcając w lewo z drogi łączącej Mysłowice z Jaworznem, wpadając przy tym nagle na podziurawiony do ostatecznych granic asfalt, walący na łeb — na szyję w dół: w dolinę rzeki... Błąkaliśmy się po okolicy, po dziurach i wykrotach, przecinkach leśnych i polnych drogach do późnej nocy. Pytając ludzi o drogę, biorąc za przewodnika leśniczego usiłowaliśmy znaleźć ekipę montującą rurociąg. Mamieni warkotem spychacza, zwodzeni pomrukiem wywrotek, myleni bulgotaniem rzekt — poddaliśmy się po kilku godzinach błądzenia, zyskując tylko jedną satysfakcję: świadomość po jakich to wertepach i dziurach, zadupiach i uroczyskach kładli ludzie rurociąg, którego bieg wytyczała, jakże zawiła i skomplikowana, linia prosta.

A w dzień — wszystko prostsze. Korzystając ze wskazówek „sztabowców" z Chełma Śląskiego, łatwo można by odnaleźć wszystkich spawaczy inżyniera **Alfreda Szali,** którzy kończą rurociąg.

I **Jerzego Gradzika,** który (dwudziesty już rok w „Hydrobudowie") dostał niedawno w nagrodę za znakomitą pracę zakładowe mieszkanie w Będzinie. I **Bronisława Płóciennika** z Olsztyna — brygadzistę, o którym mówią, że mądra głowa, **„chociaż często opieprzy, zwykle ma rację"**. I **Jana Kuśnierczyka,** który **„jak styk zrobi, to proszę siadać, pierwsza, co najgorzej — druga klasa"...**

PLĄTANINA DRÓG

W sierpniu popłynie woda dla **Huty „Katowice"**. W niewiele dni później zapłonie po raz pierwszy ogień wielkiego pieca.

...Samochód opada w dół krętą odnogą głównej trasy, która przed chwilą wspięła się na potężny wiadukt. Zjeżdżamy szybko, bez kłopotów.

— **Mieliście szczęście** — powiedzą nam później — **bo tą drogą, w godzinach szczytu przewijać się potrafi i trzy tysiące samochodów.**

Wjeżdżamy w gigantyczną chmurę kurzu, która gęstą mgłą zaciera kontury wielkoprzemysłowego pejzażu. Pył ten czuć będziemy w ustach i w oczach już przez cały czas pobytu na terenie Huty.

Meldujemy się — w Zakładowym Ośrodku Propagandy i Informacji. A już za chwilę dostaje mi się wygawor od sympatycznego przecież sekretarza propagandy KZ PZPR — **Pawła Kozielskiego:**

— Jacek, no, powiedzże sam, no powiedz, można to tak, czyś ty na głowę nie upadł? Przyjeżdżać bez uprzedzenia, bez żadnych uzgodnień. Czy ty myślisz, że nie mamy nic lepszego do roboty, tylko dziennikarzami się zajmować? Przyjedźcie w poniedziałek, wtedy na spokojnie zbierzecie materiał. cooo?! Samochodem jesteś? a jakżeś tu, bracie, wjechał bez zezwolenia? Przecież mogli cię zamknąć? zresztą, należałoby...

Paweł Kozielski daje się w końcu udobruchać, a my trafiamy w efekcie pod opiekuńcze skrzydła naczelnego dyspozytora budowy **Huty „Katowice"**, zastępcy dyrektora „Budostalu — 4", inż. **Zygmunta Adlera.**

Uosobienie rozwagi i spokoju, który — zdawałoby się — nie sposób zachować w takim piekle, jakie rozgrywa się nieustannie w siedzibie dyspozytora. Dzwonią bez przerwy telefony, wpadają i wypadają różni ludzie, spływają meldunki. Sekretarka dyspozytora z zadziwiającą biegłością obsługuje mini-centralę, podłączoną do telefonu inż. Adlera, a łączącą go z kilkoma chyba setkami numerów.

KOMIN

Znikamy z dyrektorskiego gabinetu, jak można najprędzej.

Za drogowskaz służy nam wysoki na 250 metrów komin, który stał się zawodowym i życiowym egzaminem 28-letniego inż. **Ryszarda Gadziały.** Ryszard zaczął tu pracę u boku kierownika budowy komina — inż. **Jana Wasilewskiego,** który wkrótce po jej rozpoczęciu przeniesiony został na inną posadę. Wiele pewnie emocji kosztowała zwierzchników decyzja o awansie inż. Gadziały na to stanowisko. Klamka zapadła — młody kierownik zawziął się. Pokazał, że potrafi. Mieszkając prawie na budowie, postawił ze swoimi ludźmi tego kolosa w terminie.

Inżynier **Zygmunt Kos** niewiele jest starszy od swego kolegi z wielkiego komina. On też pełni odpowiedzialną funkcję. Przyszedł tu z biura projektowego będzińskiego Zarządu Dróg i Mostów. Rodzinę ma w Chrzanowie, nie zawsze jednak wraca na noc do domu. Trzeba nieraz i szesnastu godzin pracy, nie opłaci się więc tłuc pociągiem z Dąbrowy, żeby przespać się dwie czy trzy godziny we własnym łóżku. Inżynier prowadzi nas bezbłędnie zawiłą plątaniną dróg. Jest ich w sumie czterdzieści kilometrów. Dróg ogólnych i wydziałowych. Do tego dochodzi 170 kilometrów torów kolejowych, którymi poprzecinany jest teren budowy. Żeby stworzyć tę sieć transportową trzeba było zdjąć i przemieścić 10 mln metrów sześc. ziemi, a więc tyle, ile wykopano jej przy budowie całej dwujezdniowej trasy: Warszawa — Katowice. Generalny projektant tego systemu — mgr inż. **Leszek Rudziński** niełatwe miał zadanie: stworzył przecież potężny węzeł kolejowy.

Wspinamy się wysoko — tam, gdzie docierają najważniejsze tory. Te, którymi już za kilka dni wtoczą się pierwsze pociągi, wiozące rudę żelazną z radzieckiego Krzywego Rogu. Wjadą one na automatyczną wywrotnicę aglomerowni — wydziału rud i koksu.

— **Wczoraj właśnie została ona oddana do użytku** — mówi inż. Kos. — **Istny gigant. Osiągnięcie światowej techniki: rozładowywać może 3 200 ton materiałów sypkich na godzinę.**

LEGENDY

Kiedy w kwietniu 1972 roku wkroczyli na ten teren pierwsi budowniczowie Huty — w jego centrum zastali gęsto zalesioną górę. Poszedł w ruch dynamit, ruszyły koparki i spychacze. Ścięto górę, wywożąc dwadzieścia dwa miliony metrów sześciennych ziemi. Mimo to, różnica terenu jest nadal wyraźna. Kolejne rejony Huty opadają tarasami w dół. Najwyżej jest aglomerownia, niżej — rejon wielkich pieców, jeszcze niżej — stalownia.

Zjeżdżamy w następny teren — stalowni. Po drodze mijamy tablice ostrzegawcze: **„Uwaga — kabel!"**. Może tu właśnie przebiega ów kabel — legenda. Mówią o nim wszyscy. Siedmiokilometrowy kabel na 100 tysięcy voltów kosztował ponoć cztery miliony dolarów. Nie dość, że drogi — to jeszcze piekielnie delikatny. Jest tak podatny na uszkodzenia, że nawet leciutkie dotknięcie końcówki miernika naraża go na przebicie. Nic zatem dziwnego, że służby energetyczne dniem i nocą strzegą go, niczym oka w głowie.

Legend jest tu wiele. Oto następna:

— **Wie pan, ile kosztuje pierwszy etap budowy?** — zapytują mnie potem z dumą w głosie. — **Jasne, że pięćdziesiąt miliardów. Dobra, ale ile to jest?! Trzydzieści wagonów samych pięćsetzłotówek.**

Ciekawego wyliczenia dokonali też budowniczowie stalowni. Otóż, gdyby jej stumetrowej wysokości budynek rozmontować i pociąć na kawałki, następnie zaś je poskładać w czterokondygnacyjny gmach o przekroju normalnego bloku mieszkalnego — to miałby on długość... dziesięciu kilometrów.

Pod stalownią odpoczywa amerykański „Sky Horse" na dwóch potężnych gąsienicach. Ten powietrzny koń ma dwa ramiona, które podnieść mogą na wysokość stu metrów 150-tonowy ciężar. Na tej budowie — taki sprzęt jest chlebem powszednim. Na tej budowie nic nie powinno dziwić.

Ot, wystarczy zajrzeć do wnętrza hali głównej stalowni, gdzie pod kierunkiem dyrektora **Wojciecha Bukowskiego** z będzińskiego „Mostostalu" trwa montaż pierwszego konwertora, który waży w całości 350 ton, a gotów ma być już na Święto Odrodzenia. Aby go umieścić na cokole, podwieszono u stropu hali potężną suwnicę o udźwigu 450 ton.

Strop hali wieńczy budowlana wiecha, ścianę — transparent z napisem: **„Polak to potrafi"**. To gdzieś tu, pod jednym z najwyższych budynków świata, szef firmy Freyssinet International USA, inż. S. Galezeski, powie:

— **Niesamowite! Nie do pomyślenia! Dumni jesteśmy z tego, co tu widzimy!...**

Powoli dobiega końca nasza pierwsza wizyta na terenie budowy. Odwozimy inżyniera Kosa do dyrekcji, sami zaś pędem do stołówki: upał i kurz dusi w gardłach.

W stołówce ogromna — jak wszystko tutaj — kolejka. Dziesiątki, ba — setki robotników ściągnęły na obiad. Stoimy więc, przypominając sobie zabawną opowieść o dowcipie, jaki zgotowali budowlani kierownictwu stołówki. Otóż, w tej masowej jadłodajni masowo ginęły noże. Chcąc więc zapobiec ich wiecznemu brakowi, wprowadzono dziesięciozłotowy zastaw. W ciągu jednego dnia zniesiono do bufetu w odpowiedzi dziesięć tysięcy noży. Jak kawał, to też na wielką skalę...

JACEK INDELAK

NIE TYLKO HISTORIA

ŻEROMSKI I MITY

W legendy i mity obrastają nie tylko dziejowe zdarzenia. Wcale niemniej często staje się to udziałem jednostek, kiedy dany człowiek jest przedmiotem zainteresowania szerszych kręgów społecznych. Gdy zaś chodzi o człowieka wybitnego, legendy i mity dotyczące jego osoby powstają częstokroć już z chwilą, kiedy poczyna się on wybijać ponad otaczającą go przeciętność. W przypadku Stefana Żeromskiego sprawnym mitotwórcą okazał się syn cioteczne siostry pisarza, biograf jego młodości Stanisław Piołun-Noyszewski. Jerzy Kądziela, który zadał sobie trud krytycznego zweryfikowania informacji podawanych przez swego poprzednika słusznie podkreśla, że Piołun-Noyszewski miał nad innymi biografami niewątpliwą przewagę, skoro „mnóstwo faktów znał po prostu z tradycji rodzinnej, z opowieści swych wujów, a zwłaszcza ciotek". Ale to właśnie było jednocześnie słabością jego biografistyki, skoro musiał „tak lawirować w ogłaszanych tekstach, aby nie urazić nikogo ze starszej o pokolenie generacji informatorów". I stąd w jego entuzjastycznej biografii, wydanej drukiem jeszcze w 1928 r., znalazło się wiele ocen bez pokrycia, interpretacji opierających się na żywionym ex post pobożnym życzeniu. A także zwyczajnych nieprawd, które mógł ujawnić dopiero skrupulatny badacz, operujący ogromnym materiałem źródłowym, w którym tak istotne miejsce zajmują „Dzienniki" pisarza.

Książkę Jerzego Kądzieli „Młodość Stefana Żeromskiego" (PIW 1976) trzeba właściwie czytać z egzemplarzem dziełka S. Piołun-Noyszewskiego pod ręką. Wtedy dopiero unaocznia się nam, jak wiele współczesny badacz musiał zweryfikować nieuzasadnionych informacji i sądów, ile wyprostować z tego wszystkiego, co za pierwszym biografem młodości pisarza powtarzali do niedawna historycy literatury. Sprawy rodzinne, osobiste, nawet intymne, to nie jedyny, i bynajmniej nie najważniejszy krąg korektur, choć było tu do sprostowania bardzo, bardzo wiele. Ważniejsze są weryfikacje, odnoszące się do sylwetki ideowej młodego Żeromskiego. A więc rozsławiona przez S. Piołun-Noyszewskiego „legenda martyrologiczna", podług której Żeromski miał przybyć do Kurozwęk niemal bezpośrednio po uwolnieniu z carskiego więzienia w Warszawie. „Najpierwszą sprawą było przebranie go z więziennej koszuli z numerem 2444 i z czarną łatą na plecach. Cała garderoba poszła od razu w piec". I tak dalej i dalej, snuje się u Piołun-Noyszewskiego opowieść oparta o relację Józefa Saskiego, zdawałoby się, że wiarygodna, tymczasem... wyssana z palca, a raczej z fantazji, lub niedostatków pamięci wspominającego...

Wówczas, kiedy S. Piołun-Noyszewski kreślił karty swego entuzjastycznego dziełka o kuzynie było oczywiste, że S. Żeromski jest postacią zbyt wyraźnie rysującą się na tle ideowego życia ówczesnej Polski, aby można było przejść mimo jego zapatrywań społecznych i politycznych. Biograf uznał więc, że jego powołaniem jest umodelowanie pisarza, choć w młodości — skoro nie dawało się to uczynić w stosunku do jego dalszego życia — na zwolennika tego kierunku ideowo-politycznego, którego on sam, Noyszewski, był — jak na to wskazuje jego książka — przekonanym rzecznikiem. Z kart książeczki Noyszewskiego przebija nie skrywany podziw i uwielbienie dla... Romana Dmowskiego, a zaraz na drugim miejscu, po nazwisku endeckiego przywódcy, pojawia się... nazwisko Żeromskiego. „Dmowski, Żeromski i Machajski — czytamy u Noyszewskiego — w swoim studenckim azylum kreślą pierwszy ramowy program wszechpolski, który z czasem stał się podstawą programu stronnictwa demokratyczno-narodowego". Dalej następuje charakterystyka pierwszego z wymienionych, oczywiście entuzjastyczna: „umysł najbardziej trzeźwy..." i tak dalej. W świetle ustaleń J. Kądzieli wszystko to okazuje się być mitem, choć nikt nie myśli kwestionować, że Żeromski znał Dmowskiego jeszcze „z czasów studenckich". Ale opowiastka o wspólnym „kreśleniu" planów wszechpolskich, to już kłamstwo: przyszły przywódca potężnego stronnictwa prawicy sam wówczas jeszcze takich zamiarów nie posiadał, a nawet „skłaniał się ku współpracy z niepodległościowym skrzydłem socjalistów". Najsłuszniej J. Kądziela odwołuje się tu do relacji nie podejrzanego o sprzyjanie Dmowskiemu świadka: do pamiętników Bolesława Limanowskiego.

Z wymową scharakteryzowanego co dopiero zabiegu mitologizującego, jak najłagodniej można nazwać tę interpretację S. Piołun-Noyszewskiego, pozostaje w pełnej zgodności druga legenda: o „najlepszych wspomnieniach" pisarza z jego pobytu „na kondycji" w dworze w Oleśnicy. Wystarczy zapoznać się z obszernymi cytatami, pochodzącymi z różnych wypowiedzi S. Żeromskiego, przytoczonymi w monografii J. Kądzieli, aby zrozumieć, w jakich to okolicznościach i w związku z jakimi doświadczeniami kształtuje się ów serdeczny, bezwzględny, zaprawiony goryczą krytycyzm Żeromskiego w stosunku do sfer, określanych przezeń mianem „arystokratycznych", a będących właściwie majętnym ziemiaństwem. I wówczas lepiej zrozumiemy, co oznaczały słowa pisarza, że zwraca się „tam, gdzie jest niezgłębiona rozmaitość, wiecznie zmieniające formy życia, niezbadany jak przyroda świat — do ludu".

Może się to komu nie spodoba, ale rzeczywistość — tę przeszłą, tak samo, jak teraźniejszą — trzeba oglądać taką, jaką ona jest, zaś mity i legendy — nawet jeśli nam pochlebiają — należy weryfikować. O tym, że również w odniesieniu do przeszłości nie jest to wcale łatwe, przekonuje raz jeszcze książka J. Kądzieli.

LEKTOR

LITERATURA

STANISŁAW POPŁAWSKI

LUBELSKIE SPOTKANIA

Spojrzałem przez okno samolotu. Błękitne, bezchmurne niebo wydawało się przezroczyste. Ziemia, jak paleta malarza, roztaczała wszystkie barwy tęczy. Wczesna jesień w Polsce jest szczególnie piękna, a zwłaszcza upajający jest aromat dojrzałych łąk i pól. Taką zobaczyłem ziemię swych ojców, gdy samolot, pochylając się na skrzydło, obniżył się do lądowania.

Po wyjściu z samolotu mimo woli pomyślałem o tym, co czeka mnie w kraju, znanym tylko z opowiadań w dzieciństwie. Jednakże nie dane mi było zbyt długo rozmyślać, bo oto podszedł do mnie oficer polski. Zielony mundur opinał jego zgrabną figurę. Na miękkich naramiennikach błyszczały dwie gwiazdki. „Porucznik" — pomyślałem. Wcześniej już nauczyłem się rozróżniać dystynkcje armii polskiej.

— Czy generał Popławski? — zapytał poprawnie po rosyjsku.

— Tak jest, to ja — odpowiedziałem po polsku.

Szare oczy porucznika błysnęły radośnie.

— To pan generał jest rzeczywiście Polakiem?

— Tak jest, poruczniku, jestem Polakiem — odpowiedziałem z uśmiechem.

Zameldował mi dziarsko, że przysłał go Naczelny Dowódca Wojska Polskiego, generał broni Michał Rola-Żymierski.

Pojechaliśmy samochodem do miasta. Lublin był w tym czasie stolicą Polski. Mieściły się tu Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego — organa władzy ludowej kraju, które kierowały walką narodu z okupantem hitlerowskim.

Na ulicach panował ruch. Przejeżdżały samochody, w większości zakurzone — widocznie przybyłe z frontu, który przebiegał niedaleko — załadowane ludźmi w mundurach. Chodnikami śpieszyli przechodnie. Zwróciłem uwagę, że są wychudzeni, znużeni, źle ubrani. Nie mogli przecież wyglądać inaczej po długich i ciężkich latach okupacji, która zakończyła się tu dopiero przed kilkoma tygodniami.

— Co to za zamek? — zapytałem swego przewodnika, wskazując na strzeliste baszty nad starym, kamiennym murem.

— To Zamek Lubelski. Stara rezydencja władz wojewódzkich — odpowiedział porucznik. — Hitlerowcy więzili w nim ponad stu zakładników spośród mieszkańców miasta — uczonych, lekarzy, adwokatów, działaczy społecznych. Przed ucieczką z Lublina wszystkich rozstrzelali. Cały plac był pokryty zwłokami... Wśród rozstrzelanych było wielu komunistów.

Obejrzałem się jeszcze raz. Zamek Lubelski górował nad miastem, na wpół ukryty w gęstych koronach drzew.

Lublin tonął w zieleni. Poprzez liście wysokich lip i kasztanów, rosnących w równych rzędach po obu stronach ulicy, ledwie było widać jedno- i dwupiętrowe domy, o starej architekturze, z secesyjnymi ozdobami i stromymi dachami. To zwykle ciche i niewielkie, typowo prowincjonalne miasto Polski wyglądało w tych dniach jak prawdziwa mała stolica — niespokojna i ruchliwa, wesoła i czujna.

Ulica, w którą wjechał nasz samochód, nosiła nazwę Cichej. W istocie była to najbardziej ożywiona ulica w całym mieście. Szczególnie ludno było przed siedzibą Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego.

Szerokimi schodami pięknego, szarego budynku weszliśmy na pierwsze piętro, do adiutanta Naczelnego Dowódcy. Dyżurny adiutant zwrócił się do mnie po rosyjsku, a słysząc odpowiedź w polskim języku — uśmiechnął się, podobnie jak porucznik na lotnisku.

Naczelny Dowódca wskazał mi miejsce na kanapie i usiadł obok mnie. Z zaciekawieniem patrzyłem na tego silnego, młodo wyglądającego człowieka. Spostrzegłem, że on także uważnie mi się przygląda. Jego niebieskie, jasne oczy, poważne i badawcze, zdawały się o coś zapytywać. Jedną brew unosił w górę, co sprawiało wrażenie, że już, już zada jakieś pytanie. Spojrzał na mój mundur i na ordery. Byłem w mundurze radzieckiego generała majora. Przez całą wojnę nosiłem ordery i nigdy nie używałem baretek. Powiem otwarcie — byłem dumny z posiadania dwóch Orderów Czerwonego Sztandaru, Oderu Kutuzowa 2 stopnia i orderu amerykańskiego.

— Za tę wojnę? — zapytał Michał Rola-Żymierski.

— Tak.

Zasypał mnie pytaniami: gdzie walczyłem, jaki miałem stopień, kiedy poszedłem na wojnę i za co otrzymałem odznaczenia.

— Panie generale — zacząłem — mówię źle po polsku i na pewno pan generał nie będzie zadowolony z takiej polszczyzny.

Roześmiał się i powiedział, że doskonale mnie rozumie. Zażądał, bym od dziś mówił tylko po polsku.

— Tak jest, panie generale! — odpowiedziałem i jak umiałem zrelacjonowałem mu przebieg mojej służby w Armii Radzieckiej. Mówiłem o wojnie, o walkach frontowych, w których brałem udział.

Naczelny Dowódca poinformował mnie o planach formowania Wojska Polskiego.

— 1 armia walczy już w składzie 1 Frontu Białoruskiego. W stadium formowania jest 2 armia; projektuje się również zorganizowanie 3 armii. Będziemy mieli silną, potężną armię — z entuzjazmem mówił Rola-Żymierski. — Wróg poczuje jeszcze uderzenie polskiego żołnierza. Żywimy nadzieję, że nasz wielki przyjaciel, Związek Radziecki, udzieli Polsce poważnej pomocy w budowie jej sił zbrojnych.

Słowa te wypowiedział gorąco, z przekonaniem. Prawa brew uniosła się jeszcze wyżej, ręka machinalnie przygładziła siwiejącą czuprynę.

— Jak najprędziej włóżcie mundur polski. Jesteście dopiero piątym w naszej generalskiej rodzinie...

Naczelny Dowódca wyraźnie się śpieszył, często spoglądając na zegarek.

— Spieszę się na posiedzenie rządu — usprawiedliwił się. — Przedstawcie się szefowi Sztabu Głównego, generałowi brygady Władysławowi Korczycowi.

Żegnając się, dorzucił:

— Spotkamy się na obiedzie w stołówce generalskiej. Trzymam się starej tradycji: wszyscy generałowie jadają razem przy jednym stole. Proszę się nie spóźnić!

Szybkim krokiem przeszedł przez adiutanturę i lekko, jak na jego wiek zbiegł po schodach. Wiedziałem, że Naczelny Dowódca był generałem jeszcze w armii przedwrześniowej. Podczas okupacji uczestniczył aktywnie w organizowaniu ruchu oporu. Kiedy w styczniu 1944 roku Polska Partia Robotnicza przekształciła Gwardię Ludową w Armię Ludową, Michał Żymierski, znany wówczas pod pseudonimem „Rola", został jej dowódcą. Po połączeniu 1 armii polskiej z Armią Ludową i utworzeniu Wojska Polskiego, dekretem Krajowej Rady Narodowej został powołany na Naczelnego Dowódcę.

Widok całej góry dokumentów i map na wielkim biurku w wielkim gabinecie szefa Sztabu Głównego Wojska Polskiego, generała brygady Władysława Korczyca, absolutnie mnie nie zdziwił. „Widocznie taki to już los wszystkich szefów sztabów — pomyślałem — siedzieć za biurkiem, za walonym stosem map, schematów, najrozmaitszych pilnych i arcypilnych dokumentów". Znałem to dobrze zarówno z własnej praktyki, jak i z wieloletniej współpracy z oficerami sztabów.

Na spotkanie wyszedł mi wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Jego postawa wskazywała, że wiele lat służył w linii. Z zazdrością patrzyłem na jego sylwetkę i nie bez zadowolenia stwierdziłem, że jestem jednak od niego wyższy, chociaż i jemu do mego wzrostu — 189 cm — brakowało niewiele. Podobały mi się surowe rysy jego twarzy, duży orli nos, wysokie czoło oraz serdeczne, przyjacielskie spojrzenie jego dużych, ciemnych oczu. I być może dlatego rozmowa nasza od pierwszej chwili była serdeczna i koleżeńska.

Od Korczyca uzyskałem wiele nowych wiadomości. Okazało się, że w przeddzień mojego przyjazdu do Lublina zakończyły się ciężkie walki o wyzwolenie wschodniego przedmieścia Warszawy — Pragi. Brała w nich również udział 1 dywizja piechoty im. T. Kościuszki. Wyróżniła się ona w tych walkach i została przedstawiona do odznaczenia Orderem Czerwonego Sztandaru. Obecnie cała 1 armia polska przegrupowuje się pod Warszawę i przygotowuje do nowych działań zaczepnych oraz wyzwolenia stolicy.

— Będziecie musieli trochę zatrzymać się w Lublinie — powiedział Korczyc. — Delegacja naszego rządu odlatuje do Moskwy, żeby przeprowadzić tam rokowania, między innymi uzgodnić plany organizacji polskich sił zbrojnych. W związku z formowaniem nowych związków przewiduje się pewne zmiany na kierowniczych stanowiskach dowódczych. Rozumiecie, oczywiście, że od tego zależy również wasz przydział. Trudno, musicie poczekać. Rozumiem, że frontowy dowódca nie lubi bezczynnie siedzieć na zapleczu! Radzę więc obejrzeć miasto. Nie zapomnijcie o Majdanku...

Wieczorem do mego pokoju w skromnym hoteliku przyszedł krawiec. Był niski, szczupły, i z trudem, stając na palcach, wziął mi miarę. Chwaląc się swymi krawieckimi sukcesami i setkami uszytych jeszcze przed wojną mundurów generalskich, zapewniał mnie, że i mój będzie „pierwsza klasa".

I rzeczywiście, po dwóch dniach włożyłem doskonale uszyty mundur polskiego generała brygady, w którym na razie czułem się jeszcze nieswojo. Szybko jednak się przyzwyczaiłem, a jedyne, co mnie początkowo peszyło, to zainteresowanie, jakie wzbudzałem wśród mieszkańców Lublina. Częściej bowiem widywano tu radzieckich niż polskich generałów.

Czasu miałem niewiele, toteż chodziłem po mieście i poznawałem jego osobliwości, których, jak w każdym polskim grodzie, było niemało. Pewnego dnia postanowiłem zwiedzić Majdanek.

O tym obozie śmierci napisano już całe tomy. Mimo to będzie się o nim wspominać jeszcze długo, gdyż historia nie zna tak koszmarnych zbrodni, jak te, które popełniono tutaj. W Majdanku w latach 1940—1944 hitlerowcy bestialsko zgładzili około 360.000 ludzi różnych narodowości. Nie mogę jednak powstrzymać się od powtórzenia tych upiornych liczb. Nie mogę nie opowiedzieć o tym, jak na widok stosów kości ludzkich poniewierających się obok krematorium łzy napływały mi do oczu. Blady i wstrząśnięty do głębi wędrowałem wśród nie kończących się baraków, starannie pomalowanych na brudnoszary kolor, w których zadręczano na śmierć niewinnych ludzi.

Jako żołnierz frontowy widziałem w życiu niemało poległych i na polu walki, i na ulicach wyzwalanych miast. Wydawało mi się, że jestem już uodporniony na wszelkiego rodzaju okropności. Ale patrząc na bele ludzkich włosów, posegregowanych według koloru, na stosy dziecięcych i kobiecych bucików, pedantycznie ułożonych w magazynach, chciało się krzyczeć z bólu i gniewu, głośno wołać o pomstę (...)

W adiutanturze oczekiwał nas już generał Karol Świerczewski, dotychczasowy dowódca 2 armii. Byłem z nim zaprzyjaźniony, razem wykładaliśmy w Akademii im. Frunzego w Moskwie. Krępowało mnie trochę to, że odbieram mu jego armię.

Świerczewski otworzył szeroko ramiona i uścisnęliśmy się. Rola-Żymierski zakomunikował, że zostałem mianowany dowódcą 2 armii, a Karol Świerczewski dowódcą 3 armii, której formowanie należy natychmiast rozpocząć.

Popatrzyłem na swego przyjaciela. Wydawało mi się, że jakiś cień przebiegł po jego twarzy. Rozumiałem go. Łatwiej przecież dowodzić już sformowaną armią, która wkrótce wyruszy na front niż raz jeszcze doświadczyć wszystkich trosk i trudności podczas tworzenia nowej armii, to jest dużego i skomplikowanego związku operacyjnego. Chciałem wyrazić Karolowi zarówno swe współczucie, jak i nadzieję, że z honorem wykona to nowe zadanie, ale uprzedził mnie Rola-Żymierski:

— Generale Świerczewski, przekażecie dowództwo armii generałowi Popławskiemu i przystąpicie niezwłocznie do trudnego, lecz honorowego zadania formowania 3 armii.

Sztab 2 armii rozlokowany był w Lubartowie, niedużym miasteczku, położonym 60 kilometrów na wschód od Lublina. Godzinę później pojechałem tam samochodem. Rozpoczął się nowy okres w moim życiu — służba w Wojsku Polskim. Świerczewski obiecał mi, że przyjedzie wieczorem, skoro tylko załatwi w Lublinie pilne sprawy.

W Lubartowie — cudem ocalałym z zawieruchy wojennej — ani jeden dom nie został uszkodzony. Na ulicach panował ruch, jak gdyby zapomniano, że w pobliżu przebiega linia frontu, jak gdyby nie uświadamiano sobie, że w każdej chwili mogą zwalić się jak grom z jasnego nieba bomby i pociski. Sklepy normalnie otwarte, na chodnikach pełno ludzi. Chłopcy z wrzaskiem i śmiechem zabawiali się w wojnę...

Zgodnie z przyrzeczeniem Świerczewski przyjechał do Lubartowa wieczorem. Zaprowadził mnie do swego domu, niedużej willi, gdzie przedtem mieszkał miejscowy bogacz, który uciekł z Niemcami. Spędziliśmy wieczór, wspominając przeszłość i myśląc o przyszłości. Mówiliśmy o towarzyszach z akademii, wspominaliśmy dzieciństwo ja swoją Chejłową, on Warszawę. Ojciec jego był metalowcem u Gerlacha w Warszawie.

Wielki syn klasy robotniczej, Karol, już w młodości wybrał drogę walki, wstępując do SDKPiL. Gdy w 1915 roku władze carskie ewakuowały w głąb Rosji fabryki warszawskie, Świerczewski znalazł się w Rosji i zetknął się z rosyjskimi rewolucjonistami-marksistami. Razem z nimi prowadził aktywną walkę polityczną z samowładztwem, walkę o sprawę klasy robotniczej.

Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej zaciągnął się do Gwardii Czerwonej, walczył z bandami białogwardzistów na Ukrainie i nie wykluczone, że kiedyś jego oddział maszerował w pobliżu mej rodzinnej wsi.

Świerczewski pozostał żołnierzem do końca życia.

„Walter" — to jego pseudonim z okresu walk w Hiszpanii. Początkowo dowodził tam 14 brygadą międzynarodową, a następnie 35 dywizją, w której skład wchodziła 13 brygada im. J. Dąbrowskiego.

Najwięcej czasu poświęciliśmy tego wieczoru sprawie odradzającej się armii polskiej. Świerczewski był jednym z twórców dywizji im. T. Kościuszki. Wraz z jednostkami polskimi, sformowanymi na terytorium ZSRR, wrócił do Polski.

— Syn marnotrawny powrócił do rodzinnego domu — zażartował.

Z książki „Towarzysze frontowych dróg".

JAN HUSZCZA

DZIEŃ WOLNOŚCI W LUBLINIE

To lipca ostatnie dni,
Lecz młodziej i grabom, i lipom i klonom.
Pięć lat, wolności, do ciebieśmy szli,
Pięć lat szukaliśmy słońce zgubione.

Napisy i pustka czasem, i gruzy zniszczenia —
Niewoli jak koszmar męczące ślady.
Straconych, nieobecnych na zawsze, wołają cienie,
Stając milczącą gromadą.

Ziemio nasza, ziemio dla wszystkich,
Co ciebie kochają i w ciebie wierzą!
Z chmur jasnych orzeł błyska,
Biało-czerwone sztandary świecą domom i wieżom.

Z dniem każdym zwiększa się obszar wolności...
Zorze witając ranne, zorze witając krwawe,
Twoje szepczemy imię, Warszawo.
— I szepcząc, wiemy:
Przez walkę i ogień do szczęścia najprościej,
Przez walkę i ogień wolnej Ojczyzny świta poemat!

EUGENIUSZ KUDAJ

HUTA KATOWICE

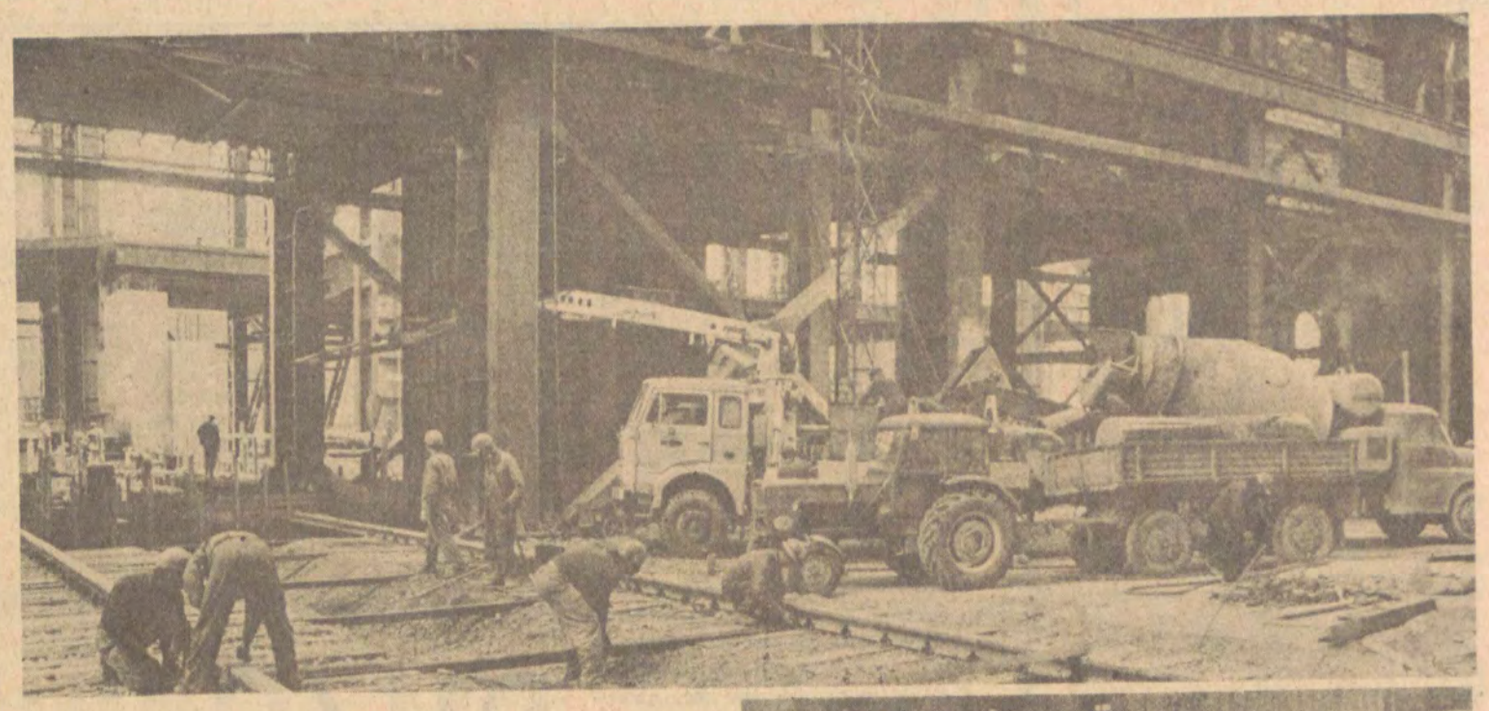

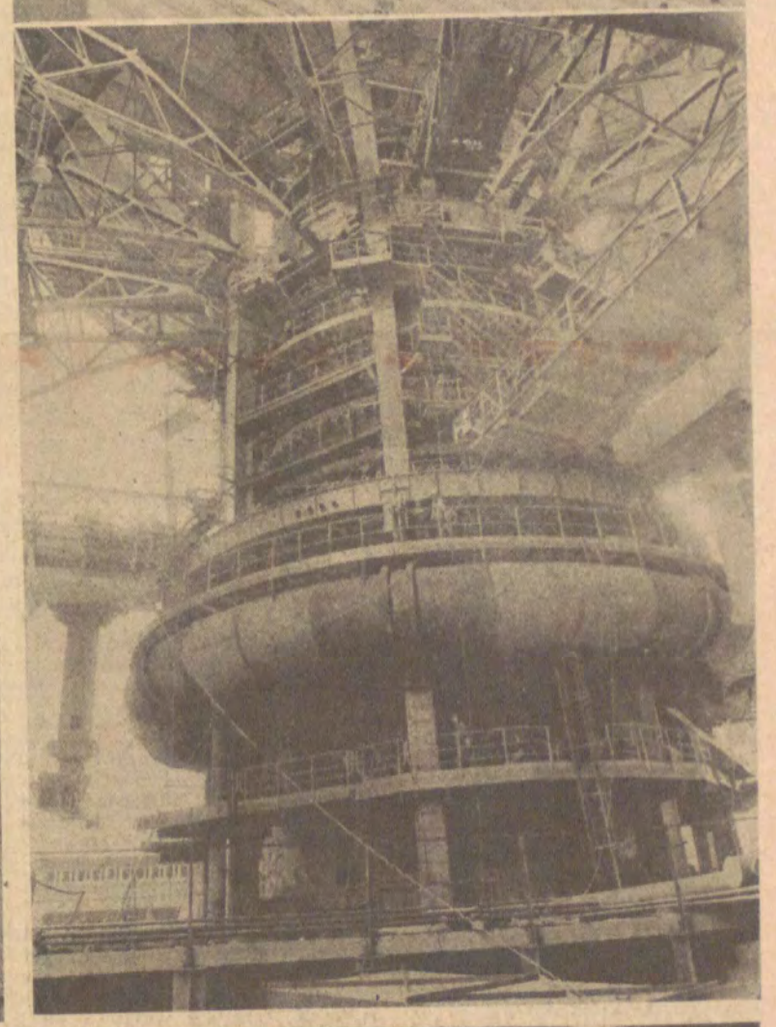

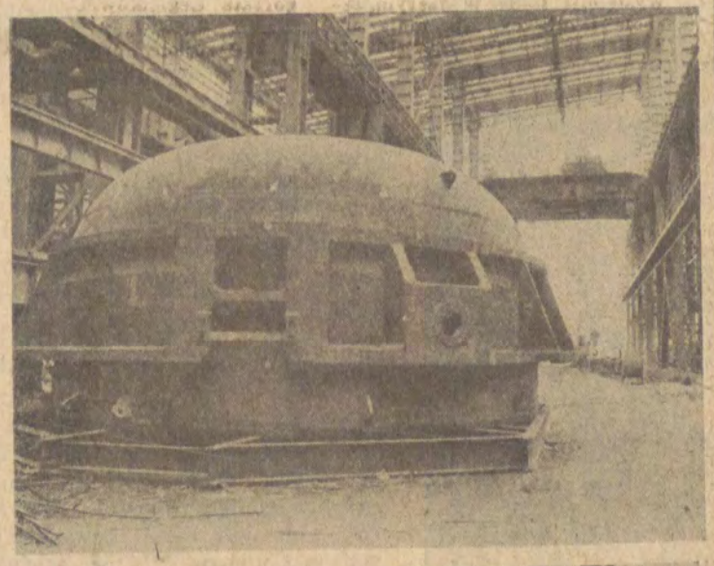

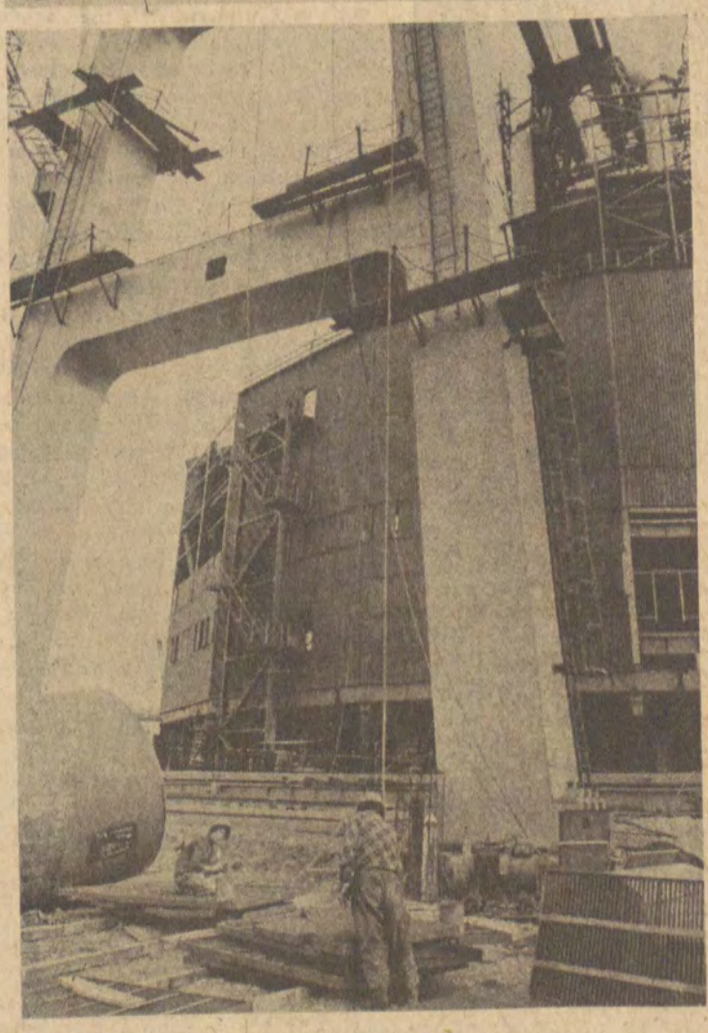

FILM

OSTATNI SPRAWIEDLIWI

Motyw korupcji amerykańskich władz administracyjnych i aparatu sprawiedliwości dominuje w większości współczesnych filmów sensacyjnych tego kraju. Czysta sensacja, o czym była już okazja niejednokrotnie pisać, chodzi tu w parze z demaskatorską funkcją społeczną. Na fali określonych tendencji, co jest w kinie zjawiskiem dość częstym, pojawiać się jednak zaczynają filmy, których motywacja i posłanie nie jest już tak jednoznaczne w swych funkcjach. Modny, często społecznie użyteczny temat, zaczyna obrastać w mniej szlachetne, a nawet często dwuznaczne sensy i służyć celom czysto komercjalnym.

W ostatnich tygodniach krąży po naszych ekranach film „Z podniesionym czołem", który jest utworem znamiennym dla przedstawianej tu sprawy. Jego wymowa wydaje się bowiem właśnie dość dwuznaczna, choć pozornie jest to film znaczeń szlachetnych. Przedstawiona w filmie historia oparta jest na wydarzeniach autentycznych. a postać głównego bohatera jest również realna. Szeryf — Buford Pusser żyje i pracuje w stanie Tennessee — zna go cała Ameryka. Prezentowany wcześniej w programie telewizyjnym, postacią niemal legendarną stał się wraz z premierą filmu „ Z podniesionym czołem", o którym sam Pusser powiedział, iż w 80 procentach jest zgodny w tym, co się naprawdę zdarzyło.

Buford Pusser, były marynarz, powróciwszy z żoną i dziećmi do rodzinnego miasteczka, spotyka się z przestępstwem i przemocą, która budzi jego sprzeciw. Doświadczywszy jej osobiście, postanawia wypowiedzieć walkę zarówno siłom przestępczym jak i chroniącym ich przedstawicielom prawa. Zyskuje poparcie miejscowej ludności i zostaje szeryfem.

Kroniki nie donoszą, czy rzeczywiście autentyczny szeryf Pusser atrybutem swej władzy uczynił drewnianą pałę, która w filmie posiada znaczenie symboliczne. Filmowy Pusser, dzierżąc w ręku miast rewolweru ową pałę, ucharakteryzowany jest na błędnego rycerza. Pusser nie chce strzelać, lecz w obliczu metod, jakimi posługują się jego wrogowie, zostaje w końcu do tego zmuszony. Rejestr tych metod budzi przerażenie, od którego nie uwalnia nawet doświadczenie, jakie zdobyć mogliśmy oglądając „Ojców chrzestnych", „Bullittów" czy „Policjantów". Dzieje się tak dlatego, że reżyser filmu, Phil Karlson, stworzył w swym filmie sytuacje modelowe, w których przestępstwo i typy przestępców mają właśnie wypreparowany, modelowy charakter. Toteż każda kolejno popełniana zbrodnia czy akty przemocy są potęgowane i doprowadzane do ostatecznej skrajności.

Przyjęta przez reżysera metoda budzi moją podejrzliwość. Oglądając film odnosiłam wrażenie, że nie wszystko w nim służy szlachetnej idei, że Karlson, wykorzystując ją, w gruncie rzeczy zabiega o komercjalne efekty, atakuje potencjalnych widzów, przyciągając ich po prostu do kina. Wrażenie to pogłębia fakt demonizowania postaci, zarówno tych stojących po stronie zła, jak i dobra — cierpi na tym wiarygodność.

Gorące przyjęcie filmu „Z podniesionym czołem" w Ameryce świadczy niewątpliwie o niepokoju społecznym jej mieszkańców. Obdzierani z zaufania do władzy i sprawiedliwości potrzebują bohaterów, ludzi niezwykłych. Marzenie to spełnia szeryf Buford Pusser, tym bardziej, że jest postacią realną. Wiara w siłę działania jednego człowieka wyrasta na fali niewiary w skuteczność działania formalnie do tego powołanych przedstawicieli społeczeństwa. Pusser realizuje ową wiarę w zwycięstwo dobrej woli i szlachetności, wiarę w nieustraszoność i nieprzekupstwo człowieka walczącego z przestępstwem, które pokonane zostanie w ostatecznym, na własną zresztą rękę wymierzonym, akcie sprawiedliwości. Posiać to rodem z westernu, tyle że współczesność czyni westernowe sytuacje bardziej wyrazistymi i groźnymi.

W ostatecznym jednak obrachunku najszlachetniejsze nawet intencje szeryfa Pussera budzą niepokój. Przywykliśmy już do tego, że współcześni, samotnie o sprawiedliwość walczący bohaterowie amerykańskich filmów, przejmują w tej walce brutalne i okrutne metody swych przeciwników. Były to gorzkie konstatacje, nie było jednak dotąd apoteozy tych metod działania. Z apoteozą tą spotykamy się po raz pierwszy w filmie „Z podniesionym czołem". Przemoc, jako odpowiedź na przemoc jest w tym filmie nie tylko nieuniknioną, ale i godną pochwały metodą walki z różnego rodzaju schorzeniami społecznymi. Takie postawienie sprawy i jej propagowanie budzi nie tylko moją wątpliwość, ale i sprzeciw. Trudno przedstawić kontrpropozycje, trudno jednak również akceptować główną tezę filmu „Z podniesionym czołem", nawet wówczas, gdy jej bohater budzi sympatię.

EWA NURCZYŃSKA

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

DUŻO WIĘCEJ NIŻ FABRYKA

Dalszy ciąg ze str. 1

czesności z dawną, kozacką architekturą. Postawił już w stanicy 1.200 nowych domów, resztę wyremontował. Mówi o tym jakby od niechcenia, śpiewa natomiast z radością pieśni Kubania, melodie szerokie, wydłużone, idące wolno w górę i powoli opadające, jak te przestrzenie bez końca. Potężny śpiew, rozległy, przypomina dawne dzieje, tęsknotę żołnierza za rodzinnym domem, dawne biedy chłopskie, czas walki z „białymi" ale te stare melodie unoszą gładko także i pochwały dnia dzisiejszego, pionierski trud komsomolców, radość z wysokich plonów.

DUŻO WIĘCEJ NIŻ FABRYKA

Początkowo wydawało mi się, że **Stefan Litwin**, przewodniczący kołchozu — **„Droga komunizmu"** jest znudzony i w gruncie rzeczy odbębnia spotkanie z nami. Mówi monotonnie choć sprawnie, jak dobrze zaprogramowany automat. Konkretnie, ale bez serca. Pewnie ma już gości wyżej uszu — myślę — ale notuję uważnie. Nazwa stanicy — **Miedwiedowska** przypomina coś z Szołochowa, ale nie mogę sobie uświadomić co mianowicie. Gorąco, wiatru ani na lekarstwo, od rana to wsiadamy i wysiadamy z samochodów, odbywamy spotkania autorskie, oglądamy kombajny wielkie jak legendarne smoki, zaglądamy do warsztatów, wytwórni sera, stada krów bardzo podobnych do naszych, ustawiamy się jak do rodzinnych fotografii, śledzimy wykresy, krzywa rośnie jak i u nas, a w gruncie rzeczy tęsknimy już trochę do uroczych jeziorek. Powędkowałoby się trochę, pobiegło w białe sady. No, ale notuję — 17 tysięcy hektarów czarnej ziemi, 5 tysięcy członków kołchozu, 6 ferm mlecznych, wielka hodowla świń, a na polach pszenica, burak, kukurydza, słoneczniki w karnych, zdyscyplinowanych szeregach, konopie, pomidory, kapusta, ogórki, pasternak. Uprawy typowo nasienne. Wysoko kwalifikowane ziarno Kubania zasila gospodarkę całego kraju. Aha, jeszcze i sady, samej wiśni będzie chyba 10 hektarów, tyle tylko, że w tym roku porządnie zmarzła. I cóż by wam jeszcze — zdaje się pytać przewodniczący — no, więc kołchoz oddaje państwu 2.300 ton ziarna, 2.600 ton słonecznika, 1.600 ton owoców, do tego 4.600 ton mleka i ponad milion jaj, warto też pamiętać o fermach ptasich, bazie remontowej na 300 traktorów, własnej wytwórni asfaltu, dniówka przeciętna w granicach 6-ciu rubli, ale nie w każdym przypadku, pracowici wyciągają i 8 rubli, obiboki mniej niż połowę.

Przestaję notować, po co mi aż tyle cyfr. Jeszcze chwila, a zasnę ukołysany melodią wskaźników, procentów i odsetek. Ale nie, przewodniczący zrywa się trochę jakby odmieniony i powiada, że najwyższy czas jechać do ludzi. Zgroza — myślę — znowu będziemy oglądać fabrykę cukru, oleju albo masła, czy może mięsa, no bo kołchoz to w końcu fabryka, rozrzucony na dużej przestrzeni zakład pracy. Trochę zrezygnowany gramolę się do czarnej wołgi, a po kilku minutach wysiadamy przed domem dziecka.

Piękny widok. Maluchy uwijają się po bajkowym ogrodzie, widzę zaczarowane domki pięknie malowane, wielkie muchomory, pod którymi można się skryć, z boku uśmiecha się lisek-chytrusek, waleczny Sadko ładnie zmajstrowany z drzewa uśmiecha się do świata, słyszę szczebiot ptaków i dzieci, jakieś maleństwo chwyta mnie za rękę, ciągnie gdzieś i próbuje mi wytłumaczyć nie wiem co.

I tak dokonałem następnego odkrycia — kołchoz to dużo więcej niż fabryka, w której nieźle się zarabia, a po pracy pędzi do domu skrobać rzepkę każdy sobie. Początkowo podejrzewałem trochę, że ingerencja kołchozu w zwykły, codzienny los człowieka jest zbyt duża, krępująca czy też ograniczająca jego osobiste plany. Dzieci z miejsca otrzymują opiekę, aby matka mogła spokojnie pracować. Przy pewnej skłonności do przesady można by powiedzieć, że wpływ rodziców na wychowanie jest mocno zredukowany. Tymczasem prawda, jeżeli chce się ją dostrzec, wygląda inaczej, no bo ojciec i matka pracują określoną ustawą ilość godzin i w gruncie rzeczy więcej mogą poświęcić czasu dzieciom niż — na przykład — nasi rolnicy, zajęci niekiedy od świtu do nocy na swoim.

W Miedwiedowskiej stanicy czynne są cztery szkoły ośmioklasowe i dwie średnie. Kwalifikacje zawodowe średniego poziomu — traktorzysty, mechanika, mistrza w takich specjalnościach jak elektryk, hodowca, można uzyskać na miejscu. Zdolniejsi bywają z reguły stypendiowani i studiują, nie zawsze jednak muszą wracać, ojczyźnie wszędzie można spłacać długi.

Jerzy Wasiliewicz, sekretarz Komsomołu powiada, że młodzieży w stanicy nie brakuje. Jeżeli jedni pójdą na wielki szlak wschodni zagospodarowywać Syberię, drudzy wracają na czarną ziemię, odbywają praktyki na polach, fermach, w kołchozowych laboratoriach i zostają. Wybór kandydatek na żony przedni — Rosjanki,

Kozaczki, Ukrainki, Edigejki, a nawet Greczynki. O własną chatę nie tak znowu trudno, kołchoz wytwarza wszystko, co przy budowie domu jest niezbędne. A na własnej działce można hodować wino, można i krowę.

Ładne są domy w Miedwiedowskiej, przypominają te z filmów, czyste, kolorowe, ukryte w kwiatach. Pod wieczór, kiedy ta ostatnia część dnia zdaje się zyskiwać na akustyce, wylewają się z okien jakiejś melodie, tęskne śpiewy, może własne, a może ze stacji krasnodarskiej kłaniają się peonie naginane wiatrem, młode wino oplata altany. To dziwne, ale starzy ludzie nie odpoczywają w tej porze. Mają swój dom dla wiekowych, rozległy sad, warzywnik, prowadzą więc swoje gospodarstwo, a jak się trafi dobra koniunktura — handlują. Trudno więc mówić o ingerencji w ludzki los, kiedy widać wyraźnie pomoc dla każdego od wiosennego po jesienny wiek.

Ku wieczorowi stanica ożywia się, ciągną ludzie do kina, do domów kultury, stroją instrumenty zespoły ludowe i takie w nowoczesnym stylu. Te ostatnie nie noszą co prawda nazwy w rodzaju — Tigers of Nowo-Korsuńska, czy Stephan Iwanowicz Group, ale za to mniej hałasują, chociaż używają takich samych instrumentów jak nasze. Program zajęć w domu kultury? Dziś przyjeżdża orkiestra filharmonii z Krasnodaru i występują pisarze, jutro wieczór wspomnień wojennych ilustrowany filmami, pojutrze baśnie ludowe inscenizowane przez młodzież, a także turniej harmonistów i szachowy. Programy spotkań po pracy narzuca z jednej strony wiekowa tradycja, starannie kultywowana, z drugiej — współczesność. Posiwiali żołnierze mieszczą się bez trudu na scenie obok orkiestry jazzowej, kozacka mandolina obok saksofonu.

POLSKIE ECHA NA KUBANIU

Oto stanica **Nowo-Korsuńska**, siedziba kołchozu **„Iskra"**. Specjalność — zielony groszek, nic więcej o uprawie i hodowli nie powiem. Kierowcy znają trasę na pamięć, wołgi zajeżdżają z fasonem przed monumentalny jak grecka świątynia dom kultury, a może pałac. Orkiestra przygrywa, piękne dziewczęta prezentują mi chleb z solą. Ciepły ten chleb jeszcze, pachnie, a jest tak rumiany jak policzki zdrowego dziecka. Biegną pionierzy z kwiatami. Pomyślałem sobie, że zaraz siądziemy za prezydialnym stołem, poeci będą mówić swoje wiersze a i ja rzeknę co nieco o naszej literaturze. Tak też i było, ale wcześniej, kiedyśmy gwarzyli na obszernym tarasie, spoglądając ku jezioru, zameldował mi się lejtnant w cywilu z gwardyjskiego pułku. Tak jest, zameldował się jak trzeba, postawa na baczność, pierś do przodu, brzuszek w miarę możności wciągnięty. Ponad 30 lat temu prowadził patrol do Łodzi od strony Pabianic, widział tłący się jeszcze Radogoszcz, popalone zwłoki ludzi i dobrze zapamiętał rozkaz — nie niszczyć miasta, oszczędzać fabryki, bo to połowa polskiego przemysłu lekkiego.

Tak dokonałem następnego odkrycia na czarnym lądzie. Chyba w każdej stanicy meldowali się mniej czy więcej służbowo dawni żołnierze, którzy szli przez Polskę po zwycięstwo tak, jak się idzie przez kraj nadziei. Nadziei na ocalenie życia, które ciężko tracić tuż przy granicy najeźdźcy. Mówili ranni z przyczółka sandomierskiego, nie brak ich na Kubaniu, spod poznańskiej cytadeli, o serdecznej opiece, jakiej w Polsce doznali. Któregoś nawet chciano w Polsce ożenić, hektary mu dawano, ale przecież nie wypadało brać agronomowi z przodującego sowchozu. Ci starzy żołnierze zapamiętali nazwy polskich miast, miasteczek, i wsi, imiona dziewcząt, przebieg małych bitew, w których wielki brali udział.

Wieczorem, najwybitniejszy tenor ze wszystkich przewodniczących kołchozów — **Mikołaj Kolenko**, zaśpiewał niespodziewanie starą, polską pieśń powstańczą — na koń! I ty bratnią podaj mi dłoń, przed nami noc ciemna, za nami pieśń rzewna, do broni nadszedł czas! I oni na Kubaniu i my w Polsce mówimy przy pożegnaniu te same słowa — na koń! Ale nie chodzi tylko o dawne choć nie gasnące echa. W Nowo-Korsuńskiej stanicy przypomniałem sobie spotkanie z brygadą kobiet sprzed kilku dni. Było to daleko od stanicy, w polu u Iwana Wusika. Pytały mnie o życie naszych kobiet na wsi, pracę i zabawę, ale pytały także, czy nie zanosi się na powiększenie produkcji łódzkiej „Olimpii" i „Lido", chciałyby się bardzo ubierać w Łodzi, cóż, kiedy towaru, a zwłaszcza bluzek i sweterków za mało przysyłamy. Polska dociera w te strony nie tylko jako echo wspólnych bojów, jest także ceniona za pracę dnia dzisiejszego.

Nie inaczej mają się rzeczy z literaturą. Zaglądałem do kołchozowych bibliotek i za każdym razem znajdowałem 50—80 tytułów polskich. Przeważa klasyka — Mickiewicz, rzadziej Słowacki, Orzeszkowa, Prus, Reymont, no i Sienkiewicz, który bije rekordy poczytności, zwłaszcza po gorąco przyjętym serialu telewizyjnym — „Pan Wołodyjowski". Nie brak Orzeszkowej i Konopnickiej, gorzej z literaturą współczesną, dobór wydawał mi się przypadkowy, mało reprezentatywny, może zresztą tak mi się akurat trafiło?

Brałem udział w kilkunastu spotkaniach autorskich i nie zdarzyło się, aby poeci nie mówili wierszy o Polsce. Mają je w swoim dorobku i **Sergiusz Dawidow** i **Oleg Dymitrow**, moi współtowarzysze wędrówek po czarnej ziemi, ale przecież nie tylko oni, a także pisarze z Białorusi czy Ukrainy, z którymi miałem okazję zetknąć się podczas Dni Literatury Radzieckiej.

W krasnodarskim hotelu „Kaukaz", gdzie biwakowaliśmy wspólnie, urządziliśmy sobie coś w rodzaju wieczoru pożegnalnego. Władował nam się do pokoju dość niespodziewanie **Eugeniusz Chromow**. Właśnie skończył mówić ostatnie wiersze o Polsce nasz przyjaciel **Aleksander Nikołajew**. W jego żyłach płynie polska krew, ofiarowała mu ją polska dziewczyna, kiedy zdawał się dogorywać podczas bitwy o Gdańsk. Tej krwi pozostał Nikołajew wierny. No więc Chromow... opowiedział nam dosyć niezwykłą historię — jechał niedawno do Polski, zaproszony przez kolegę z Warszawy. W Brześciu spytali go celnicy o to właśnie zaproszenie. Okazało się, że zapomniał o tym drobiazgu, a celnicy pytają twardo — kto was w końcu do Polski zaprosił? Stanął sobie Eugeniusz nad Bugiem, spoglądał w naszą stronę i napisał wiersz, w którym odpowiedział celnikom — kto go zaprosił. Zacne towarzystwo — Mickiewicz i Szopen, Broniewski i Gałczyński, żołnierze, którzy szli szukać wolności pod hasłem za waszą i za naszą, zaprosiły go także stare, historyczne miasta, wierzby mazowieckie, jeziora mazurskie i warszawskie pomniki. Celnicy ustąpili przed takimi argumentami chyba niezależnie od tego, że im zaproszenie przetelefonowano. Jakby na sprawę nie spoglądać Chromow tłumaczy zawzięcie Gałczyńskiego, a nasze literatury przerzuciły w ten sposób jeszcze jeden łączący je most.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SZWECJA ZA PIĘĆ

Przejazd autobusem kosztuje w Kopenhadze dwie korony, a paczka papierosów jedenaście. Jest to cena zryczałtowana dla wszystkich gatunków i w pierwszej chwili przeraża, biorąc pod uwagę stosunek korony (6) do dolara (1). Prawdziwy szok zaczyna się jednak dopiero w sklepach z alkoholem. Ludzie, którzy lubią sobie pogazować, a jest ich w Danii, w Szwecji i w ogóle całej Skandynawii sporo — bluźnią. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt osiemdziesiąt koron za flachę. Zwariować. Albo marzyć o wakacjach w Polsce, gdzie przy okazji można pozbyć się niepożądanego płodu.

Od niedawna ustawy skandynawskie pofolgowały trochę ciężarnym kobietom. Ale pijak cierpi w dalszym ciągu. Przed kilkoma miesiącami, żeby to cierpienie złagodzić, humanitarny polski jacht przycumował do duńskich wybrzeży z zapasem stu osiemdziesięciu ośmiu litrów spirytusu w bundzie. Był to oczywiście jacht prywatny i kapitan lepszy w gestach niż w języku, przeczył rękami i głową, kiedy celnicy wypytywali go o alkohol. Nie ma żadnego alkoholu, skąd! Jest turystą! Kontrola wykryła niestety kontrabandę i kapitan wraz z kilkoma członkami załogi trafił przed sąd, gdzie niebawem został uwolniony od zarzutów, wyjaśniając za pośrednictwem tłumacza, że nie zrozumiał celników. Nie zna duńskiego ani angielskiego. Bardzo to piękne języki, ale trudne i on nie zdążył ich przyswoić. Gdyby zdążył, jasne, że by zadeklarował spirytus. Jak najbardziej. Jest uczciwym turystą! Gdzie mu tam oszukiwać kochanych Duńczyków. Po co mu tyle alkoholu? Ano, lubi sobie nieraz popić z kumplami. Na podchwytliwe pytanie sędziego, jak się po polsku nazywa alkohol, odpowiedział przytomnie: — Gorzałka. To przeważyło i następnego dnia pojawił się w duńskim dzienniku artykuł pod współczującym, nie ironicznym bynajmniej, nagłówkiem:

„BIEDNI POLSCY TURYŚCI PADLI OFIARĄ NIEPOROZUMIENIA".

Wiara Duńczyków w człowieka nie zna granic. Ale ceny papierosów, alkoholu i samochodów wprost nokautują społeczeństwo. No, nie można tak, proszę państwa! Chyba, że się jest emerytem.

Emeryci żyją w Danii luźno. Emerytom niepotrzebne są samochody, gdyż każdy posiada migawkę i jeździ za darmo autobusem. Emerytów nie ciągnie już tak bardzo do flaszki, co zaś się tyczy papierosów, posiedli umiejętność zdobywania ich za pół ceny na promach, które kursują między Danią a Szwecją.

Promy te są niebywale oblężone, bo jednemu i drugiemu narodowi zdaje się, że u sąsiada taniej. Jest to, rzecz jasna, złudzenie. Aliści — jak powiada znany polski manierysta — Szwedom, Duńczykom i w ogóle wszystkim nacjom dobrze jest z takimi złudzeniami. Zacieśniają one kontakty, umacniają przyjaźń, pozwalają wspólnie ponarzekać, niwelują także różnicę między szwedzką i duńską mową.

Z Kopenhagi do Malmö odpływa każdego dnia trzydzieści jeden promów: pierwszy o godzinie 6,45, a ostatni o 01,00. Tyle samo w przybliżeniu wraca z Malmö do Kopenhagi. Niektóre, jak na przykład wodoloty, są drogie. Inne kosztują około dwunastu koron w jedną stronę. Jest ich jednakże kilka, ten o 8,30 i 10,30, które napełniają serce duńskiego emeryta i polskiego turysty słodyczą, albowiem opłata za bilet tam i z powrotem wynosi dokładnie **PIĘĆ KORON**, tyle więc co dziesięć papierosów, albo dwa i pół przejazdu autobusem.

I to jest właśnie najważniejsza atrakcja podróży.

Wysiadasz w Malmö i przechodzisz przez szwedzką komorę paszportowo-celną. Nikt nie sprawdza ci dokumentów ani nie grzebie, jeśli je masz, w walizce. Ale oczy policjantów i urzędników są czujne i zdarza się, że coś wypatrzą. Był człowiek, nie ma człowieka. Zabrali go gdzieś — przemytnika, złodzieja albo narkomana.

Krążymy po mieście. Pani Makowiecka robi ci zdjęcie pod kościołem i na jakimś staroszwedzkim placyku. Potem każe ci oglądać wystawy i przymierzać drewniaki, które w wersji szwedzkiej są akurat tak samo drogie jak w duńskiej. Tak samo drogie są również spirytualia, papierosy, komplety dżinsowe. Czyli, że sprawę mamy z głowy. Zwiedzamy jeszcze pocztę i dworzec. Snujemy przez chwilę leniwe projekty wycieczki do Sztokholmu, bo to ponoć całkiem miła mieścina. Sylabizujemy przez chwilę nagłówki szwedzkich gazet, które — każda na swój sposób — donoszą wołami na pierwszych stronach o scysji Ingmara Bergmana z urzędem podatkowym. Robimy znowu krótki spacer stwierdzając naocznie, że prawdą jest, iż szwedzkie ulice są jeszcze czystsze od duńskich. Te drugie sprawiają wrażenie, jakby je ktoś codziennie szorował szczotką, natomiast te pierwsze — jakby oprócz szczotki utrzymywały również permanentny kontakt z froterką. Wprost nieprzyzwoita, nieludzka czystość. Szwedzi, którzy odwiedzają Danię, przebąkują podobno o niechlujstwie... Ciekawe, co myślą o innych (nie wytykając palcem) krajach. Tak czy owak przyjemnie wrócić z tego szwedzkiego ładu do duńskiego „brudu", tym bardziej, że w Malmö duje zimne, przejmujące wietrzysko.

A więc znowu prom, ten o 16,30. Trzy czwarte pasażerów, to ci sami — którzy przypłynęli z tobą rano z Kopenhagi — starzy, roztrzęsieni, albo młodzi, długowłosi. Tylko tacy mogą sobie pozwolić na taką wycieczkę w powszedni dzień.

Przez pierwszych dziesięć minut wszyscy próbują znaleźć dobre miejsce przy oknie. Potem, ilu ich jest, ustawiają się w kolejce do kantyny i na podstawie powtórnie ostemplowanego rabatbiletu nabywają za pięć koron tę jedną jedyną paczkę papierosów. Mając za sobą tę największą atrakcję, rozchodzą się po kątach. Niektórzy (starzy) odwiedzają samoobsługowy bar, inni (młodzi) bawią się w dyskotece. Jeszcze inni drzemią, albo, kiedy kołysze, przełykają ślinę trzymając się kurczowo swoich krzeseł.

Niebawem widać już duńskie wybrzeża. Ot, tak z polskiego nawyku,

robimy szybki rachunek sumienia. Trzy plus dwa, minus siedem, pięć w pamięci, spuszczam zero...

Bez żartów! Bilet kosztował w obie strony pięć, a papierosy (dwie paczki) dziesięć, czyli w sumie piętnaście, podczas gdy realna wartość papierosów wynosi ponad dwadzieścia. A zatem, wybierając się do Szwacji, zarobiłem około pięciu koron, podobnie zresztą jak każdy inny pasażer promu. Kolosalna fucha, jeśli nie brać pod uwagę czasu, który chyba tylko dla wyjątków nie był czasem straconym.

Zdjęcia: ELŻBIETA MAKOWIECKA

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

DEMISTYFIKACJA MISTYKA

Charakterystyczne od pewnego czasu w Polsce zainteresowanie literaturą i sztuką okresu modernizmu znalazło swój wyraz w nowej inicjatywie wydawniczej Wyd. Łódzkiego. Jest nią publikacja książki Jerzego Tyneckiego pt. „Inicjacje mistyka. Rzecz o Tadeuszu Micińskim". Szumne nazwanie tej książki „inicjatywą wydawniczą" usprawiedliwione jest faktem, że Wydawnictwo Łódzkie dotychczas stroniło od publikacji tego rodzaju, drukując co najwyżej zbiory krytyki lub eseistyki literackiej. Natomiast książka Tyneckiego jest typową rozprawą historyczno-literacką, napisaną przy pomocy odpowiedniego warsztatu badawczego, opatrzoną obszernymi przypisami i indeksami, opartą na wnikliwych poszukiwaniach archiwalnych, będąca zresztą w pierwotnej wersji rozprawą doktorską. Podjęcie takiego ryzyka przez nasze wydawnictwo jest poniekąd „usprawiedliwione" faktem, że Miciński urodził się w Łodzi (czego udowodnienie jest zasługą dr Tyneckiego), i miejmy nadzieję, że tego rodzaju inicjatyw nie trzeba będzie naszej oficynie wydawniczej usprawiedliwiać nawet w przypadku, gdy praca nie jest związana z tematyką łódzką, a jednak wyszła spod pióra łódzkiego badacza literatury i na publikację zasługuje.

Twórczość Tadeusza Micińskiego trudno związać z jakimś jednym określonym prądem czy kierunkiem literackim. Krytyka znajduje w niej przejawy modernizmu, symbolizmu lub ekspresjonizmu. Wyznawcy (wielu ich?) upatrują w niej pokłady głębokiego mistycyzmu. Przeciwko takim interpretacjom skierowana jest książka Tyneckiego. „Nie wdając się w spory o «formalne» wartości dzieł Micińskiego — pisze autor — o jego «tygrysi skok» w nową sztukę, wyzyskując źródła chcę ukazać, w jakich uwikłaniach kulturowych przebiegało życie Micińskiego i jak te inicjacje w jego twórczości zostały z m i s t y f i k o w a n e. (...) W badaniach nad Micińskim proponuję inne podwaliny: ametafizycznego, nie mistycznego i nie kontestatorskiego rozumienia jego twórczości". Dla osiągnięcia tak postawionego celu badawczego Tynecki wybiera pewne fragmenty drogi życiowej autora „Kniazia Patiomkina", które miałyby zaważyć na charakterze tej twórczości. Będzie to więc dzieciństwo Micińskiego (tu bogato udokumentowane dzieje rodziny pisarza), jego związki ze środowiskami białoruskimi oraz działalność w nielegalnych kółkach uczniowskich. Według Tyneckiego takie a nie inne koleje życia twórcy „W mroku gwiazd" zadecydowały w określony sposób o swoistości jego dzieła, a to, co krytyka nazywa pierwiastkiem mistycznym w tej twórczości, jest jedynie swoistego rodzaju sublimacją i kompensacją pewnych doświadczeń życiowych. Doświadczenia te uległy później w pisarstwie Micińskiego szczególnej „mistyfikacji" i — paradoksalnie rzecz ujmując — tego rodzaju „pragmatyzm będzie rysem znamiennym «mistycyzmu» Micińskiego." Na poparcie swojego rozumowania badacz używa argumentów z prac... Williama Jamesa.

Rzeczą wielce problematyczną jest w ogóle możliwość przejścia od mistyfikacji do mistycyzmu, ale nie o to tutaj chodzi. Wolno historykowi literatury poszukiwać źródeł, inspiracji czy inicjacji dla twórczości w życiu danego pisarza. Gorzej, jeśli ich skonstatowanie nie idzie w parze z taką interpretacją twórczości, która by konstatację tę uprawomocniła. A to wydaje się głównym brakiem książki Tyneckiego. Nie znajdując w niej krytycznych analiz utworów Micińskiego, czytelnik ma prawo powątpiewać, czy jakiś fakt określany jako inicjacja dla tej twórczości, był nią rzeczywiście.

Nietrudno dostrzec, że u podstaw postępowania badawczego, jakie stosuje Tynecki, leży biografistycznie traktowana historia literatury. Ta przynosi ostatnio w Polsce znakomite rezultaty w postaci tzw. kronik życia i twórczości lub monografii bibliograficznych. Mają one ambicje wierności dokumentacyjnej i na tym polega ich rzeczywista i niezaprzeczalna wartość. Tynecki, postępując zresztą podobnie, jak autorzy takich prac, chciałby jednocześnie zinterpretować osobowość twórczą Micińskiego. Ale od dokumentacji do interpretacji droga daleka, tym bardziej że wkroczenie na nią pociąga za sobą zmianę metody i narzędzi badawczych. Praca Tyneckiego nie wnosi wiele nowego, jeśli chodzi o nowe spojrzenia na twórczość autora „Bazilissy Teofanu". Skutecznie natomiast kwestionuje mity i legendy narosłe wokół osoby samego Micińskiego. Mity, które zresztą pozostały w spadku po krytyce modernistycznej i z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Książka Tyneckiego staje się więc rewizją sądów o Micińskim, o których z góry wiadomo, że nie mogą odpowiadać współczesnej świadomości krytycznej. Staje się walką z cieniami, ale dzieje się to niejako z konieczności, ponieważ twórca „Kniazia Patiomkina" nie doczekał się do dzisiaj należnego mu zainteresowania ze strony krytyki współczesnej. Paradoksem jest fakt, że rewizję swoją przeprowadza Tynecki wychodząc z założeń krytyki postpozytywistycznej, i to rozumianej w sposób bardzo osobisty. „Można bowiem uznać — pisze — że w niezbyt pomyślnych stosunkach rodzinnych miały swoje źródło najważniejsze cechy postawy życiowej Micińskiego: nawyk wewnętrznego potwierdzania wiary w swoje posłannictwo twórcze, nawyk niezależnych a metafizycznych decyzji i ich wyolbrzymianie, cały prometeiczny podkład jego twórczości. W ogóle zaś jego społeczne, psychologiczne i biograficzne uwarunkowanie skłaniają do wniosku, że w epoce pozytywistycznej były dziedziny rzeczywistości i nurty literatury, (...) które zawierały już tendencje modernistyczne (a raczej secesyjne) in crudo, tak iż zadaniem następnego pokolenia było tylko przydanie im sankcji metafizycznych." Pomijając sprawę poprawności metodologicznej takiego rozumowania, to nawet — jeśli wniosek jest słuszny — wymaga on właściwego udokumentowania, po którego dokonaniu można by było napisać formułę: quod erat demonstrandum. Dokumentacją taką mogłaby być właśnie analiza twórczości Micińskiego, ale tej Tynecki w sposób programowy unika. Być może interpretacja dzieła Micińskiego kazałaby konkluzję jego biografa scharakteryzować inną formułą euklidesową: quod est absurdum. (A to ponieważ quod non est in actis, non est in mundo.)

Na wielu stronicach swojej książki Tynecki stara się usprawiedliwić z metody badawczej, którą wybrał i którą w swojej pracy stosuje. Nie byłoby to warte wzmianki, gdyby nie ciągła natrętność tego rodzaju uwag, rozbijająca tok właściwego rozumowania, i gdyby nie fakt, że praca zostaje zamknięta osobnym rozdziałem zatytułowanym „Kilka uwag metodologicznych i nie tylko". Tutaj też znajdziemy wyznanie wiary badacza: „Twierdzę, że poprzez biografię pisarza, to znaczy poprzez odczytaną w niej kulturę, można równie dobrze interpretować czyjąś twórczość — i uprzystępnić ją — jak poprzez bezpośrednie analizy ergocentryczne; jeśli nie lepiej." Owszem, można — ale czy „równie dobrze" lub nawet „lepiej" — to rzecz sporna. Zresztą faktem kulturowym jest raczej samo dzieło, a nie — biografia.

Przeprowadzone przez Tyneckiego szerokie i dogłębne badania źródłowe i archiwalne narzuciły mu same wybór narzędzi badawczych. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że z tego powodu badacz poczytuje sobie za obowiązek przeprowadzanie ustawicznej polemiki z tzw. „modnymi" orientacjami we współczesnym literaturoznawstwie. Najczęstszym celem ataków Tyneckiego staje się strukturalizm (jaki?), z którym polemizuje on m. in. w następujący sposób: „Strukturalizm arbitralnie w a r t o ś c i u j e i liczni są tacy, którzy wykorzystują go po to, by stać się faktorami [?] par force. Ale i n t e r p r e t a c j a krytyczno-a zwłaszcza historycznoliteracka musi być bardziej analityczna. Musi uwzględniać, że struktura dzieła literackiego nie tylko nie bierze się znikąd, lecz i nie z niczego. Jeśli istnieje «struktura» dzieł Micińskiego, to z pewnością istnieje też «struktura» mentalności jego matki. Te dwie «struktury» coś przecież obejmują i jakoś się do siebie mają". Równie płodna byłaby analogia struktury „Króla-Ducha" ze strukturą mentalności pani Bécu...

Tynecki postawił sobie za zadanie zdemistyfikowanie mistycyzmu Tadeusza Micińskiego. I cel ten osiągnął. A to przy pomocy wnikliwej analizy źródeł związanych z biografią twórcy. Końcowy rezultat badań Tyneckiego można by ująć w zdaniu: mając taką biografię, nie można być mistykiem, a wszystko to, co dotychczas było interpretowane jako m i s t y c y z m w twórczości Micińskiego, jest jedynie m i s t y f i k a c j ą własnego jego życiorysu. Gdyby konkluzja ta zyskała potwierdzenie w analizie utworów autora „Walki o Chrystusa", mielibyśmy naukową weryfikację sądów do tej pory funkcjonujących o Micińskim w krytyce literackiej. Można mieć nadzieję, że Jerzy Tynecki w następnej swojej pracy pokusi się o udowodnienie tegoż. Pytanie tylko: dlaczego literaturze polskiej ma się odbierać jedynego mistyka od czasów Słowackiego?

A mówiąc nawiasem: badania nad twórczością Tadeusza Micińskiego miałyby większe uzasadnienie wówczas, gdyby mogły być skonfrontowane ze współczesnym odbiorem czytelniczym. Tymczasem od roku 1957 nie mamy żadnych wznowień utworów autora „Nietoty". PIW-owski wybór poezji z tego roku nie może być właściwą prezentacją twórcy, który był nie tylko poetą, ale również prozaikiem, dramaturgiem, filozofem, publicystą... Może by Wydawnictwo Łódzkie zainteresowało się twórczością pisarza, który przecież był z urodzenia łodzianinem, a który tak wiele znaczy dla kultury polskiej? W osobie Jerzego Tyneckiego znalazłoby ono niewątpliwie odpowiedzialnego redaktora wyboru najcenniejszych pism autora „Kniazia Patiomkina".

A może któryś z teatrów łódzkich przypomniałby sobie o dramaturgu, który jako jedyny w swoim czasie może konkurować z Wyspiańskim?

Jerzy Tynecki, Inicjacje mistyka. Rzecz o Tadeuszu Micińskim. Łódź 1976, Wyd. Łódzkie.

JAN BĄBIŃSKI

INDYWIDUALIŚCI

W Łodzi gustuje się w turystyce. Przypuszcza się, że tylko za pośrednictwem biur turystycznych uda się w tym roku do krajów RWPG kilkanaście tysięcy łodzian. Wyjazdy do NRD statystyce się wymykają. To już rzeka, która płynie i płynie wciąż szerszym i szerszym korytem. Na Zachód wyjedzie przez „Orbis" 700 łodzian. Te dane są niepełne. Dochodzą przecież jeszcze indywidualne wyjazdy do rodzin, na zaproszenia, wreszcie wyjazdy tych, którzy mają konto „A" i jeżdżą kiedy chcą, dokąd ich oczy poniosą.

Wyjeżdżających w świat łodzian z grubsza dałoby się rozdzielić na trzy jakby podgrupy:
— na ludzi, którzy jeżdżą, by coś zobaczyć,
— na ludzi, którzy jeżdżą, by wypocząć,
— na ludzi, którzy jeżdżą, aby się „to zwróciło".

Wolter kiedyś napisał, jeśli ujrzycie, że szwajcarski bankier wyskakuje z okna, popędźcie za nim. Gdzieś tam jest pieniądz do zrobienia... Więc jeśli ujrzycie jak handlara taszczy ciężkie tłumoki na Fabryczny Dworzec, ruszajcie za nią. Ten rejs wiedzie pewnie na tureckie bazary w Konstantynopolu. Handlary są sprytne, bezczelne, oblatane, aroganckie i pewne siebie. Jednak radziłbym nie uogólniać. Do czorta z handlarami, naplewać, nie one nadają ton w turystycznej muzyce. To margines. Ale jak pijak na ulicy tak jedna przekupa w dużej nawet wycieczce rzuca się w oczy najbardziej.

Dureń jeździ, mądry podróżuje — powiadają Anglicy. My, Polacy inaczej: podróż nie tuczy, lecz rozumu uczy. Opatrzność wie co robi. Jednym dała wujka w Ameryce, innym dała pracowitość. Jednym dała mądrość, drugim dała spryt. Jedni zyskali wiedzę na studenckiej ławie, inni zyskali wykształcenie na turystycznych trasach. Albowiem powiedziane jest, dużo wie, kto dużo widział. Co do handlar, to niejedna się sparzyła. Byłem świadkiem jak hotelowy portier w Wiedniu uchylił przed babsztylem stojącą w kącie szafkę i skrzywił się z pogardą — Kryształy? Niech pani da lepiej spokój, mam już tego jak ulęgałek.

Nie każdego stać oczywiście na skok kangura przez Alpy. Wielu wszakże przeskakuje na skrzydłach odrzutowców nawet do samej Japonii. „Orbis" załatwi i taki przelot. Byle zapłacić. Cenę usługi skromnie przemilczę. Bo jakiś podłódzki samuraj gotów jeszcze wyskoczyć z badylarskim mieczem i nuknąć mi do ucha: poszoł won, chudy żurnalisto!

Widziałem w Rzymie betoniarza. Przy odbudowie toruńskiej „Elany" zgarnął wielką premię. I wszystko co dostał, przeznaczył na wyjazd do Italii. Zaimponował mi ten człowiek i podniósł na duchu. Zaimponowała mi też pewna starsza już urzędnicza para z Łodzi. Ciułali przez lata. I wytrwali w postanowieniu. Pojechali. Cóż, kto spędził pół życia w biurze na przestrzeni paru metrów kwadratowych, czuje w pewnej chwili, że się dusi, że ogarnia go czarna rozpacz. Podejmuje więc decyzję. Niech kosztuje co chce, trzeba się wyrwać w szeroki świat. To mądra decyzja.

Kto nie podróżuje, pełen jest przesądów... Francuzi to lekkoduchy i kobieciarze. Włosi — kataryniarze, Szwedzi ponurzy jak noc. Grecy gorsi od Cygan. Hiszpanie nadęci. Czesi zarozumiali. Rumuni — kanciarze. Bułgarzy bardziej papiescy od papieża. Anglicy sztywni i nieprzystępni... Potem, gdy się to zobaczy z bliska, człowiek dochodzi do przeświadczenia, że wszyscy jesteśmy na tym kontynencie jednacy, wszyscy po jednych pieniądzach, jak powiadają w Cieszynie. Kanciarzy to nigdzie nie brak.

Jeździ, kto na to ma. Ma się na to w państwach, w których roczny dochód narodowy w przeliczeniu na mieszkańca przekroczył zakiętą granicę 2000 dolarów. Według wyliczeń tych zachodnich ekspertów, Polska osiągnęła w zeszłym roku dochód w wysokości 2300 dolarów na głowę ludności. Zrównała się z Węgrami. Zdecydowanie wyprzedza Jugosławię, Rumunię i Bułgarię. Goni Czechosłowację i NRD, gdzie dochód narodowy oscyluje wokół 3000 dolarów na mieszkańca.

Po cóż ci ludzie jeżdżą? Niebo wszędzie jest niebieskie. Starczy zobaczyć jedną rzekę, jedną górę i jedno morze i już się wie jak wygląda cały świat. To nie takie proste. Kto raz zakosztował „pomarańczowych" krajów, już się bez ich smaku nie obejdzie. Inna sprawa, że turystyczny bakcyl nawiedza ludzi, którzy nie umieją usiedzieć na miejscu. Wierci im w głowie. Wierci im w pięcie. To rodzaj choroby. Jeśli ktoś twierdzi, że znalazł lekarstwo na raka, albo że jest Napoleonem, uznaje się to za przejaw zaawansowanej schizofrenii. Jeśli ktoś twierdzi, że należy do narodu wybranego, lub że powinien mieć dziesięć żon, powiada się, że to Izraelita z Berdyczowa albo Mormon z Lake City. I wszystko jest w porządku. Ale czy jest chorobą spleen, który daje się ponoć wyleczyć jedynie daleką podróżą? Prawdopodobnie. Znam ludzi, że koszulę oddadzą, byle mieć raz jeszcze przed oczami widok z Sorrento na Wezewiusz i Neapolitańską Zatokę.

Turystyczny bakcyl wnosi do szarzyzny codziennego życia przyjemność, przygodę szczyptę romantyzmu i dreszczyk całkowitej swobody. Jeden wypad nad Bosfor oświadczyła pewna turystyczna dama, podkręca mnie już potem na cały rok. Więc czy w „Orbisie" kupuje się zarówno zorganizowane usługi wytrawnego przewoźnika jak i nowe i wielkie przeżycia? Rzecz jest ogromnie względna. Rozległość przeżyć nie w głębokości portfela, tylko we wrażliwości duszy.

Przed laty była moda na metropolie. Tłumy zziajanych i zapoconych turystów szlifowało asfalt paryskich bulwarów. Jeżdżono po kamiennych miastach, oglądano pałace, muzea, stare mury i stare baszty. Dziś te wielkie miasta mało kogo interesują. Wszystkie są niepokojąco do siebie podobne. I wciąż upodabniają się bardziej. Dziś jest na Zachodzie w dobrym tonie zwiedzić Syjam, Nepal Afganistan, Sycylię i Mongolię. Łodzianie wiedzą lepiej. Łódź na Sycylię nie jeździ. Mongolii unika jak ognia. Wiele wycieczek na Sycylię „Orbis" odwołał. Brak chętnych. Dziwne to i niezrozumiałe.

Myśli kto, że cena odgrywa rolę decydującą?
Ja też tak myślałem. Bądź co bądź „Orbis" do tanich przewoźników nie należy na pewno. Ten argument upadł w momencie, gdy w pewnym biurze ujrzałem całe góry formularzy, a za tą górą blond-sekretarkę, stukającą na maszynie. Blond-sekretarka wypisywała adresy na kopercie, wsuwała do koperty odłożony formularz, znów wypisywała adres i tak w kółko przez długie, długie dnie. Kilkanaście tysięcy łodzian otrzymało odpowiedź odmowną. Ze względów zasadniczych obywatel taki to a taki przydziału dewiz w tym roku nie otrzyma... To właśnie jak z tą kołdrą, żadna studnia nie jest bez dna, Salomon też nie pomoże.

Jakże więc, tysiące łodzian są gotowe wyłożyć sporą przecież kwotę na oficjalny zakup 130 dolarów, a mało kto jest skłonny wyszarpnąć z kieszeni trochę grosza na zbiorowe, świetnie prowadzone wycieczki do Sycylii? To jest ten paradoks. Widocznie myśli wielu chodzą po labiryncie podobnym do labiryntu legendarnego Minotaura. Czegoś się szuka, tylko że nie bardzo wiadomo czego. Może łodzianie to indywidualiści? Ciżby nie znoszą i wolą w pojedynkę?

OD NADMIARU PODRÓŻNYCH PĘKAJĄ W „SZWACH" WAGONY KOLEJOWE. AUTOBUSY, WSZYSTKO CO SIĘ TOCZY I ZMIERZA W KIERUNKU MORZA, GÓR LUB MAZURSKICH JEZIOR. I TAK JUŻ JEST. WIADOMO — KANIKUŁA, WAKACJE: POLSKA — TA URLOPOWANA RUSZA W PLENER. NO, NAD CZYM SIĘ TUTAJ ZASTANAWIAĆ, W CZYM PROBLEM? PROPONUJĘ ZAPAMIĘTAĆ NASTĘPUJĄCE LICZBY:

● W ROKU 1965 W KRAJOWYM RUCHU TURYSTYCZNYM UCZESTNICZYŁO OKOŁO 46 MILIONÓW „STATYSTYCZNYCH" POLAKÓW. A W ROKU 1975 TURYSTYKA WEWNĘTRZNA OBJĘŁA W NASZYM KRAJU OKOŁO 120 MILIONÓW „STATYSTYCZNYCH" OSÓB.

● PROGNOZY NA ROK BIEŻĄCY MÓWIĄ, ŻE PADNIE JESZCZE JEDEN REKORD. SZACUJE SIĘ, ŻE RUCH TURYSTYCZNO-WCZASOWY OBEJMIE BLISKO 126 MILIONÓW POLAKÓW.

SKŁADNIK WIELKIEJ TRÓJKI

Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że podane wyżej liczby wymagają odpowiedniego komentarza, bo przecież jest nas „trochę" więcej aniżeli 30 milionów, a tu nagle mówi się, że

KRZYSZTOF POGORZELEC

MILIARDY ZA POWIETRZE

aż 126 milionów Polaków skorzysta z turystyczno-wczasowego „wyraju". Jakże to?

Nó cóż, nieprzypadkowo użyłem pojęcia „statystyczne osoby" w odniesieniu do tych, którzy w tym roku wezmą udział w ruchu turystyczno-wczasowym, gdyż jest to po prostu suma tych wszystkich jacy z tego dobrodziejstwa skorzystają. Może więc być i jest tak, że jedna osoba 2—3 razy uczestniczy w rozmaitych formach wypoczynku, przez kilka lub kilkanaście dni np. i z tego biorą się te pozornie nieprawdopodobne liczby.

Nie zmienia to jednak nic z dosyć oczywistej prawdy: w ślad za procesami społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, wzrastającym gwałtownie tempem rozszerza się nie tylko zapotrzebowanie, ale — co ważniejsze — praktyczne uczestnictwo w różnych formach wypoczynku, turystyki. Staje się to najzwyczajniej — jak to łatwo się dziś stwierdza! — zjawiskiem masowym, elementem, właściwym sposobem zagospodarowania wzrastającej ilości wolnego od pracy czasu. Ma to naturalnie swój wyraz socjalny, jest odzwierciedleniem społecznej polityki partii i rządu, tak wyraźnie nakierowanej na humanistyczne cele po roku 1970. Można więc całe to zjawisko pędu do korzystania z różnych form turystyki i wypoczynku rozpatrywać w kategoriach naturalnego dążenia człowieka do regeneracji sił. Można jednak popatrzeć na ten problem od innej strony. Jakiej?

Nie bez racji mówi się dziś w naszym kraju o wypoczynku i turystyce, jako o składnikach p o p y t u k o n s u m p c y j n e g o, przy czym dołącza się do niego jeszcze inne zjawiska, niezmiernie charakterystyczne dla rozwiniętego społeczeństwa i takiej samej gospodarki, a mianowicie zapotrzebowanie na lepsze warunki mieszkaniowe oraz szerzej rozwinięte usługi.

Jeśli się tak popatrzy na ten problem, a raczej zjawisko, przybiera ono zupełnie inne kształty zamieniając się z „urlopowego amoku" w instrument ogólnej polityki gospodarczej, ważny czynnik konstruowania równowagi na rynku, samopoczucia — co nie jest bez znaczenia — obywateli.

A to już poważna sprawa.

CZY WSZYSTKO JUŻ WIEMY?

Jeżeli zgodzicie się na takie traktowanie coraz wyraźniej zarysowującego się w Polsce wzrostu popytu turystyczno-wypoczynkowego, to chciałbym się przez moment choćby zastanowić nad tym, czy dokładnie znamy przedmiot tego zainteresowania?

Jakże — powiadacie — jeśli tak skrupulatnie wszystko już policzono, to z pewnością nie ma innych tajemnic turystyczno-wypoczynkowych naszego społeczeństwa...

Otóż — nie jestem tego tak bardzo pewny.

Na jedną ogólną prawidłowość wszyscy się zgadzamy. Oto nikt nie podważa tezy, iż u podstaw wzrostu zainteresowania i praktycznego uczestnictwa w ruchu wypoczynkowo-turystycznym, znajduje się nic innego jak wzrost dochodów społeczeństwa.

„Podparciem" dla tej tezy są oczywiście liczby. Co one mówią?

Jeśli w roku 1965 przeciętne roczne wydatki gospodarstwa domowego na turystykę i wypoczynek — w przeliczeniu na jedną osobę — oscylowały wokół kwoty 1.100 złotych, to w roku 1974 wyniosły już 1 680 złotych stanowiąc blisko 10 procent ogólnych rocznych wydatków całego gospodarstwa. Jawi się tutaj oczywiście współzależność zachodząca między wzrostem przeciętnych dochodów statystycznej rodziny żyjącej w naszym kraju, a powiększeniem się wydatków na turystykę i wypoczynek. Naturalnie — jest to średnia bowiem dla przykładu w gospodarstwach domowych o dochodzie miesięcznym przekraczającym 2.000 zł na osobę, wydatki „wypoczynkowe" kształtowały się na poziomie 2.800 zł w skali rocznej licząc na osobę, gdy w rodzinach o dochodzie 600 zł na jednego członka były trzy razy niższe.

TURYSTYKA

Znając ogólne założenia naszej polityki społecznogospodarczego rozwoju, zawarte m.in. w postanowieniach VII Zjazdu partii, a przewidujące dalszy wzrost płac, można bez obawy o popełnienie jakiegoś większego błędu powiedzieć, że popyt na turystykę i wypoczynek będzie szedł równolegle do zwiększania się dochodów przeciętnej polskiej rodziny, przy czym zaznaczy się to szczególnie w tych gospodarstwach domowych, w których odbiega on obecnie od średniej krajowej.

Nie jest to jednak trudna do rozwiązania zagadka. Są natomiast inne — nastręczające więcej problemów, ale czy n i e w i a d o m y c h?

WNIOSKI DLA PLANISTÓW

Specjaliści zajmujący się obserwacją zjawiska popytu na wypoczynek i turystykę mówią, że można zaobserwować w całym tym problemie — tak, bo jest to problem społeczny i ekonomiczny — szereg prawidłowości, które godne są nie tylko zastanowienia. Oto tylko niektóre z nich:

*** jeśli na przestrzeni czterech lat, między rokiem 1970 a 1974 rozmiary popytu turystycznego i wypoczynkowego wzrosły w naszym kraju o jakieś 35 proc. to w ogólnym spożyciu przez ludność dóbr niematerialnych oraz usług, udział konsumpcji turystycznej jest prawie stały; kształtuje się w granicach 5—6 proc. ogólnego spożycia;**

*** jeśli tak jest, to można przewidzieć kształtowanie się popytu na usługi turystyczno-wypoczynkowe i przeciwstawić temu odpowiednią podaż.**

Jest to kwestia niezmiernie istotna, jako że choć od paru lat zdajemy już sobie dobrze sprawę, jak wielką rolę spełnia ten rodzaj usług nie tylko dla zregenerowania sił wydajnie pracującego człowieka, lecz również i z tego, że może to być potężna siła napędowa dla rozwoju wielu obszarów naszego kraju, otrzymywania miliardów złotych... za powietrze, wodę, no i krajobraz. Musi to jednak mieć odpowiednie wsparcie w postaci nie tylko materialnej bazy dla turystyki i wypoczynku, lecz także całej masy innych pozytywnie działających czynników, bodźców. Jest na przykład wysoce interesujące, że w całej wielkości popytu turystycznego występującego w naszym kraju, udział dóbr i usług ż y w n o ś c i o w y c h nie przekracza 22 proc. Natomiast cała reszta popytu turystyczno-wypoczynkowego wiązana jest z takimi potrzebami, jak usługi transportowe (20 proc.) opłaty za uczestnictwo we wczasach, wycieczkach itp. (16 proc.) i wreszcie 10 proc. globalnych wydatków turystycznych ludność kieruje na zakup odpowiedniej odzieży, obuwia, sprzętu.

Nie lekceważyłbym tych wskaźników i ukrytych w nich proporcji. Szczególnie teraz kiedy szukamy dróg polepszenia struktury popytu, spożycia, gdy chcemy otworzyć nowe wentyle dla dynamizacji gospodarki; jej racjonalizacji i zwiększenia efektywności.

OD PRZYBYTKU GŁOWA BOLI?

Kiedy już z grubsza biorąc zaprezentowaliśmy zjawisko Polaka „konsumenta" turystyki i wypoczynku, to przejdźmy teraz...

Aha — może powiecie — skończyły się... żarty, zaczynają się schody!

Cóż, powiedzieć wypada, że temu bardzo szybkiemu wzrostowi materialnych możliwości społeczeństwa na „konsumowanie" turystyki i wypoczynku, tylko z wielkim trudem możemy przeciwstawić odpowiednią podaż tego rodzaju usług. Mimo że i w tej dziedzinie sporo dokonaliśmy. W roku bieżącym z wczasów w domach zakładowych skorzysta 3,3 miliony osób, z placówek FWP — 684 tysiące, z tzw. wczasów profilaktycznych w sanatoriach 79 tysięcy, a w placówkach ściśle sanatoryjnych, leczniczych — dalszych 46 tysięcy.

No i w dalszym ciągu cała ta baza trzeszczy w szwach.

Można i oczywiście trzeba powiedzieć i w tym miejscu, że sytuacja będzie się zmieniała, ale trudno wyrazić tutaj pogląd, że niebawem popytowi odpowiadać będzie podaż. Dają tutaj bowiem o sobie znać wieloletnie opóźnienia, bądź też dosyć krótkowzroczna, a praktykowana do roku 1970 polityka, lansująca w gruncie rzeczy prymitywizm w modelu wypoczynku Polaka. Daje to o sobie znać zaśmieceniem krajobrazu owymi niby to „domkami", niedosytem innej bazy niezbędnej dla bardziej „niezorganizowanego" wypoczynku — np. podróżowania po kraju, co przy stale zwiększającej się motoryzacji nie jest znowu takim fenomenem. Turystyka i wypoczynek — jako element kształtujący konsumpcję, a nawet styl życia wołają więc o motele, małe restauracje, bistra przydrożne, biwaki i pola namiotowe z prawdziwego zdarzenia.

Na to wszystko przyjdzie nam jeszcze nieco poczekać. Chociaż — ile to rzeczy, pozornie niemożliwych, zamieniło się w rzeczywistość, szybciej niż się tego spodziewaliśmy.

Życzę Wam i sobie — tego.

KRZYSZTOF POGORZELEC

PROBLEMY

BOGDA MADEJ

W GAZOWNI ŻYCIE WOLNIEJ PŁYNIE

Chodzimy i nucimy sobie starą piosenkę: „Ta ostatnia niedziela", bo to jest dla nas faktycznie ostatnia niedziela. Dla tych, którzy pracują przy wytwarzaniu gazu. Nazywamy nasz oddział piecownią. Ale dla mnie jest to podwójnie ostatnia niedziela. Raz, że właśnie 11 lipca 1945 roku zacząłem pracować w łódzkiej gazowni i właśnie teraz, 11 lipca 1976 roku, w niedzielę, minie dokładnie 31 lat mojej tu pracy. A dwa, że jest to ostatnia niedziela dla naszej piecowni. W poniedziałek, 12 lipca 1976 roku wygaśnie piec, który tyle lat służył...

„Z innych urządzeń komunalnych należy wymienić gazownię uruchomioną w 1869 r. i elektrownię — w 1886 r. Po uruchomieniu gazowni pojawiły się na ulicach Łodzi lampy gazowe, od 1908 r. zaczęto wprowadzać oświetlenie elektryczne." (Ryszard Rosin i Mieczysław Bandurka — „Łódź 1423 — 1823 — 1973, Zarys dziejów i wybór dokumentów").

Zacząłem pracować w warsztatach i przeszedłem wszystkie wydziały. Gdybym wiedział, to przyniósłbym ze sobą swoje papiery. Mam w nich różne uprawnienia. Będzie tego chyba z dziesięć. Jak trzeba było to i węgiel łopatą wyrzucałem. Ale wyuczyłem się kilku fachów. Mam uprawnienia tokarza, kolejarza manewrowego. A i latarnikiem byłem...

„Dnia 25 czerwca 1867 roku Anglik inżynier W. Cartwright Holmes w imieniu reprezentowanej przez siebie Spółdzielni zawarł przed Notariuszem Łódzkim Marcelim Jaworskim umowę z Zarządzem Miasta Łodzi, na mocy której Holmes zobowiązał się wybudować gazownię oraz dostarczyć gaz do oświetlania ulic, placów, gmachów i domów prywatnych... W zamian miasto dostarczyło dwa wolne place o powierzchni dwóch mórg przy ulicy Targowej i udzieliło Spółce koncesji na lat 40.

(...) Po wygaśnięciu 40-letniej koncesji za zgodą Zarządu Miasta Łodzi przedsiębiorstwo wykupiło od dnia 26 czerwca 1909 roku Konsorcjum Dzierżawców Gazowni Miejskich w Łodzi, stanowiące spółkę akcyjną obywateli łódzkich. Do przedsiębiorstwa wprowadzono język i zwyczaje polskie.

(...) Dnia 13 kwietnia 1920 roku skończył się okres rządów akcjonariuszy. Gazownię przejął Zarząd Miejski m. Łodzi. Odtąd stała się ona przedsiębiorstwem społecznym. Nadzór nad Gazownią z ramienia Zarządu Miasta sprawowała Rada Nadzorcza." („100 lat Gazowni Łódzkiej w służbie społeczeństwa 1869—1969". Album pamiątkowy stuletniej pracy przedsiębiorstwa i załogi.).

Był nawet taki moment, że chciałem odejść z gazowni. To było dawno, ale było. Pracowałem wtedy w narzędziowni. Czasy były niełatwe. Nie mieliśmy mieszkania. Córka nam rosła. Nie było mi łatwo podjąć taką decyzję. Żona widziała, że mi trudno i mówiła: — Bolek, zastanów się dobrze nim się zdecydujesz. Ale ja — tak mi się przynajmniej wydawało — już się zdecydowałem. Wybrałem swój wkład z kasy zapomogowo-pożyczkowej. Zacząłem chodzić z kartą obiegową. I wtedy pomyślałem sobie, że źle robię. Ale sam się nie chciałem wycofać. Myślałem sobie, może ktoś coś powie, pomoże mi, żeby to nie wyglądało, że sam się rozmyśliłem. Tak się też stało. Spotkał mnie dyrektor Struszczak i powiada: — Panie Dobiech, co pan robi najlepszego! Źle tu panu u nas? Nie rób pan głupstw. Zostań pan!

A mnie aż się lżej zrobiło na sercu. I zostałem. Ale i tak będę musiał odejść. W kwietniu przyszłego roku. Na emeryturę, czyli jak to mówią — na zasłużony odpoczynek. To też nie będzie wesołe. Co robić. Nasz dyrektor wprawdzie mówi, że w gazowni życie płynie wolniej, bo niby trzeba pracować wolno, dokładnie i wydajnie, żeby wypadku nie było, ale mimo wszystko życie płynie. I moje też upłynęło. Pocieszam się, że nie tylko moje. W zeszłym roku odszedł jeden taki, co to w naszej gazowni przepracował 52 lata. Są tu jeszcze tacy, trzech ich jest, co zaczęli pracować w gazowni jeszcze przed wojną, w trzydziestym siódmy, ósmym. Bo tu się pracuje jak w rodzinie. Pracują tu zresztą całe rodziny. Na przykład Gawłowskich. Brat mojej matki też tu robił i on mnie namówił, żebym przyszedł do gazowni. Zresztą moja żona też tu pracuje...

Wysłużyła się już łódzka gazownia. Położona w środku miasta stała się zbyt uciążliwa dla otoczenia. To był powód pierwszy, dla którego zdecydowano wygasić piec produkujący przez te wszystkie lata gaz dla Łodz.

Powodem drugim był postęp. Zbudowano gazociągi i płynie nimi do Łodzi gaz ze Śląska i innych rejonów kraju. Gaz ziemny jest bardziej kaloryczny, ma on 9000 kalorii, podczas gdy gaz produkowany w łódzkiej gazowni tylko 4000 kalorii. W Łodzi już prawie 45 proc. odbiorców korzysta z gazu ziemnego.

Powód trzeci: gaz świetlny w Łodzi produkowano nie z koksu, ale z węgla najwyższej jakości. Dziś już to się nie opłaca. W Łódzkiej gazowni mówią, że gdyby takim węglem napalić w piecu, to po takim paleniu piec nie nadawałby się już do użytku. Taki to doskonały węgiel. Szkoda więc go do wytwarzania gazu, tym bardziej że ten lepszy gaz płynie do Łodzi już od 1971 roku.

Powiedziałem, że byłem latarnikiem, to znaczy takim od zapalania gazowych latarń. Dziś już nie ma w Łodzi gazowych latarń. Ostatnie były na ulicy Przędzalnianej. Nasz dyrektor to nawet mówi, że przydałoby się je z powrotem założyć w Parku Źródliska, żeby była jakaś pamiątka. Przydałyby się też takie latarnie przed gazownią, bo te co stoją to na elektryczność.

Tylko tak naprawdę, to nie ja byłem latarnikiem, a moja żona. Do jej obowiązków należało zapalanie i gaszenie gazowych latarni właśnie na ulicy Przędzalnianej, Skierniewickiej i Częstochowskiej. Latem trzeba było zapalić o godzinie 21,30 a zgasić o 2. Zimą zapalało się o 15,30 a gasiło o 7. Więc latem pomagałem żonie zapalać i gasić latarnie. Gorzej było zimą. Wtedy sama musiała więcej robić, bo ja o tej porze to albo wracałem z pracy, albo byłem już w pracy. Ale pomagałem jej czyścić szybki w latarniach, reperować. Taka robota wymagała męskiej, fachowej ręki.

Wolałem nawet, jak żona pracowała jako latarniczka, bo i w domu było zawsze posprzątane i obiad na czas ugotowany. Mogłem sobie po pracy odpocząć. Żona już 23 lata pracuje w gazowni. Pracowała później w magazynie, a teraz jest „obchodową", kontroluje sieć gazową. I teraz, jak wracamy z pracy, to razem musimy sprzątać, pomagam jej w gotowaniu. Nie narzekam. Wiem, że tak trzeba robić, ale który chłop nie woli przyjść do domu, jak już w domu wszystko zrobione? Takie już mamy charaktery...

Założono, że całkowitą wymianę gazu świetlnego na gaz ziemny przeprowadzi się bądź do 1982 roku, bądź do 1984 roku. Do tej pory, dla tych odbiorców, którzy mają stare urządzenia gazowe, będzie się przerabiać gaz ziemny na świetlny. Aby wszyscy mogli korzystać z gazu ziemnego, trzeba przerobić sporą część sieci gazowej i to zarówno tej podziemnej, jak i tej w starych domach. Przerabianie gazu ziemnego na świetlny jest czynnością drogą i bardzo pracochłonną, ale konieczną. Nowe osiedla dostosowuje się już do korzystania z gazu ziemnego. W starych będzie się to czynić wolno, ale cała operacja musi być przeprowadzona szczególnie dokładnie.

Co będę robił po tej ostatniej niedzieli? Pracy tu dla nikogo nie zabraknie. O mnie też pomyślano. Kierownik narzędziowni, Kocik powiedział do mnie: — Panie Dobiech, chodź pan do nas! I pójdę. Dla mnie to nie nowość. W narzędziowni już pracowałem. Teraz wrócę tam na te ostatnie siedem miesięcy. To nawet pasuje. Zaczynałem w narzędziowni i w narzędziowni skończę...

Załoga „piecowni", czyli oddziału produkującego do tej pory gaz świetlny, idzie cała w sierpniu na urlop. Po urlopie przejdą przeszkolenie, w zależności od tego, do jakiej pracy zostaną skierowani. A skieruje się ich do różnych prac: do konserwowania stacji redukcyjnych, zakładania instalacji i budowy sieci. Niektórzy odeszli już na emeryturę.

Popularnie mówi się: gazownia, ale w istocie są to ŁÓDZKIE OKRĘGOWE ZAKŁADY GAZOWNICTWA. Pracownicy tych zakładów opiekują się siecią i urządzeniami gazowymi nie tylko w Łodzi. Okręg obejmuje rozległy obszar kilku województw. Z gazu, już tego ziemnego, korzystają mieszkańcy Radomska, Tomaszowa Mazowieckiego, Zgierza, Aleksandrowa, Konstantynowa, Koluszek, Żyrardowa, Opoczna, Bełchatowa. Od 22 lipca 1976 roku z gazu ziemnego będą korzystać też mieszkańcy Rawy Mazowieckiej.

Zwiększał się teren podlegający ŁÓDZKIM OKRĘGOWYM ZAKŁADOM GAZOWNICTWA, ale nie rosła załoga. Teraz, po wygaszeniu pieca można będzie wykorzystać ludzi z „piecowni" do innych prac. Roboty więc nikomu nie zabraknie.

Praca u nas nie jest łatwa. Przez jedenaście lat pracowałem bez jednej wolnej niedzieli. W tym roku też nie wykorzystałem jeszcze wolnych sobót. Odbiorę to sobie przy urlopie. Tak już musi być. Kiedy jedni świętują, my musimy czuwać, aby gazu nie zabrakło aby nie było przerwy w jego dopływie do ludzkich mieszkań.

Ale mimo to ludzie nie chcą od nas odchodzić. Kiedy przygotowywano wygaszanie pieca, to przychodzili do gazowni z innych przedsiębiorstw, na przykład z Zakładu Sieci Cieplnej, ale tylko kilka osób wyraziło chęć przejścia do nich. I to ci, którzy w gazowni pracowali krótko. Kilka osób, które miały z początkiem tego roku pójść na emeryturę, poprosiło, aby mogły dotrwać do lipca. Dopiero teraz odeszli, kiedy już zaczęliśmy wygaszać piec. Byli to starzy gazownicy.

Proszę się nie uśmiechać. My tu wyraźnie rozróżniamy „gazowników" od „gazerów". Na budowie, kiedy majster zwołuje naszych ludzi, to krzyczy: — Gazownicy na dół! „Gazerzy" to zupełnie coś innego...

W przewodniku po województwie łódzkim — chodzi oczywiście o dawne województwo łódzkie — znajduje się wykaz zakładów pracy udostępnionych do zwiedzania. Wśród nich jest też GAZOWNIA ŁÓDZKA. Pracowały tu bowiem stare, mające po osiemdziesiąt i więcej lat, urządzenia i maszyny. Są one pieczołowicie chronione przez załogę gazowni. Nie pójdą na złom. Zostaną przekazane mającemu powstać muzeum gazownictwa.

To nie jest wesołe. Takie pożegnanie. W wielu fabrykach uroczyście obchodzi się moment otwarcia zakładu, albo jakiegoś oddziału. My będziemy obchodzić... Właściwie co my będziemy obchodzić? Jaka to będzie uroczystość? Pożegnalna. Kojarzy mi się to ze stypą. Wiem, że to niemądre skojarzenie, ale taka myśl nie tylko mnie przyszła do głowy.

Umówiliśmy się, że w poniedziałek, po tej ostatniej niedzieli, przyniesiemy kilka butelek wina i uczcimy jak należy wygaszenie pieca. Każdy z nas zostawił tu kawałek swego życia. Przyjdą i ci, którzy są już na emeryturze. Będzie to pożegnanie jakby kogoś bliskiego, rozstanie z kawałkiem życia każdego z nas.

Myślę, że niejednemu podczas tej smutnej uroczystości łzy się zakręcą w oczach. Chyba i dyrektor, gdy będzie do nas mówił, to też nie będzie miał łatwo. Zżyliśmy się wszyscy, a tu coś się kończy, coś zaczyna nowego. Smutna to chwila.

Wiem, że tak musi być, że postęp, nowoczesność, ale co szkoda to szkoda. To jest przecież takie ludzkie...

Jedni odchodzą, inni przychodzą. Łódzka gazownia dysponuje własną szkołą przyzakładową. Co roku przyjmuje się 30 uczniów, prawie tyle samo co roku przychodzi do pracy. Nie ma tu przypadkowości. Utarł się już zwyczaj, że do gazowni przychodzi się z rodzinnej tradycji. Pracuje ojciec, to i syn zaczyna. Pracują bracia, kuzyni, małżeństwa. Utrwala się tradycja. Nie ma kłopotu z kadrą.

Co będę robił za siedem miesięcy? Jak już odejdę na emeryturę? Będę odpoczywał. Ale myślę, że nikt mnie z gazowni nie wyrzuci. Wezmę sobie śniadanie i przyjdę tu pooddychać... gazem.

To może brzmi śmiesznie, ale to nie jest śmieszne. Dla starych pracowników gazowni gaz jest jakby innym powietrzem. Mówią, że płuca przyzwyczajają się do gazu. Ale też mówią, że gaz ma jakieś lecznicze właściwości. To też może brzmieć dziwnie. Kiedyś do gazowni przychodziły matki z dziećmi chorymi na koklusz. Podobno to pomagało. Były tu ławeczki, matki siadały sobie na nich, a dzieci bawiły się i wdychały powietrze zmieszane z gazem.

Więc przyjadę pooddychać gazem. A jak dyrektor dotrzyma słowa i założy wokół gazowni prawdziwe gazowe latarnie, to może mnie przyjmie na pół etatu i pozwoli je zapalać. Jak dawniej. Jak na Przędzalnianej, Częstochowskiej, Skierniewickiej...

W gazowni podobno życie płynie wolniej, to i mnie wolniej upływać będzie starość.

WSPÓŁPRACA

Wszyscy doskonale wiemy, że r a z e m jest znacznie lepiej niż o s o b n o. Działając wspólnie, można bowiem znacznie więcej osiągnąć niż działając w pojedynkę. Działając wspólnie, można bowiem tak podzielić między sobą pracę, że wszyscy nie będą robili tego samego, a każdy w miarę możliwości dołoży swoją część do całości. Tę wiedzę potrafimy nawet wykorzystywać w codziennym działaniu, ale nie zawsze starcza jej nam, aby zrozumieć motywy działania szerszego, dokonującego się w znacznie szerszej, bo międzynarodowej skali.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

RAZEM ŁATWIEJ

Przypomina mi się tutaj historyjka, której niedawno byłem świadkiem. Syn wybierał się w podróż, a dobry ojciec usiłował go do tej podróży przysposobić, dając mu wiele cennych rad. Syn rad ojcowskich wysłuchał, ale postąpił wedle własnego zdania. I postąpił źle. W podróży zrozumiał, że ojciec miał rację. Powiedział mu to gdy wrócił. A na to ojciec:

— Ja też coś zrozumiałem. Że w pewnych sytuacjach nie na wiele zdadzą się czyjeś dobre rady, że każdy musi sam wszystkiego doświadczyć, wtedy największe wyniesie korzyści.

Przypomniała mi się ta historyjka przez analogię. Gdyż w wielu trudnych sprawach człowiek niechętnie przyjmuje pewne prawdy „na wiarę", musi je sam przemyśleć, rozważyć, przypasować niejako do swojej skali. Coś podobnego dzieje się z poglądami na temat integracji socjalistycznej, dokonującej się w ramach **RADY WZAJEMNEJ POMOCY GOSPODARCZEJ.** Społeczna świadomość tego faktu jest raczej niewielka. Często jeszcze na problem integracji socjalistycznej patrzy się u nas z pozycji drobnego posiadacza, któremu nie potrzebna jest szeroko rozwijana międzynarodowa współpraca i który gotów jest pytać: po co nam to?

Posługując się takim sposobem myślenia, można nie negować zasady, że r a z e m jest lepiej niż o s o b n o, ale też można tę zasadę odnosić tylko do najbliższej sobie praktyki, nie umiejąc przenieść jej do większej, międzynarodowej skali. Ale jeśli spróbować choć na chwilę popatrzeć na problem współpracy i współdziałania nie z perspektywy własnego podwórka, ale z perspektywy p a ń s t w a, to i cały problem ujrzy się w zupełnie innym świetle i dostrzeże się korzyści, jakie z tego płyną i dla własnego podwórka.

KILKA SŁÓW PRZYPOMNIENIA

Wszystko zaczęło się w **styczniu 1949 roku.** Wtedy to, dokładnie **5—8 stycznia 1949 roku,** spotkali się w Moskwie przedstawiciele **Bułgarii, Czechosłowacji, Polski, Rumunii, Węgier i ZSRR,** aby omówić wspólne problemy gospodarcze i w czasie tego spotkania utworzyli **RADĘ WZAJEMNEJ POMOCY GOSPODARCZEJ.** Uznano wówczas, że RWPG powinna:

— przyczyniać się do uzgadniania planów gospodarczych,

— pomagać w rozwijaniu specjalizacji w kooperacji produkcji,

— pomagać w rozwijaniu współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej,

— ułatwiać wzajemne udzielanie sobie pomocy w dostawach surowców, żywności, maszyn i urządzeń dla przemysłu.

RWPG stała się organizacją otwartą, tzn. że mógł i może przystąpić do niej każdy, kto chce uczestniczyć we współpracy gospodarczej z krajami członkowskimi. W lutym 1949 roku do RWPG przystąpiła Albania, która jednakże pod koniec 1961 roku zaprzestała uczestnictwa w pracach tej organizacji. **W październiku 1950 roku do RWPG przystąpiła NRD.**

Z różnych przyczyn pierwszy okres działania RWPG nie należał do nadzwyczaj owocnych. Znaczne ożywienie w pracach RWPG nastąpiło pod koniec lat pięćdziesiątych. **W grudniu 1959 roku na XII Sesji RWPG, podpisano Statut RWPG, który wszedł w życie 13 kwietnia 1960 roku.** Statut ten, stanowiący dorobek dwustronnych i wielostronnych kontaktów gospodarczych krajów socjalistycznych, precyzował szersze niż do tej pory zadania dla RWPG. Tworzył on nowe warunki dla rozwijania wszechstronnej współpracy gospodarczej, opierającej się na zasadzie międzynarodowego socjalistycznego podziału pracy, zakładał współdziałanie w rozwijaniu gospodarki narodowej poszczególnych członków RWPG, otwierał szersze możliwości wymiany naukowej i technicznej, mającej służyć rozwijaniu postępu w poszczególnych krajach.

Nastąpił dalszy rozwój RWPG. **W czerwcu 1962 roku do RWPG przystąpiła Mongolia. We wrześniu 1964 roku między RWPG a Jugosławią podpisana została umowa,** na podstawie której Jugosławia uczestniczy w pracach niektórych organów RWPG, a w wielu stałych komisjach ma swoich obserwatorów. **W lipcu 1972 roku do RWPG przystąpiła Kuba.** W 1973 roku między **RWPG a Finlandią** podpisana została umowa o stałej współpracy. W ubiegłym roku takie umowy podpisano z **Irakiem i Meksykiem.** RWPG wystąpiła też z inicjatywą współpracy z Europejską Wspólnotą Gospodarczą.

NIM SIĘ ZACZĘŁO

W rozważaniach o współczesności RWPG, warto pamiętać, że do współpracy przystąpiły kraje, które po drugiej wojnie światowej weszły na drogę socjalistycznych przemian, ale które znajdowały się na stosunkowo niskim poziomie rozwoju gospodarczego. Poza ZSRR, NRD i Czechosłowacją, były to kraje, które stanowiły rolnicze zaplecze Europy. W **Bułgarii** na przykład — według danych z 1934 roku — 79,9 proc. ludności pracowało w rolnictwie i leśnictwie, a tylko 8,3 proc. — w przemyśle. W **Rumunii** w przemyśle pracowało przed wojną 7 proc. ludności. W **Polsce** około 3 milionów ludzi pracowało poza rolnictwem. Podobnie było na **Węgrzech.**

W krajach Europy Wschodniej na dodatek przemysł znajdował się w znacznej części w rękach obcego kapitału. W **Polsce** na przykład 40 proc. kapitału zakładowego towarzystw akcyjnych stanowiło własność obcych kapitalistów. W **Rumunii** obcy kapitaliści posiadali 95 proc. przemysłu naftowego, gazowego i energetyki, a także 74 proc. hutnictwa. Kraje Europy Wschodniej sprzedawały w Europie Zachodniej około 90 proc. swoich produktów, a ich udział w imporcie z tych krajów wynosił niepełne 10 proc.

Dziś Kraje Europy Wschodniej są uznanymi partnerami handlowymi, nie tylko krajów Europy Zachodniej, ale też Ameryki, Azji, Afryki. W krajach RWPG dokonały się ogromne przeobrażenia, powstały zupełnie nowe gałęzie przemysłu. I nie można zaprzeczyć, że w rezultatach rozwoju gospodarczego naszych krajów, nie ma udziału i zasług RWPG. Nie przyszło to łatwo, gdyż idea międzynarodowej współpracy, zasadzająca się na ideologicznej jedności motywów działania i wynikająca ze wspólnego dążenia do zbudowania socjalizmu, musiała uparcie przedzierać się przez zastarzałe partykularyzmy. Trudno zresztą się dziwić, że każdy kraj, wychodząc z zacofania, budując nowoczesną gospodarkę, na pierwszym miejscu przedkładał sprawy wewnętrzne. Ale w miarę realizacji własnych planów inwestycyjnych, w miarę zapełniania gospodarczej mapy nowymi przedsiębiorstwami, coraz wyraźniej i pewniej rysowała się potrzeba współpracy, coraz bardziej oczywistym stawało się, że w s p ó l n i e można lepiej i szybciej rozwiązywać gospodarcze problemy.

FAKTY

Aby te stwierdzenia nie były gołosłowne, przyjrzyjmy się kilku podstawowym faktom. W komunikacie odbytej niedawno **XXX** (jubileuszowej) **Sesji RWPG,** podkreśla się, że dochód narodowy krajów członkowskich wzrósł w latach 1971—1975 o 36 proc., a w rozwiniętych krajach kapitalistycznych — o 14 proc., natomiast w krajach należących do EWG — o 12 proc. Globalna produkcja krajów RWPG w 1975 roku, w porównaniu do 1970 roku, była 1,5 raza większa. Przy czym w 80 procentach wzrost ten nastąpił dzięki większej wydajności pracy. Rosły też w tym czasie nakłady inwestycyjne. W porównaniu do 1970 roku, przyjmując poziom tego roku za 100, w **PRL** w 1975 roku wyniosły one 229,1 proc., na **Kubie** — 300, na **Węgrzech** — 138 i tyleż samo w **Bułgarii,** w **Rumunii** — 175 i w **ZSRR** — 140.

Przyjmując rok 1950 za 100, tempo wzrostu produkcji przemysłowej w krajach RWPG w 1974 roku wynosiło:
— w Bułgarii — 1 648
— w CSRS — 623,
— w Mongolii — 1 023,
— w NRD — 660,
— w Rumunii — 1 858,
— na Węgrzech — 672,
— w ZSRR — 917,
— i w Polsce — 1 043.

W tym samym czasie tempo przyrostu produkcji przemysłowej w rozwiniętych krajach kapitalistycznych wyniosło: w **Anglii** — 186, we **Francji** — 396, w **RFN** — 488, w **USA** — 262 i we **Włoszech** — 540.

W wyniku współpracy w ramach RWPG wybudowano między innymi elektrownie: **„Marica — Wostok I i II"** w Bułgarii, **„Turów"** i **„Pątnów"** w Polsce, **„Dunamenti"** na Węgrzech, hydroelektrownię **„Żelazne wrota"** na Dunaju, z której korzystają Bułgaria i Jugosławia. Na Dunaju w 1954 roku wybudowano most, łączący Bułgarię z Rumunią. Od 1963 roku działa w Pradze **Centralny Zarząd Dyspozytorski** połączonych systemów energetycznych. Na **XXX Sesji RWPG** w Berlinie rozpatrzono program dalszego rozwoju energetyki i podjęcia współpracy wspólnego systemu energetycznego RWPG z systemem energetycznym **Jugosławii.** Jak wiadomo, energetyka, obok surowców i maszyn, jest decydującym czynnikiem rozwoju gospodarczego.

W 1970 roku czechosłowacka firma samochodowa **„Skoda"** umożliwiła bułgarskiej firmie **„Madara"** montowanie samochodów ciężarowych o dużej nośności. **Polskie fabryki** przemysłu motoryzacyjnego współpracują ściśle z przemysłem motoryzacyjnym **ZSRR,** dostarczając 13 elementów i podzespołów do samochodu „Żiguli", produkowanego w Togliatti na licencji włoskiego „Fiata". W zamian **polski przemysł** otrzymuje części do samochodu „Fiat 125p" oraz gotowe samochody marki: „Wołga", „Moskwicz", „Zaporożec".

W ostatnich tylko latach wspólnymi siłami wybudowano lub się buduje:

— w Widiniu, w Bułgarii, siłami Bułgarii, ZSRR, CSRS i NRD fabrykę włókien poliamidowych,

— w CSRS, przy współpracy PRL, Kuby, NRD, Węgier i ZSRR, elektrownię „Tusimice-2",

— w Mongolii, przy pomocy ZSRR powstaje kombinat miedziowo-molibdenowy „Erdenet",

— w NRD, w okręgu erfurckim, przy współpracy Bułgarii CSRS, PRL, Węgier i Jugosławii wielką cementownię,

— w Polsce, przy współpracy ZSRR, Huta Katowice, a w Praszce koło Wielunia, z funduszy RWPG, rozbudowuje się fabrykę części samochodowych, która będzie dostarczała je radzieckiej fabryce wielkich samochodów ciężarowych,

— od 1975 roku drugą nitką rurociągu „Przyjaźń" przekazano już z ZSRR do Polski, CSRS, NRD i Węgier około 50 mln ton ropy naftowej,

— w ZSRR, przy współudziale ekip państw RWPG buduje się wielki orenburski gazociąg. Na budowie tego gazociągu pracują też polscy specjaliści,

TRZYDZIESTA, JUBILEUSZOWA

Można byłoby jeszcze długo wyliczać fakty z dziedziny współpracy międzynarodowej państw socjalistycznych. Przypomnieć te dość znane i te mniej znane. Na przykład o współpracy sięgającej aż w kosmos. Siedem państw socjalistycznych realizuje wspólny program badań przestrzeni kosmicznej — **„Interkosmos".** Są to: **Bułgaria, CSRS, Kuba, NRD, Polska, Węgry i ZSRR.** W ostatnio wystrzelonym sztucznym satelicie **„Interkosmos-15"** obok aparatury dostarczonej przez CSRS, NRD, Węgry i ZSRR, znajduje się też aparatura polska.

Warto byłoby jeszcze przypomnieć, że **w latach 1951—1973 Związek Radziecki dostarczył krajom RWPG blisko 78 tysięcy kompletów dokumentacji technicznej i naukowej i w tym czasie sam skorzystał z przeszło 24 tysięcy kompletów dokumentacji, dostarczonej przez kraje RWPG.** W tychże latach Związek Radziecki wydelegował do krajów RWPG przeszło 34 tysiące specjalistów, a w ZSRR gościło przeszło 60 tys. specjalistów z krajów RWPG.

Ale to jest przeszłość i teraźniejszość socjalistycznej integracji. W Berlinie, w czasie niedawnej **XXX Sesji RWPG,** rozważano problemy przyszłości. W obradach **XXX Sesji RWPG,** obok delegacji członków, uczestniczyły też delegacje: **Angoli, Koreańskiej RL-D, Laotańskiej RL-D, Socjalistycznej Republiki Wietnamu.** Uczestniczyły one w obradach XXX Sesji na prawach obserwatorów. W obradach brała też udział delegacja **Jugosławii.** W komunikacie o obradach XXX Sesji RWPG stwierdzono między innymi:

„...życie coraz bardziej potwierdza konieczność stałego pogłębiania współpracy państw socjalistycznych".

I dlatego na **XXX Sesji RWPG** przyjęto programy dalszego rozwoju współpracy w dziedzinach:

— energetyki, przemysłu paliw i surowców, które to dziedziny będzie się rozwijało poprzez koncentrację nakładów i środków,

— budowy maszyn, dążąc do dalszego rozwoju kooperacji i łączenia wysiłków przy opanowywaniu najnowocześniejszych technik i technologii,

— produkcji artykułów spożywczych, dążąc do intensyfikacji rolnictwa i rozwoju przemysłów przetwarzania,

— produkcji i wymiany wyrobów przemysłowych powszechnego użytku,

— komunikacji poprzez modernizację różnych środków transportu, sieci transportowej, wzajemnego jej powiązania, a także powiązania z europejskim systemem komunikacji.

W komunikacie **XXX Sesji RWPG** podkreślono też, że dalsze rozwijanie socjalistycznej integracji musi odbywać się w pełnej harmonii z narodowymi interesami każdego z członków RWPG.

„Szefowie rządów państw RWPG — stwierdza komunikat — potwierdzają raz jeszcze, iż dalsze pogłębienie i doskonalenie współpracy oraz rozwój socjalistycznej integracji gospodarczej państw członkowskich RWPG będą nadal realizowane zgodnie z zasadami internacjonalizmu socjalistycznego, na gruncie poszanowania suwerenności państwowej, niezależności oraz interesów narodowych, nieingerowania w sprawy wewnętrzne krajów, całkowitego równouprawnienia, wzajemnych korzyści i braterskiej pomocy wzajemnej".

Dokonano wielkiego postępu w socjalistycznej integracji, ale życie będzie przynosiło coraz to nowe problemy, tym bardziej że nie wszystkie sprawy zostały już całkowicie rozwiązane, że wiele jeszcze potrzeba pracy nad dalszym postępem we wzajemnej współpracy. Poza tym, nie wolno zapominać, że poszczególne kraje rozwijają też współpracę gospodarczą z krajami kapitalistycznymi, że procesy dokonujące się na rynkach zagranicznych, nie pozostają bez wpływu na problemy współpracy w ramach RWPG. **Dlatego też RWPG wystąpiło z inicjatywą nawiązania współpracy z EWG.**

A EWG MILCZY

Słowacki dziennik związków zawodowych **„Praca"**, pisząc na początku czerwca 1976 roku o problemach RWPG, podkreślając dorobek integracji, zwracał uwagę na fakt, że dla dalszego rozwoju współpracy krajów socjalistycznych, poważne znaczenie miałoby unormowanie stosunków z Europejską Wspólnotą Gospodarczą. Pierwsze próby w tej dziedzinie uczyniono ze strony RWPG w **lipcu 1973 roku.** Ostatnio, bo w lutym 1976 roku wicepremier NRD, G. Weiss, pełniący obowiązki przewodniczącego Komitetu Wykonawczego RWPG, złożył na ręce premiera i ministra spraw zagranicznych Luksemburga, Ch. Soamesa, pełniącego obowiązki przewodniczącego Rady Ministerialnej EWG, list RWPG w sprawie nawiązania wzajemnej współpracy.

Komentatorzy zagraniczni obserwujący przebieg XXX Sesji RWPG spodziewali się, że problem współpracy z EWG znajdzie w czasie obrad swoje miejsce. Sprawa ta jednak nie znalazła żadnego ujęcia w oficjalnych dokumentach, czemu nie można się dziwić, zważając, że EWG nie odpowiada na inicjatywę RWPG właściwie od 1973 roku. Nie zmienia to jednak faktu, że wzrost potencjału gospodarczego krajów RWPG, wywołał wzrost zainteresowania wymianą handlową, a także i kooperacją w krajach Zachodu. Współpraca między RWPG a EWG mogłaby przyczynić się do dalszego umocnienia kontaktów handlowych i gospodarczych.

Zwraca na to uwagę bułgarski ekonomista Bożydar Simeonow w tygodniku **„Inokomiczeski Żiwot".** Przypomina on jednak, że w niektórych kołach gospodarczych Europy Zachodniej istnieją tendencje do ograniczania współpracy i handlu z Europą Wschodnią. Wspomina on również, że w niektórych kołach EWG dość żywe są teoryjki o rozwijaniu współpracy z krajami RWPG na zasadzie „dziewięciu przeciw jednemu". Wyrażałoby się to w tym, że wszyscy członkowie EWG, występując jako całość, prowadziliby rozmowy gospodarcze i nawiązywaliby kontakty handlowe i gospodarcze tylko z jednym partnerem z RWPG, czyli z każdym członkiem RWPG osobno, a nie z RWPG jako organizacją.

Dalszy rozwój socjalistycznej integracji, określony postanowieniami **XXX Sesji RWPG** i realizowany z powodzeniem w praktyce, przyczyni się niewątpliwie do wzrostu potencjału gospodarczego krajów RWPG, a tym samym sprawę współpracy i kontaktów z EWG postawi ponownie na porządku dziennym. Cały świat dąży — mimo różnych prób zahamowania — do rozwijania i umacniania polityki odprężenia. W tym dążeniu „separastyczne" poczynania EWG brzmią jak dysonans.

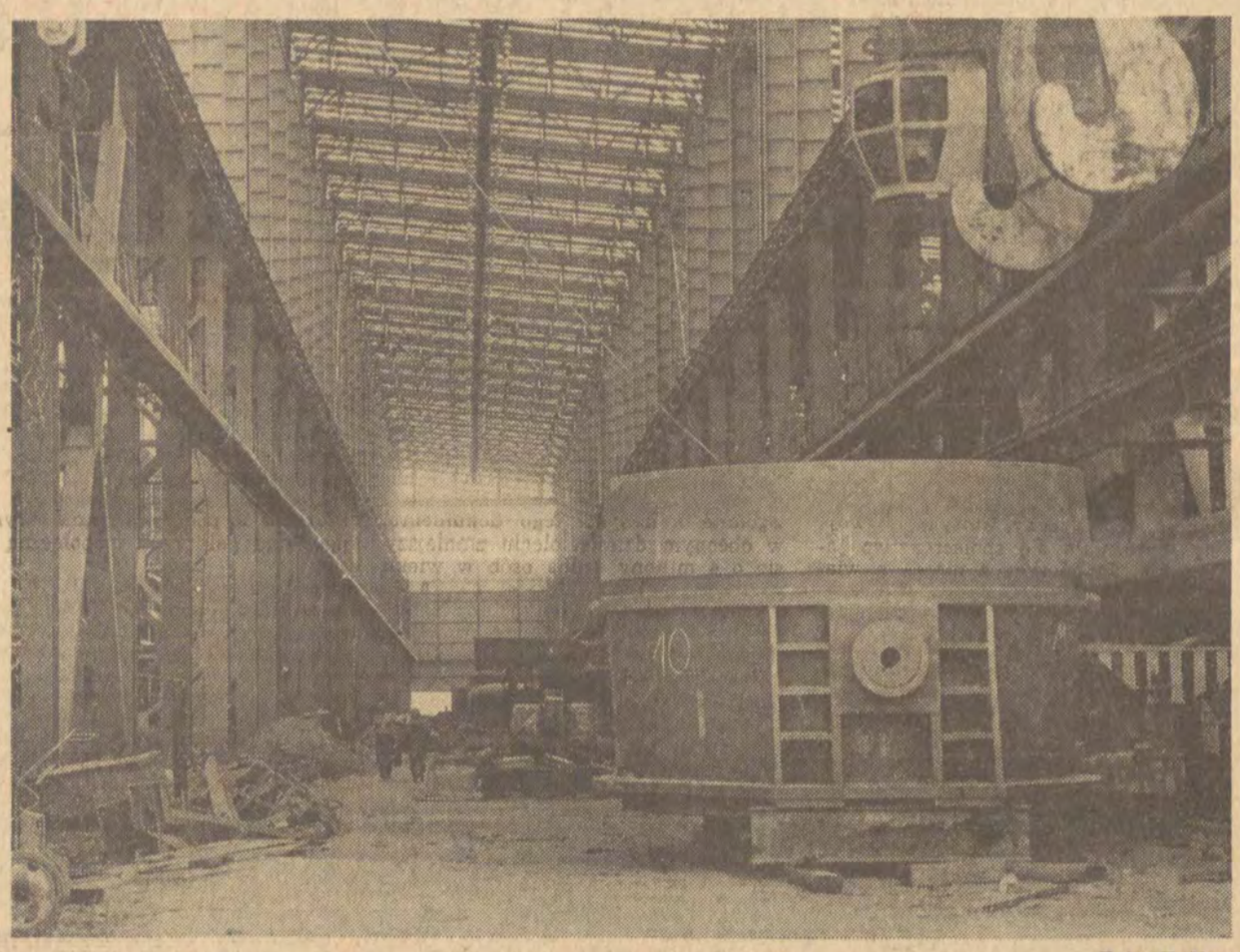

Foto: Z. Nowak

PS. Czytelników, którzy zainteresowaliby się bliżej problemami socjalistycznej integracji, odsyłam do wydanej niedawno książki B. Pokłada i E. Szewczenki „RWPG dziś i jutro". Jest to publikacja „Wydawnictwa Intepress" i „Wydawnictwa Agencji Prasowej „Nowosti". Ukazała się ona jednocześnie w języku polskim i rosyjskim Stanowi popularne i dość aktualne kompendium wiedzy o RWPG

Na półkach księgarskich ostatnio ukazało się też kilka innych publikacji o RWPG Postaramy się omówić je w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów".

U PRZYJACIÓŁ

✠

Film, jako jeden z najbardziej powszechnych środków kulturalnego i etycznego oddziaływania na społeczeństwo, był zawsze przedmiotem szczególnej opieki i troski działaczy kultury ZSRR. Ostatnio, w kontekście wytycznych XXV Zjazdu KPZR, w prasie radzieckiej wywiązała się dyskusja nad rolą kinematografii w społeczeństwie socjalistycznym.

M. in. na łamach „Sowietskiej Kultury" wypowiada się dr W. Tolstych: „O czymkolwiek nie mówiłby film — o polityce, pracy, o problemach dojrzewania — pisze autor — jeśli reprezentuje prawdziwą sztukę, będzie zawsze oświetlał określone zjawiska lub fakty poprzez pryzmat etyki moralnej. Nie oznacza to jednak, że sztuka ma być podporządkowana nadrzędnemu celowi „moralnego wychowawcy", zrzekając się swej funkcji artystycznej i estetycznej. Dydaktyka stanowi część każdej twórczości, w niej bowiem zawarta jest ocena postępowania bohaterów, ale nie powinna mieć charakteru deklaratywnego. Sens moralny filmu, spektaklu teatralnego czy powieści wypływa z ich struktury artystycznej, z dążenia do ukazania życia w całej jego złożoności".

Jako przykład filmu, w którym umiejętnie skojarzono warstwą dydaktyczną z głębszymi zjawiskami etyczno-moralnymi, autor przytacza „Premię". „Filmów takich powinno być więcej, ponieważ spełniają one ważną rolę społeczną, zwracają uwagę ludzi na aktualne problemy zakładu pracy, stosunków międzyludzkich, codziennych spraw, z którymi styka się każdy z nas".

„Kryteria oceny dzieła literackiego czy filmowego stają się u nas coraz wyższe, w miarę jak rośnie poziom kulturalny i duchowy społeczeństwa — stwierdza autor na zakończenie. — Ciesząc się z pojawienia każdego nowego wartościowego filmu, stawiamy jednak twórcom coraz wyższe wymagania. I w tym m. in. przejawia się dojrzałość kulturalna naszego rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego".

✠

Uhonorowana w br. Nagrodą Leninowską powieść Georgija Markowa „Syberia" stała się w Związku Radzieckim wydarzeniem wychodzącym daleko poza kręgi literatury. Jest to bowiem nowe, odkrywcze spojrzenie na ludzi, zamieszkujących tę krainę w latach 1916—1917. Autor, rodowity Sybirak, ma już na swoim koncie trzy powieści poświęcone Syberii, ale okazało się, że miał jeszcze wiele do powiedzenia na ten temat i udowodnił to swoją nową powieścią.

Syberia miała swojego przedrewolucyjnego piewcę — Wiaczesława Szyszkowa (m. in. „Rzeka posępna"), a także innych pisarzy. „Jednak — jak stwierdził Markow — ich utwory budziły we mnie uczucie sprzeciwu. Wieś syberyjską ukazywano w tych książkach jako brudną, dziką, głupią i ciemną". A Markow znał ją inną i dokonał ponownego odkrycia „syberyjskiego charakteru", interesującego zarówno etnografa i socjologa jak też historyka sztuki.

„Chłopi Markowa są różni — pisze dla agencji APN Lidia Iwanowa — ale nie prymitywni. Przeciwnie, to natury bardzo złożone, częstokroć nieprzeciętne. Nie brak wśród nich analfabetów, ale mają swój chłopski rozum, są silni duchem, potrafią okazać swe człowieczeństwo nawet w nieludzkich warunkach". Wiele miejsca poświęcił Markow losom rewolucjonistów zesłanych na Syberię przez carat. Mimo ciężkich warunków, w jakich przyszło im żyć, nieśli tu oświatę, byli także pionierami — badaczami bogactw naturalnych tej krainy.

„Ożyły na kartach „Syberii" wydarzenia dawno minionych lat — stwierdza inny recenzent, tym razem na łamach „Prawdy" — stają się nam niezwykle bliskie, zmierzają do zastanowienia się nad sensem istnienia narodu, nad historycznym dziedzictwem".

✠

W Putbus, na wyspie Rugii, odbyły się „Dni teatru Gerharta Hauptmanna", zorganizowane w związku z 30 rocznicą śmierci pisarza. Z tej samej okazji w Berlinie otwarto wystawę pn. „Naturalizm w literaturze i wczesna twórczość Gerharta Hauptmanna". Na wyspie Hiddensee, gdzie znajduje się grób pisarza, ponownie otwarto muzeum poświęcone pamięci autora „Tkaczy". W przyszłości centralny ośrodek hauptmannowski ma powstać w jego domu w Erkner pod Berlinem. Pierwsze pomieszczenia muzealne zostaną udostępnione zwiedzającym z końcem lipca br. Z okazji 30 rocznicy w licznych artykułach prasa NRD przypomina twórczość laureata Nobla, nie tylko powszechnie znane utwory jak „Tkacze", „Bobrowe futro", które przyniosły mu światową sławę, ale również nie mniej wartościowe utwory, jakie G. Hauptmann napisał u schyłku życia, jak „Magnus Garbe", „Herbert Engelmann" czy powieść „Christophorus".

Człowiek, który po raz pierwszy przyjechał do Tokio odnosi wrażenie, że idzie w górę i w dół po gigantycznych ruchomych schodach ogromnego supermarketu obok mnóstwa kuszących rzeczy, które by się chciało obejrzeć, dotknąć i powąchać. Potok ludzi i samochodów, metro i pociągi, prace budowlane i rekonstrukcyjne nadają Tokio charakter największej handlowej metropolii świata, przy czym najintensywniej odczuwanym zjawiskiem jest przerażający szum i hałas. Dlatego pragnienie spokoju jest namiętną pasją Japończyków.

JAPONIA

TYSIĄC PYTAŃ bez ODPOWIEDZI

Opublikowano dziesiątki książek, w których zamieszkali w Japonii cudzoziemcy porównują mieszkańców tego kraju z innymi narodami: „Japończycy a Amerykanie", „Japończycy a Chińczycy", „Japończycy a Niemcy". Ale, jak zauważył profesor socjologii i psychologii H. Minami, nikt dotąd nie napisał jeszcze książki: „Japończycy a Japończycy". Nagłe zainteresowanie osobowością Japończyka i zmianami, jakie zachodzą w życiu tego społeczeństwa — pisze korespondent „New Yorker" — świadczą o prawdziwym zaniepokojeniu zjawiskami, które do niedawna uważano za sprawy osobiste.

W wyniku klęski w drugiej wojnie światowej, Japończycy poddali krytyce niektóre swoje tradycje i wartości, jednakże z upływem czasu stopniowo odzyskiwali wiarę w siebie. Ekonomiczny boom lat sześćdziesiątych umocnił tę wiarę i zrodził nową falę nacjonalizmu.

Tymczasem, mimo pojawienia się w pewnych kołach nastrojów podsycających dążenia militarystyczne, nie tracą na sile powojenne zasady pokojowego współistnienia. Zaszły także inne zasadnicze zmiany w postawie Japończyków. Na przykład dziś rzadko pozwalają sobie na zuchwalstwo i pewność siebie, cechy, którymi do wojny wyróżniało się społeczeństwo japońskie. Japończycy z mniejszą wiarą, a nawet z pewnym powątpiewaniem mówią o swojej przyszłości. Spoglądając wstecz zaczęli sobie zdawać sprawę, że ekonomiczny rozkwit kraju na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat nie rozwiązał najważniejszych problemów socjalnych.

Zaniepokojenie Japończyków wywołują takie zjawiska, jak nieelastyczny system nauczania, zły smak, a nawet wulgaryzacja wielu form życia kulturalnego, ujemny wpływ sławetnego dobrobytu na osobowość, jego negatywne oddziaływanie na ludzi i na całą sferę ich życia osobistego.

Jednym z przejawów ucieczki od tych zjawisk jest rosnące dążenie do zamknięcia się w sobie, ukrycia się przed światem we własnym domu. Niektórzy Japończycy nazywają to „domowym izolacjonizmem".

Duży i wielokierunkowy wpływ na kształtowanie się społeczeństwa japońskiego wywarły zmiany demograficzne. Po wojnie, na przykład, gwałtownie wzrosła liczba urodzeń: w ciągu trzech lat liczba ludności wzrosła z 72 do 80 milionów. Później obserwowano spadek tego przyrostu ludności, który był konsekwencją przyjęcia ustawy o przerywaniu ciąży. W ostatnich dwudziestu latach nastąpiła stabilizacja wskaźnika liczby urodzeń i jednocześnie zmniejszyła się śmiertelność. Obecnie przyrost naturalny wynosi w przybliżeniu 12 osób na tysiąc w ciągu roku, to jest niewiele ponad jeden procent.

Niedawno opublikowany oficjalny dokument zawiera następujące ostrzeżenie: „W latach siedemdziesiątych zmiany w strukturze wieku społeczeństwa będą miały niezwykle jednostronny charakter i prawdopodobnie doprowadzą do poważnych następstw w sferach ekonomicznej i socjalnej." Zgodnie z danymi tego dokumentu, w obecnym dziesięcioleciu zmniejszy się o 4 miliony grupa osób w wieku od 15 do 29 lat, prawie o 4 miliony wzrośnie grupa osób w wieku od 30 do 40 lat, grupa osób w wieku od 45 do 55 lat zwiększy się o 5 milionów 700 tysięcy i wreszcie liczba ludzi w wieku ponad 60 lat wzrośnie w przybliżeniu o jeden milion.

Mówi się oficjalnie iż Japonia będzie jedynym na świecie krajem, który w ciągu jednego dziesięciolecia ulegnie tak jednostronnemu wzrostowi w kategorii „dorosłego społeczeństwa". Statystyki wskazują, że podobne przesunięcia demograficzne bardzo utrudniają wprowadzenie do sfery pracy młodej siły roboczej.

W dążeniu do samopoznania, Japończycy z iście maniakalnym uporem prowadzą badania we wszelkich możliwych dziedzinach życia. Wyniki badań przeprowadzonych niedawno przez tokijską administrację wskazują, iż największe zaniepokojenie społeczeństwa wzbudzają takie zjawiska, jak wzrost cen, zanieczyszczenie środowiska i niedobory żywnościowe. Respondenci narzekają również na niezadowalający stan lecznictwa, nie rozwiązany problem uprzątania śmieci, niedostateczne zabezpieczenie egzystencji ludzi starych, niewystarczającą gotowość do stawienia czoła klęskom żywiołowym, a przede wszystkim silnym trzęsieniom ziemi.

Sądząc z wyników badań, Japończycy nie są zachwyceni swoim modelem życia. Szersze badania, a zwłaszcza badania opinii publicznej przeprowadzane co 5 lat przez ministerstwo oświaty, ujawniają wzrost niezadowolenia, które wywołuje zwłaszcza nadmierna urbanizacja. Chociaż badania wykazały przywiązanie Japończyków do tradycyjnego poczucia obowiązku, to jednak z drugiej strony wykazały również rosnący brak zaufania do poczynań rządu i wynikającą stąd polityczną i społeczną apatię.

W wyższych uczelniach odbywają się nierzadko demonstracje studenckie protestujące przeciwko podwyższaniu opłat za naukę, a niewielkie grupy radykalnie nastrojonej młodzieży uciekają się nawet do użycia siły.

Jeśli chodzi o stosunek do pracy, to 61 procent absolwentów wyższych uczelni, podczas ankietowych badań przeprowadzonych przez biuro prezesa rady ministrów odpowiedziało, że „ogólnie są zadowoleni, ale nie odczuwają ani psychologicznego ani emocjonalnego przywiązania do firm, w których pracują". Świadczy to o gwałtownej ewolucji w tradycyjnym stosunku Japończyków do miejsca pracy. Ankietowani uskarżają się na niskie płace, zbyt krótkie urlopy i brak kontaktów z kierownictwem.

Stosunki międzyludzkie coraz bardziej niepokoją pracujących, a szczególnie ludzi młodych, którzy uważają, że ich umiejętności zawodowych nie wykorzystuje się we właściwy sposób, a długa droga po szczeblach służbowej kariery, aż do przejścia na emeryturę nie ma już takich walorów jak niegdyś. Młodzież coraz gwałtowniej krytykuje stosunki społeczne. Pragnąc ustalić przyczyny tego niezadowolenia przeprowadzono ankietę państwową. Nadesłano takie na przykład odpowiedzi: „Między bogatymi a biednymi panuje głęboka przepaść". Wielu ankietowanych odrzuca model społeczeństwa konsumpcyjnego.

Społeczeństwo japońskie kultywuje w zasadzie konserwatywny sposób bycia, jednakże istnieją w tej dziedzinie odchylenia. Japończycy, jako jednostki, nie są pasywni, mimo iż większość z nich trzyma się z dawien dawna ustalonych norm postępowania. Cały surowy rytuał ukłonów stosownie do pozycji społecznej człowieka, wymiana kart wizytowych i przesadnie uprzejme witanie klientów w sklepie — są parawanem, za którym Japończyk ukrywa przed wszystkimi, z wyjątkiem najbliższych, swoją indywidualność.

Młode pokolenie w różny sposób wyraża swoje rozczarowanie, uciekając się nieraz do nieobliczalnych wyskoków. W ciągu ostatnich dwóch-trzech lat pojawiły się bandy chuliganów na sportowych motocyklach zaopatrzonych w potężne silniki. W kraju istnieje prawie 500 takich grup chuliganów, w tym ponad 200 w samym Tokio. Noszą takie nazwy jak: „Rzeźnicy", „Czarny cesarz", „Upiory", „Meduzy", „Wydziedziczeni" itp. itd. Niektórzy chuligani są powiązani z miejscowymi gangsterami. W ubiegłym roku policja zarejestrowała 50 wypadków, kiedy dziewczęta oczarowane tym nowym rodzajem „latających demonów" padły ofiarą zbiorowego gwałtu.

Ogólny wkaźnik przestępczości w Japonii jest niższy niż w innych krajach burżuazyjnych. W Nowym Jorku, na przykład, w 1973 roku dokonano dziewięć razy więcej zabójstw niż w Tokio. Tutaj także rzadziej zdarzają się grabieże i napady, chociaż ostatnie statystyki wskazują na pewien wzrost drobnych kradzieży i „przestępstw intelektualnych", przede wszystkim łapownictwa.

Niski wskaźnik przestępczości w Japonii wyjaśnia się przede wszystkim ustawą o zakazie wolnej sprzedaży broni, wyjątek stanowią tylko specjaliści z zakresu balistyki, zawodowi strzelcy i myśliwi, ale przede wszystkim operatywności i sprawności znakomitej policji tokijskiej.

JERZY CZECH

☆ CARTER KANDYDUJE NA PREZYDENTA USA
☆ JEDNO PAŃSTWO WIETNAMSKIE: SRW

Znamy już jednego kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kandydata partii demokratycznej, wyłonionego na lipcowej konwencji. Jak od miesiąca czy dwóch można było przewidywać — **jest nim Jimmy Carter.** Podkreślamy: od miesiąca czy dwóch, ponieważ u progu prezydenckiej kampanii — w czasie pierwszych prawyborów — nikt nie mógł przypuszczać, że gubernator stanu Georgia zdystansuje swoich konkurentów, często renomowanych. Carter nie jest przecież związany z waszyngtońskimi kołami politycznymi i na dobrą sprawę **jeszcze niedawno nikt o nim nie słyszał nie tylko za granicą, ale i w samych Stanach Zjednoczonych.**

Co więc stało się w amerykańskim życiu politycznym, że mało znany producent orzeszków ziemnych z dalekiej prowincji, z wyznania baptysta, absolwent Akademii Marynarki Wojennej, znający ponoć dobrze arkana fizyki nuklearnej, wszedł tak śmiało na centralną scenę polityczną?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta, zdecydowało wiele czynników, ale jednym z nich jest na pewno **oczekiwanie części amerykańkich wyborców, że u steru władzy pojawiają się nowe twarze,** że nie będą to wciąż nazwiska z obiegowego kręgu, z aparatu jednej czy drugiej partii. Z pewnością na takie oczekiwania wpłynęła afera Watergate, który to niechlubny rozdział w historii USA zamknięty został tylko formalnie. Pamięta się również dobrze o amerykańskiej klęsce w Indochinach, a odpowiedzialnością za ów niefortunny udział w wojnie, prowadzonej daleko od granic USA, obarcza oficjalne koła.

Czy Carter ma być tą „nową twarzą", na którą czekają wyborcy? Jego brak doświadczenia w administrowaniu państwem i polityce międzynarodowej ma być w tym przypadku zaletą?

O Carterze wiemy jeszcze wciąż zbyt mało, aby odpowiedzieć na liczne pytania, jakie nasuwają się w związku z jego nominacją. Nawet na konwencji uniknął sprecyzowania programu wyborczego, a wcześniej zręcznie klucząc pozyskał przychylność nie tylko części ludności białej, ale i murzyńskiej, katolików, protestantów i żydów...

Kandydata partii republikańskiej na szefa państwa znać będziemy dopiero w sierpniu. **Czy będzie nim dotychczasowy prezydent Ford,** prezydent — jak wiemy — nie z wyboru, lecz nominacji, **czy też jego największy konkurent — Reagan z Kalifornii,** który dał się już poznać jako rzecznik usztywnienia polityki zagranicznej?

Po zdumiewających sukcesach Cartera wystawienie właściwej kandydatury przez partię republikańską ma tym większe znaczenie. Jeśli nie pogodzi on różnych tendencji — część klienteli wyborczej republikanów może przenieść swe głosy w listopadowych wyborach na kandydata demokratów.

Kto zatem w styczniu obejmie urząd prezydencki: **Ford, Carter czy Reagan?** Dziś szanse dawalibyśmy w kolejności przed chwilą wymienionej, czy jednak nie mylimy się?

Dla światowego pokoju nie jest obojętne, kto zasiądzie w Białym Domu. Stany Zjednoczone liczą się w polityce międzynarodowej, a **konstytucja USA wyposaża prezydenta w szerokie kompetencje — nie tylko inicjowania polityki, lecz i wprowadzania jej w życie.** W żadnym innym państwie kapitalistycznym tak rozległa władza nie spoczywa w jednych rękach. Oczywiście we współczesnym świecie o sprawach najważniejszych decyduje układ sił, ale przecież i od ludzi — ich dobrej woli, wiele zależy. Zwłaszcza, gdy stoją na czele wielkiego państwa.

Przenieśmy się teraz na Półwysep Indochiński, a konkretnie do Wietnamu. Od kilku dni określenia: Demokratyczna Republika Wietnamu i Wietnam Południowy mają już tylko wartość historyczną. Decyzją Ogólnokrajowego Zgromadzenia Narodowego Wietnam stał się jednym organizmem państwowym, a oficjalna nazwa zjednoczonego państwa brzmi: **Socjalistyczna Republika Wietnamu.** Jej stolicą jest Hanoi.

Po z górą trzydziestu latach — w kwietniu br. na terenie całego Wietnamu odbyły się wybory do Zgromadzenia Narodowego, które przyniosły jednoznaczne rezultaty — z politycznej mapy wymazane zostało ostatecznie marionetkowe państwo Południa. Fizycznie przestało ono istnieć wcześniej, zmiotła je bowiem ofensywa rewolucyjnych sił.

Przed nowym zjednoczonym państwem stoi ogrom zadań. Na południu kraju trzeba przezwyciężyć zacofanie gospodarcze, zlikwidować bezrobocie, nauczyć dużą część społeczeństwa czytać i pisać... Na północy wciąż jeszcze nie zaleczone zostały rany po masowych bombardowaniach.

Zgromadzenie Narodowe będzie musiało skupić uwagę także na wypracowaniu jednolitych aktów prawnych dla całego kraju, a przede wszystkim **przygotować projekt konstytucji, która potwierdzi socjalistyczne przemiany.**

Utworzenie Socjalistycznej Republiki Wietnamu wzmacnia światowy system socjalisityczny i stwarza jeszcze jedną zaporę dla sił wojny i neokolonializmu. Witamy je więc jako wielkie wydarzenie.

W. SŁAWSKI

ZBIGNIEW DOMINIAK

POD GÓRĘ TA DROGA WIEDZIE...?

W odległości kilku kilometrów za Wadowicami w stronę Suchej Beskidzkiej, przy bocznej drodze odchodzącej od szosy stoi tabliczka z napisem: DO MUZEUM. Strzałka kieruje wzrok podróżnego w kierunku zalesionego wzgórza. Pamiętam, że przed paru laty, gdy tamtędy — jako „łepek" w szoferce potężnej ciężarówki — przejeżdżałem w drodze do Zakopanego, widok ten bardzo mnie zafrapował. Nie, żebym wtedy nie wiedział, co oznacza tabliczka ze strzałką. Nie zaurzył mnie wówczas krajobraz, choć dziś muszę przyznać, że jest w tym miejscu wyjątkowo malowniczy. Wiedziałem, że pod Wadowicami żył i tworzył Emil Zegadłowicz i że wioska, którą mijamy, to opiewany przez niego Gorzeń. Po prostu nie potrafiłem z samochodu zidentyfikować domu pisarza, który — jak mi się wydawało — powinien się w pobliżu znajdować, a który znałem z fotografii i reportażu telewizyjnego. Czas wówczas naglił, przed wieczorem należało się znaleźć w stolicy Podhala i na kilka lat Gorzeń pozostał dla mnie w tym jednym, ruchomym obrazie.

I oto znajduję się ponownie w Gorzeniu. Tym razem mogę dłużej przebywać w Beskidzie Zachodnim, w kręgu spraw związanych z osobą Zegadłowicza, z pewnością jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci w życiu literackim międzywojennego dwudziestolecia. Nie będę jednak w tym miejscu zajmował się twórczością literacką tego poety, prozaika, publicysty i dramaturga, chociaż mijająca właśnie trzydziesta piąta rocznica śmierci mogłaby być doskonałym powodem do pogłębionego spojrzenia na jego bogatą i różnorodną spuściznę. Szukam w Gorzeniu śladów, które mogła zostawić w otoczeniu jego sugestywna osobowość. Zaciekawia mnie szczególnie, co z tak silnej indywidualności, jaką był bez wątpienia twórca „Powsinóg beskidzkich" i „Zmór, przetrwało tu próbę czasu. Jest to ciekawe tym bardziej, że mamy do czynienia z pisarzem silnie związanym z miejscem urodzenia, z regionem beskidzkim, i pisarzem programowo na swoim sztandarze wypisującym hasła regionalizmu. Był człowiekiem targanym namiętnościami i sprzecznościami. Taka była również jego twórczość. Odznaczał się dużą sugestywnością jako człowiek, i w swoich utworach także dążył do maksimum opresji, co przy znacznej łatwości pisania nie zawsze pozwoliło mu zachować odpowiednio wysoki poziom. Choć był pisarzem nie zasklepiającym się bez reszty w swoim zaścianku, wszystkie jego drogi w świat i ze świata przecinały się — jak w „sakralnym środku" — tu, w Gorzeniu.

Pozostawiony mu przez ojca, Tytusa Zegadłowicza, „Murowaniec" okazał się dla niego źródłem ciągłego utrapienia, ale i niewątpliwych radości. Ojciec, nauczyciel gimnazjum w Wadowicach i ksiądz (był z pochodzenia Ukraińcem) obrządku greckokatolickiego, zakupił ten dom wraz z niedużym obszarem nieurodzajnej, kamienistej ziemi, której część zmienił w park, czyniący z otoczenia domu tajemniczy zakątek. W chwili urodzin Emila Tytus miał już 66 lat i szybko go odumarł. Matka — Elżbieta Zegadłowiczowa z Kaiszarów, z pochodzenia Czeszka z Budziejowic, 32-letnia w chwili urodzenia pisarza — umarła, kiedy miał lat siedemnaście. Zresztą małżeństwo było nieudane od samego początku. Zegadłowicz sportretował w „Zmorach" te skomplikowane powikłania rodzinne. Tutaj wspomnijmy jedynie, że po śmierci rodziców majątkiem zarządzała, ciotka, Wanda Kaiszarowa, szwagierka matki. Pełniła ona także opiekę nad małym, a później także już dorosłym Emilem...

Gorzeń pozostawał ostateczną ostoją w chwilach psychicznych załamań. Musiał być sprawą niezmiernie ważną dla pisarza uparcie „trwającego na swoim" mimo najróżnorodniejszych przeciwności; pisarza o gorącej potrzebie zasiedzenia się, i tak bardzo wrażliwego na zarzuty obcości z prawa i lewa, jakich mu w pewnym okresie nie szczędzono. Z okazji skonfiskowanej przez cenzurę w 1938 roku powieści „Motory" z jednej strony przedstawiano Zegadłowicza jako psychopatę i zdrajcę ojczyzny („toż to zlepek krwi czeskiej i ruskiej" — cytuję za E. Kozikowskim), z drugiej — Jerzy Borejsza pisał w „Sygnałach", że „w pozmorowej twórczości literackiej Zegadłowicza... (mamy — Z.D.) ... objawy wynaturzonego protestu drobnomieszczaństwa, protestu-buntu, który owinął się w bluszcz obcego socjalizmowi panseksualizmu. Obca literatura. Obca ideologia. Obcy nurt" (podkreślenie J. Borejszy). Zegadłowicz wówczas bardzo narzekał na „bolesność... niezasłużoną" takich zarzutów.

Podejmując się w różnych okresach życia prac w Warszawie, Poznaniu czy Katowicach, gdy z Gorzenia wyganiała go potrzeba podreperowania rodzinnego budżetu, powracał tu zawsze.

Chociaż pracował w Poznaniu w pewnym okresie na pięciu posadach jednocześnie. Był kierownikiem literackim Teatru Polskiego, naczelnym redaktorem czasopism „Tęcza" i „Świat kulis", dyrektorem Poznańskiej Rozgłośni Polskiego Radia oraz doradcą do spraw literackich w wydawnictwie św. Wojciecha. Niemniej wszystkie drogi wiodły go zazwyczaj z powrotem do Gorzenia. Oprócz tej ostatniej.

Zmarł 24 lutego 1941 roku o godzinie czternastej trzydzieści w Sosnowcu, i tam został pochowany. Umierał w obecności Marii Koszyc, ostatniej kobiety swego życia, pozostawiając w odległym domu żonę wraz z dwiema córkami. Do ostatniej chwili nosił się z zamiarem powrotu do Gorzenia.

Zachodzę do najbliższej zagrody, ze sto pięćdziesiąt metrów od „Murowańca": to już Gorzeń Dolny, tu gdzieś rzeźbił swoje świątki i ptaszki najsławniejszy z „powsinogów beskidzkich", Jędrzej Wowro, jak pisał Zegadłowicz, czy Wawro, jak stwierdza jego metryka i jak mówią dzisiaj jego dawni sąsiedzi. Domek Stefana Klimczaka, który właśnie odwiedzam, jest jednym z mizerniejszych w okolicy. Namnożyło się bowiem nowych domów zarówno powyżej „Murowańca", jak i przy drodze ku wadowickiej szosie. Dziś wieś żyje dość daleko od „dworu" jedynie w sensie metaforycznym. Dawniej droga do niego — co widać na zdjęciach z 1933 roku — biegła wśród szczerych pól. Teraz przybyło w okolicy domów solidnych, murowanych, tak że sama nazwa „Murowaniec" wyszła już prawie z użycia, odkąd „dwór" przestał się wyróżniać budulcem. Szkoda tylko, że zniknęła przy tej okazji Wowrowa chata. Rozebrano ją przed kilku laty przy poszerzaniu drogi. Trochę zawadzała, stojąc na zakręcie. Pozostała po niej kupka gruzu, obecnie przykrytego śniegiem. Widzę ją przez okno domu Klimczaków i słucham 69-letniej Heleny Woźniakowej, teściowej Klimczaka:

— On se ta rzeźbił w ty chałupecce — mówi staruszka i wskazuje miejsce spracowaną dłonią. — **Po swojemu, po malutku. To był chłop taki flegmatyk, bez nerwów. On miol dobrą pamięć. Miol taką pamięć, że nie prowadził żadnego zapiska, ani nic. Wszystko wiedziol. Rzeźbił tyk świętych. Co jedno, to ón o każdym wiedziol, co o nim powiedzieć. A wie pan, z jakiego powodu ón to znoł?** — pyta mnie Woźniakowa retorycznie, gdyż zaraz kontynuje: — **Bo jego pirso żona, była tako dość pobożno kobieta i óna czytała Żywoty. Jak óna czytała, to ón słuchol, ón to sobie wyobrażoł w głowie, jakie to jest. No i późni jemu to wszystko przychodziło do głowy. I z tego powodu.**

— **Nawet dziś jeszcze widzę** — wtrąca Klimczak — **jak konał, jego śmierć,** — Po czym wdaje się w szersze dywagacje: — **Wawro z Zegadłowiczem byli sąsiedzi. Dwóch takich to się mało spotyka. Taki rzeźbiarz, tu zaś poeta ludowy. Zegadłowicz to był chłop ludzki. Tu jak jest nasz dom, było takie półko, taki cichy zakątek, rzeka płynie dookoła. Zawsze tam lubiał siadywać z zeszytem. My wypasali kozy. Czasami, gdy koza skoczyła ku niemu, nic nie powiedział ino ją pogłaskał. Taki to był chłop. Pisał wszystko z życia. Powim, że opisował nawet o swojej rodzinie. Opisował normalnie chłopskim językiem. Łaciną, taką — jak to mówią — grubą łaciną. Prosto z mostu. Zegadłowicz z Wawrą, jak by się tu wysłowić, to byli tacy równi sobie. Zegadłowicz to był człowiek porządny, a to była tako chłopinka, tako byle jako chłopinka. Ale wozem drabinnym jechali d b y d w a j. To była satysfakcja!**

— **A czytał pan jakieś książki Zegadłowicza?** — pytam.

— **Raz tylko czytałem. Jego pirszą książkę, ten „Uśmiech". Tam nie było nic takiego, bo to był dopiro początek. Jak napisał „Zmory", to ludzie psioczyli strasznie.**

— **A ludzie czytali jego książki?** — dopytuję się uparcie.

— **Ludzie musieli czytać, skądże by wiedzieli?** — obrusza się Klimczak i sięga po nowego papierosa.

— **Może ksiądz mówił?**

— **W kościele, na parafii o tym wszystkim nikt nie mówił. Kto chce, niech czyta. Taka sprawa. Zresztą Zegadłowicz to była „szyszka", i nikt się na wsi nie odważył powiedzieć coś złego głośno.**

— **Były u nas dwie książki** — odzywa się Klimczakowa, siedząca pod piecem w otoczeniu gromadki dzieci — **ale pożyczyli my rodzinie i rodzina wszystko „zjadła". W jednej Seweryn, który miał przed wojną znajomość z Zegadłowiczem, wszystko opisywał.**

— **Mija 35 lat odkąd Zegadłowicz nie żyje** — mówię.

— **Jak to przeleciało** — wzdycha Klimczak.

— **Rany boskie** — wtóruje mu stara Woźniakowa — **kiej to przeleciało! Pojechał do Sosnowca i tam umarł. Mieli go tutaj przewozić, ale...** — **Zegadłowicz miał taki ulubiony lasek** — dopowiada Klimczak. — **Lubiał tam siadywać i pisać te swoje książki. Na samym szczycie tej góry, Grodziska, w stronę południowo-wschodnią są takie skały. Tam mieli mu postawić pomnik. Stara Zegadłowiczka tak chciała.**

Przypomniałem sobie, że pomysł to nienowy. Zegadłowicz zwierzał się kiedyś Kozikowskiemu z zamiaru położenia na szczycie Grodziska płyty z kamienia ku czci Słowackiego i Mickiewicza. Być może i siebie widział w tym towarzystwie...

Odkrycie w 1920 roku Jędrzeja Wowry, jednego z najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy ludowych, i wylansowanie go w kraju z zagranicą nie było jedynym dokonaniem Zegadłowicza na niwie krzewienia kultury ludowej. Pisarz charakteryzował się iście balzakowską śmyrałką do finansowych inicjatyw, co jak wiadomo nie zapewnia najmniejszej rodzinie dobrobytu. Od zakończenia pierwszej wojny światowej do roku 1922 pracował w Ministerstwie Sztuki i Kultury w Warszawie jako referent, a później kierownik wydziału literatury. Po zlikwidowaniu MSiK powrócił do Gorzenia, uprzednio zdobywszy w Warszawie dotacje na założenie kilimiarni. Kilimiarnia w Gorzeniu miała poecie zapewnić stabilizację materialną i rozwijać rzemiosło artystyczne na terenie Beskidu. Współudziałowcami tego przedsięwzięcia byli: **Jerzy Hulewicz i Bolesław Leśmian.** Na marginesie warto wspomnieć, że **Władysław Reymont,** jeszcze wcześniej zamierzał założyć kilimiarnię w Charłupi, co może świadczyć o szerszej modzie na ten rodzaj rękodzieła wśród elity artystycznej tamtej epoki. W założeniu przyjęto, że każdy wzór, zaprojektowany przez wybitnych artystów, może być wykonany tylko trzykrotnie, za każdym razem w innej wersji kolorystycznej. Nastawienie na unikatowość, a nie produkcję masową oraz postępująca inflacja leżały u podstaw rychłego upadku tej inicjatywy. Przeszkolone w tej manufakturze tkaczki znalazły pracę w dwu później działających zakładach o mniej ambitnych założeniach: w kilimiarni prowadzonej przez siostrę żony pisarza, Jadwigę Zientkiewiczową oraz w wadowickiej kilimiarni Dawida Ferstera. Kilimy gorzeńskie uzyskały w 1925 roku wyróżnienie na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu. W muzeum zachowały się dotąd trzy sztuki, w tym jeden pt. „Piła" projektu samego pisarza.

Przy wejściu do muzeum, na ganku, widnieje marmurowa tablica:

W TYM DOMU ŻYŁ
EMIL ZEGADŁOWICZ POETA LUDU
BESKIDZKIEGO I PRZYRODY
1888—1941

Dom jest wielki, przestronny, i... potwornie zimny i zawilgocony. Jeszcze za życia Zegadłowicza trudno było utrzymać w nim odpowiednią temperaturę. Obecnie wymagałoby to zatrudnienia kilku palaczy i olbrzymiej ilości opału. Muzeum pozostaje jednak własnością prywatną, sporadycznie dofinansowywaną przez PTTK. Od śmierci Marii Zegadłowiczowej ciężar odpowiedzialności za zabezpieczenie i utrzymanie muzeum spoczywa na barkach młodszej córki pisarza, Atessy, i wnukach. Opiekę fachową do niedawna sprawowało Muzeum Narodowe w Krakowie, obecnie jednak w związku z reformą administracyjną Wadowice znalazły się w województwie bielsko-bialskim i dom Zegadłowicza jest na jego terenie największą placówką muzealną. Może to być powodem do dumy, ale jednocześnie przysparza kłopotów ze znalezieniem odpowiedniego mecenasa. Rodzina gotowa jest przekazać obiekt państwu, z zapewnieniem oczywiście odpowiedniej formy przekazania. Muzeum stanowi dla niej uciążliwy balast finansowy (a może także psychiczny), ale więzi z czymś, czemu przez lata poświęcało się tyle troski, nie mogą być łatwo zerwane. Wszyscy tutaj żyli z obciążeniem i w cieniu wielkiego przodka. Wnuk Emila, historyk sztuki, Adam Rudel-Zegadłowicz powiada:

— Nic dużego nie wyrasta pod dębem.

A córka starszej, nie żyjącej córki pisarza, Marysia Sępek, choć z zapałem studiuje filologię polską w Krakowie, wzdycha:

— Najlepiej byłoby, gdybym została fizykiem...

Specyfika Muzeum Zagładowiczowskiego polega na tym, że oprócz tego, iż jest pamiątką po pisarzu, stanowi także bogaty zbiór dzieł sztuki, przede wszystkim dwudziestowiecznej, z kręgu polskiego ekspresjonizmu.

— Ja nie wiedziałam, że u Zegadłowicza jest takie muzeum — mówiła córka Dyrczowej, Krystyna Gołba. **— Człowiek jeździ do świata zwiedzać, a tu tak bliziutko.** I tak tylko kilka osób nas było, ale powiedziały, że latem pójdziemy jeszcze raz. Jest co zobaczyć.

I jest naprawdę. Zegadłowicz był namiętnym kolekcjonerem i koneserem sztuki. Oprócz świątków Jędrzeja Wowry zbierał stare sztychy francuskie i drzeworyty japońskie. Ale przede wszystkim współczesne malarstwo, rzeźbę, grafikę. Zgromadził także duży, obejmujący od 10 o 20 tysięcy tomów, księgozbiór, w tym dużo białych kruków, jak np. pierwodruki Kochanowskiego, Mickiewicza, Trembeckiego. Dziś zresztą trudno dociec jak bogata była kolekcja w Gorzeniu. Mówi Małgorzata Zegadłowicz, żona Adama:

— W dwa tygodnie po śmierci Zegadłowicza przyjechała z Wadowic niemiecka ciężarówka. Nie wiadomo, kto wydał takie zarządzenie. Przypuszczamy, że była to inicjatywa kogoś stąd, z Wadowic. Przywiezli pismo, że mają zabrać rzeczy muzealnej wartości do muzeum śląskiego w Katowicach. Zabrali bibliotekę, świątki Wowry, trudno nawet teraz zorientować się dokładnie, co zostało zrabowane. Na zachowanych fotografiach wnętrza domu widać obrazy, których już nie ma. A to, co zostało ze świątków, uratowało się dlatego, że babcia, tzn. żona Zegadłowicza — a była to osoba o stalowych nerwach — wraz z córkami chowały pod płaszcze i gdzieś ukryły, gdy Żydzi, których kilkunastu przywieziono z wadowickiego getta, wynosili rzeczy do samochodu. Na końcu ten Niemiec jeszcze raz przeszedł cały dom, i co mu się podobało, to zabrał.

— Czy znał ktoś jego nazwisko?

— Nie wiem. Być może babcia znała, skoro był to człowiek, który tu mieszkał przed wojną.

Ocalało z grabieży wystarczająco dużo, aby w zbiorach gorzeńskiego muzeum widzieć reprezentatywną kolekcję sztuki współczesnej. Jest tutaj około 150 prac Ludwika Miskiego, z którym Zegadłowicz był zaprzyjaźniony przez wiele lat; około 40 grafik Jerzego Hulewicza, artysty cieszącego się obecnie dużym zainteresowaniem. Znajduje się także jeden obraz olejny tego artysty, który nie był szczególnie zainteresowany tą techniką malarską. Znajdziemy także około 20 prac Leona Wyczółkowskiego, kilkanaście drzeworytów Janusza Marii Brzeskiego, wielki portret Stanisławy Wysockiej pędzla Vlastimila Hoffmana. Są jeszcze rysunki Makowskiego, portrety i karykatury Mariana Ruzamskiego i Zbigniewa Pronaszki, rzeźby Wincentego Bałysa, zamordowanego podczas okupacji, ucznia Dunikowskiego. Ale przede wszystkim zaciekawiają prace Stefana Żechowskiego. Z czterdziestu rysunków tego artysty większość stanowią ilustracje do „Motorów". Skonfiskowanie przez cenzurę tej powieści bez wątpienia wpłynęło na fakt, że Żechowski, uczeń Stanisława Szukalskiego i członek założonego przez niego „Szczepu Rogate Serce", nie zdobył w owym czasie należnej renomy.

W jednym z muzealnych pokoi, na długim stole wyeksponowano publikacje książkowe Zegadłowicza; dużo wydań bibliofilskich, z których pisarz słynął. Szczególnie zaciekawiają numery „Czartaka", pisma ukazującego się nieregularnie w latach 1921—1928. „Czartak" był trybuną, z której Zegadłowicz propagował idee antyurbanizmu i regionalizmu, zbliżenia do twórczości ludu i odrodzenia poezji przez pieśń ludową.

Sama nazwa „Czartak", znacząca tyle co „wieża, strażnica", pochodziła ze starej budowli w pobliskiej wsi. Budynek wzniesiony w VXII wieku stanowił podobno niegdyś zbiór ariański i do tradycji arianizmu starano się w piśmie nawiązać. W czasie wojny hitlerowcy wysadzili w powietrze ten gmach, a okoliczna ludność rozebrała resztę. W okresie międzywojennym mieściła się w nim karczma. Zegadłowicz pragnął wykupić go z rąk właścicieli i urządzić w nim muzeum beskidzkie.

Obecnie, w innym co prawda miejscu, zbudowano nowy „Czartak". Nie jest to — jak by się można spodziewać — muzeum beskidzkie, ale tzw. „gastronom" (restauracja, kawiarnia plus bar). W tymże „Czartaku" siadywaliśmy z Adamem Zegadłowiczem, prowadząc długie rozmowy. Nie obywało się oczywiście bez porównań, bo wszystko ma tutaj swoje paralele z przeszłością. Tak więc jest i współczesny Wowro, nazwiskiem Bucała, który jednakże chałturzy niemiłosiernie. Zainteresowanie Gorzeniem okazują młodzi poeci z krakowskiej grupy „Tylicz", przyjeżdżający tu czasami na odpoczynek. Nieobca im jest również idea regionalizmu, z pewnością jednak nie w tak skrajnej formie, jaką proponował Emil Zegadłowicz.

CZAS ŻYCIA

André Remacle urodził się i mieszka w Prowansji. Od wielu lat jest członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej. Zajmuje się literaturą i dziennikarstwem, współpracując m.in. z dziennikami „Rouge Midi" i „La Marseillaise".

Wydał kilka tomików poezji i kilka powieści, z których dwie zostały przetłumaczone na język polski: „Caravel zaprasza" i „Czas życia". Na naszych ekranach był także wyświetlany film Bernarda Paula oparty na tej powieści.

W roku 1974 A. Remacle odwiedził Polskę, która — jak powiedział — „pociąga go od dawna, jest rodzajem wewnętrznego pragnienia, odczuwanego od lat".

„Czas życia" jest powieścią o rodzinie, szczęściu, a także o problemach współczesnego świata, o pośpiechu, pościgu za pieniądzem, o obsesjach cywilizacyjnych człowieka żyjącego w rytmie samochodów, telewizji, w ciągłym dążeniu do osiągnięcia dóbr konsumpcyjnych.

Akcja dzieje się w połowie lat sześćdziesiątych w jednym z miast nie opodal Marsylii. Bohaterami są młody robotnik i jego żona Maria. Ludwik pracuje w morderczym tempie, chce bowiem, by jego rodzina miała wszystko — komfortowe mieszkanie, lodówkę i oczywiście samochód. To dążenie do dobrobytu zabiera mu cały czas i siły, w końcu rodzi konflikty i doprowadza do uczuciowego rozdroża.

André Remacle „Czas życia", Książka i Wiedza, cena 15 zł.

POEZJA XVIII WIEKU

Poezja czasów Stanisława Augusta, należąca do literatury polskiego Oświecenia, przyćmiewa w świadomości społeczeństwa to wszystko, co zostało napisane w poprzednich kilkudziesięciu latach XVIII stulecia. Autorowi tej antologii chodziło jednak także o przedstawienie ostatniego z ogniw w łańcuchu rozwoju polskiej poezji, które poprzedziły okres jej świetności.

Zebrane w antologii utwory z czasów saskich pozwolą czytelnikowi uświadomić sobie, z jakiego progu zaczynało się u schyłku panowania Augusta III odrodzenie literatury narodowej, która wydać miała Krasickiego, Karpińskiego, Trembeckiego, Węgierskiego czy Kniaźnina. Obok tych świetnych nazwisk pomieszczono też w antologii m.in. wiersze związane z ówczesnymi wydarzeniami historycznymi poezją anonimową z okresu Sejmu Czteroletniego i insurekcji kościuszkowskiej.

W książce, obok rozprawy wstępnej, znalazł się więc bogaty wybór poezji wczesnego Oświecenia i doby stanisławowskiej — wiersze najpopularniejsze i najbardziej reprezentatywne dla obu okresów.

Zdzisław Libera „Poezja polska XVIII wieku". Czytelnik cena 60 zł.

STWORZENI DLA SIEBIE

„Stworzeni dla siebie" — ostatnia książka zmarłego niedawno Stefana Otwinowskiego jest czymś w rodzaju notatnika z podróży. Podróży nie bardzo odległych, bo nie dalekie kraje były jego życiową pasją. Urodzony w małym miasteczku koło Kalisza, do końca życia pozostał wierny niewielkim, trochę na uboczu świata leżącym mieścinom.

Tam jeździł najchętniej i najczęściej. Tam też w nieco sennej i kameralnej ciszy małych ryneczków czuł się najlepiej. Kameralność była istotną cechą jego natury, także jego twórczości, która wyrastała z obserwacji realiów życia i rozmów z ludźmi. Otwinowski był znakomitym badaczem wnętrz ludzkich, przeżyć, rozterek i konfliktów swoich rozmówców. Posiadał wielką łatwość nawiązywania kontaktów, słuchania i rozumienia. Prozę jego określano wielokrotnie mianem psychologizmu: a więc był to nie tyle opis faktów, co przeżyć tym faktom towarzyszących.

„Stworzeni dla siebie" — zbiór wspomnień z ostatnich wyjazdów i ostatkich spotkań — raz jeszcze daje czytelnikowi okazję do podjęcia rozmowy z pisarzem mądrym i życzliwym, dla którego ludzie i ich troski były tym, co go interesowało najbardziej.

Stefan Otwinowski „Stworzeni dla siebie", Wyd. Literackie, cena 15 zł.

POZERY MYLĄ

Ta książeczka jest już niedostępna w księgarniach, znaleźć ją można w bibliotekach. Ale może to sygnał dla wydawcy? „Pozery mylą" — tym zgrabnym bon-motem zatytułował Włodzimierz Scisłowski swój zbiór satyr i fraszek.

Trudno zliczyć, która to już książka Scisłowskiego — ma ich na koncie wiele, zarówno dla dorosłych jak i dla dzieci (ostatnio ukazała się bardzo zabawna: „Fraszki na ptaszki"). Mało kto jednak wie, że ten znany poeta i satyryk zaczynał od... leśnictwa. Ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą i zaraz potem uciekł od uprawy ziemi do uprawy słów.

Trudno zgadnąć, ile by dziś osiągał Scisłowski kwintali z hektara — wiadomo natomiast, że dotąd zbiory literackie ma nie najgorsze: trzykrotnie nagrodę Ministra Obrony Narodowej, nagrodę ZAIKS, Ministerstwa Kultury, „Złoty Pierścień" na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu... Plony literackie Scisłowskiego eksportowaliśmy za cenne dewizy do Związku Radzieckiego, NRD i Czechosłowacji, gdzie chętnie jego utwory tłumaczą.

Zbiorek „Pozery mylą" też jest zresztą tłumaczeniem. Po prostu Włodzimierz Scisłowski tłumaczy w nim rodakom pewne prawdy warte zrozumienia, choć może niezbyt popularne. Tym bardziej zresztą warto je upowszechniać.

Włodzimierz Scisłowski „Pozery mylą", Wyd. Poznańskie, cena 14 zł.

WENUS KAŁUŻYŃSKIEGO

Wenus Zygmunta Kałużyńskiego jest to „Wenus automobilowa", wydał ją na świat znany krytyk przy pomocy Państwowego Instytutu Wydawniczego. W książce tej Kałużyński zajmuje się zmianami obyczajowymi — jak odbijają się one w filmie ostatnich lat, bo przecież film stał się w naszych czasach głównym obserwatorem życia.

Kino prowadzi kronikę obyczajów w sztuce współczesnej, dlatego też ta książka traktuje o kinie i obyczajach. Zebrał w niej Kałużyński przykłady ilustrujące, jak we współczesnym kinie odbijają się obyczaje: od kłopotów męsko-damskich do obyczajowości sztuki. Jeśli do tej interesującej tematyki dodamy walory pisarstwa Kałużyńskiego, nic dziwnego, że otrzymamy lekturę pouczającą i nader ciekawą.

Zygmunt Kałużyński „Wenus automobilowa", PIW, cena 30 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

R. Drahan „Godziny czuwania", Ossolineum, cena 15 zł,
J. Andrade „Wiersze wybrane", Wyd. Literackie, cena 16 zł,
A. Isakiewicz „Determinacje", Ossolineum, cena 10 zł,
W. Zechenter „Godzina zmierzchu", Wyd. Literackie, cena 15 zł,
S. Lem „Opowieści o pilocie", Wyd. Literackie, cena 45 zł,
O. Lewis „Nagie życie", PIW, cena 150 zł,
V. Vassilikos „Z", Czytelnik, cena 45 zł,
J. Białostocki „Pięć wieków myśli o sztuce", PWN, cena 100 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

TAMTEN LIPIEC

Tamten lipiec — miesiąc pisany dziś z dużej litery, bo historyczny — nieodmiennie kojarzy się z Lublinem, choć Manifest Lipcowy drukowano w Chełmie. Do tego miasta przylgnęły określenia „stołeczny Lublin", „kiedy Lublin był Warszawą..." Bo też i była to wówczas stolica dopiero co powstałej Polski.

Wspomina Jerzy Putrament: **„W całym Lublinie była jedna stareńka drukarnia, bodaj że bez linotypów i z bardzo prymitywną maszyną drukarską. Chociaż nakłady gazet były niewielkie, było tych gazet tyle, że drukarnia pracowała bez chwili przerwy, według bardzo ścisłego rozkładu godzinowego. Na szczęście rozmiary gazet też były niewielkie, nasza „Rzeczpospolita" miała cztery strony formatu dwa razy mniejszego niż dzisiejsza „Trybuna".**

Przy cichej uliczce o nazwie Spokojna mieścił się PKWN, a obok wspólna stołówka, gdzie jedli wszyscy — od szoferów ciężarówek po świeżo upieczonych ministrów.

Wspomina Putrament: **„Zjadłem tu kiedyś obiad koło niewysokiego człowieka o ciemnych włosach, niewielkich wąsikach i dobrodusznym, nieco zmęczonym spojrzeniu. Nie miałem pojęcia, co to za jeden. Ale widzę, że po obiedzie rozmawia z pewnym moim znajomym, a potem zepchnięty przez falę idących, schodzi ze ścieżki na trawnik.**

Pytam znajomego, kto to.

— Jak to, to przecież Bierut! Jeszcześmy nie umieli drukować fotografii. Nazwisko już znałem, twarzy nie widziałem jeszcze".

A Lublin huczał i wzbierał tłumem przybyszów. Dom przy ulicy Radziwiłłowskiej 9 stał się przez cały lubelski okres główną kwaterą literatów. Dzięki **Jerzemu Borejszy** każdy przyjeżdżający do Lublina literat, zanim dostał pracę czy mieszkanie, już mógł tu jeść i spać.

Zjawiali się partyzanci — **Józef Ozga-Michalski** (przywiózł butelkę zdobycznego spirytusu), **Stanisław Jerzy Lec**; przyjeżdżali ukrywający się po wsiach — **Jan Parandowski, Stanisław Piętak...** A potem **Jastrun, Przyboś, Minkiewicz, Kuryluk...** W mundurach Pierwszej Armii przybyli: **Czarny, Huszcza, Pasternak...**

Życie powoli się stabilizowało, choć jeszcze daleko było do końca wojny. Ale ludzka psychika, tłamszona przez ponad pięć lat ciągłym zagrożeniem, zmuszającym do ogromnych napięć — ta ludzka psychika wprost domagała się pokojowej normalności.

Zaczęły powstawać gazety i wiersze. Wyszły w Lublinie cztery pierwsze w Polsce Ludowej tomiki poetyckie — **Przybosia, Ważyka, Jastruna i Putramenta.** Drukowano je w Zamościu w maleńkiej, amatorskiej właściwie drukarence.

To z tego lubelskiego wydania pochodzi wiersz Juliana Przybosia, wiersz napisany w Moskwie, grudniowej nocy 1941 roku:

„Liczyłem:
pięć młotów, ciężkich jak pięć lat
w jednej chwili
dokonało na mnie
zamachu czasu:
sprawdzały moje dzieło poetyckie i ręce robotników i robotnic"

A inny poeta spisywał tragiczną kronikę narodu:

„Żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie,
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu,
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze..."

Wojna jeszcze trwała, jeszcze śmierć zbierała swoje żniwo, ale już była wolna Polska i jej lubelski skrawek rozszerzał się coraz bardziej w stronę Wisły i Odry — w stronę nadchodzących lat.

WIDOK

LEWYM OKIEM

FAJNI GOŚCIE

Mówią niektórzy, że jedną z naszych cech przyrodzonych jest nadmierny indywidualizm, żądza manifestowania własnego zdania zawsze i wszędzie, niechęć do bliźnich, pieniactwo. Gdzie trzech Polaków — tam cztery zdania — w taką sentencję ujmują złośliwcy rzekomą skłonność do agresywnej kłótliwości naszych rodaków. Czas już dać należyty „odpór" tym szkalującym opiniom. Rzeczywistość wygląda przecież całkiem inaczej: gdzie dwóch Polaków się pokłóci, tam trzeci usiłuje ich godzić. To zdanie byłoby prawdziwsze, gdyby je uzupełnić słowami: ... i naraża się obydwóm, z czego korzysta czwarty; ładniej jednak wygląda wersja skrócona, z kropką po słowie „godzić".

Przykładów mamy mnóstwo co krok. Oto pani w Orbisie pyta o miejsce w wycieczce do Gruzji. — Już nie ma — odpowiada blondynka zza biurka. — Wczoraj o szesnastej jeszcze nie było, a dzisiaj o ósmej już nie ma? — dziwi się naiwna pani. — Nie jestem obowiązana przed panią się tłumaczyć — mówi urzędniczka, a pan stojący nieco dalej w kolejce natychmiast podejmuje rolę mediatora: — Oczywiście, że ta pani nie musi się tłumaczyć, a pani tylko gędzi i zajmuje czas!

Starszy jegomość z trudem zdążył wsiąść do autobusu, drzwi przycięły mu połę płaszcza, wóz ruszył o ćwierć sekundy za wcześnie, pana rzuciło na ścianę. — Mógłby pan włączyć gaz o ten moment później — gani kierowcę inny pasażer w imię zasad humanitarnych. Na co kierowca: — A pan niech pilnuje własnego nosa! — no i oczywiście słodki głos amatora — rozjemcy: — Ten pan wsiadał nieprzepisowo przodem, a kierowca ma swój rozkład jazdy i nie będzie czekał na każdego niedołęgę...

Gość w restauracji żąda od kelnera zmiany łyżki, pokazując że otrzymał brudną. Potem ma jeszcze odwagę twierdzić, że przyniesiono mu zimny rumsztyk i on prosi o gorący. Kelner oczywiście rzuca parę rzeczowych uwag, że to nie jego sprawa i że on nie jest książką zażaleń, na co radośnie uśmiechnięci a podpici panowie od sąsiedniego stolika włączają swoją dobrą wolę: — Ciekawe, czy ten pan ma w domu czyste łyżki. Czy żona mu wszystko daje gorące. A może wcale mu nie daje — he, he, he...

Zmęczona upałem wycieczka Centrali Jajczarsko-Papierniczej ma już wracać do domu, już wszyscy siedzą w autokarze, ale brak pani Czesi i pana Ziutka. Krzyżują się dowcipne uwagi. Wreszcie spóźnionych wita ogólny szmer potępienia, jak to można, żeby tyle osób czekało, przecież godzina była umówiona, przecież jesteśmy dorośli...

Ale oto jedna pani już się pochyla ku spóźnionym i pociesza: — Ludzie to tacy nerwowi, nie przejmujcie się, niech sobie warczą... — Ona jedna wychodzi na dobrą i tolerancyjną, reszta to kupa drani.

Czyż z przykładów powyższych nie wynika optymistyczny wniosek, że człowiek u nas, żeby nie wiem co powiedział i zrobił, zawsze znajdzie sprzymierzeńca? Przecież urzędniczka w Orbisie, kierowca w autobusie, kelner w restauracji, spóźniona para w gronie wycieczkowiczów — natychmiast zyskali poparcie, gdy tylko ktoś ośmielił się dopatrzeć choćby najmniejszych plamek na kryształowym zwierciadle ich sumienności. Czyż to nie piękne przejawy solidarności ludzkiej?

Ja wiem, znajdą się znowu złośliwe weredyki, twierdzące że te przejawy to nie solidarność, tylko wazelina. Obrzydliwa chęć podlizania się, żeby zaskarbić sobie łaskę, stać się tym zaufanym, swoim człowiekiem, kumplem. Rączka w rączkę, pan wie a ja rozumiem. Pierwsze drgnięcie embriona kliki, siuchty, zmowy w tym przypadkowym, nie instytucjonalnym zespole. Przymilna, obleśna, wstrętna wazelina. Ja jestem dobry, patrz pan: jestem za panem...

Ale tak twierdzą przewrotne złośliwce. Bo przecież przyjemnie jest okazać się fajnym gościem, nie takim co wybrzydza i chce mieć prawo. Co te ludzie takie nerwowe?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

SATYSFAKCJA

Widziałem niedawno taki dowcip rysunkowy, na którym uśmiechnięty facet, pełniący obowiązki pokojowego malarza, wypisuje pędzlem na ścianie: „Malował J. Nowak ze Spółdzielni Pracy". Dowcip jak dowcip, nawet sympatyczny, można się uśmiechnąć. Ale gdyby jeszcze chwilę pomyśleć, to okaże się, że wcale nie ma czego dziwić się „J. Nowakowi ze Spółdzielni Pracy". Każdy człowiek pragnie bowiem, aby to, co robi znajdowało uznanie i aby wszem i wobec każdemu było wiadomym iż to właśnie ON jest autorem.

W niezwykle interesującej książce „Dobrobyt dla wszystkich" Jerzy Chłopecki przypomniał, że „satysfakcję z pracy może człowiek odczuwać jedynie wówczas, gdy będzie miał świadomość, że jego samego praca rozwija i wzbogaca". Na taką satysfakcję składa się jednakże wiele różnych czynników. Między innymi również poprzez pracę człowiek chciałby pozostawić po sobie jakiś ślad, wyróżnić się, chciałby, aby było wiadomo, że ON to zrobił. Jednakże żyjemy dziś w czasach, które temu nie sprzyjają, gdyż nasza cywilizacja czyni pracę anonimową. Dziś nawet wynalazki robi się w zespołach. Minęły już czasy wybitnych rzemieślników. Nastały natomiast czasy zgranych zespołów.

Zostawiać ślad po sobie można oczywiście w różny sposób. Nawet taki, który nie byłby społecznie aprobowany. Taki sposób w IV wieku przed naszą erą wymyślił pewien szewc z Efezu, który dla upamiętnienia swego pobytu na planecie zwanej Ziemią podpalił świątynię Artemidy Efeskiej. Nazywał się ten szewc Herostrat i rzeczywiście imię jego przetrwało wieki, choć sam skazany został na śmierć. Ale jest to bardzo zła sława. Przestrzegałbym raczej przed takim sposobem pozostawiania śladu swojej bytności.

Nie pochwalałbym również wydrapywania gwoździem swoich nazwisk i dat pobytu w zabytkowych miejscach, jak też wycinanie inicjałów w korze drzew. Nie o to chodzi. Myślę raczej o takiej satysfakcji, która wynika z dobrej, twórczej pracy. Jarosław Rudniański w książce — też bardzo interesującej — „Homo cogitans" zwraca uwagę, że dziś przymiotnik „twórczy" odnosi się już nie tylko do pracy artysty, uczonego. Jego zdaniem o „twórczym działaniu" można mówić zawsze wtedy, kiedy jego „rezultaty zarówno odbiegają swoją oryginalnością od uzyskanych dotychczas, jak też zyskują aprobatę społeczną".

W niektórych dziedzinach ludzkiej działalności wiemy kto to zrobił, a nawet często, kto był przy tym. W filmie na przykład — jak to czasem niektórzy mówią ironicznie — podaje się widzowi do wiadomości całą listę płac. W innych dziedzinach twórcy i odtwórcy pozostają anonimowi. A ludzie chcieliby często wiedzieć, kto to zrobił dobrze i kto to spartolił. Z pomocą przychodzi „marka". Niektóre firmy mają dobrą markę, inne nie. Wśród palaczy papierosów „sport" wiadomym jest, że trzeba kupować radomskie a unikać krakowskich. Smakosze calwadosu szukają zielonogórskiego. Kiedy ktoś pragnie kupić sobie garnitur stara się nabyć taki, który zszedł z taśmy ZPO w Bytomiu. Ale i „Pilica" cieszy się już uznaniem i zgierskie „Zeto" sobie na nie zasługuje. Wiadomo, że eleganckie płaszcze szyje „Próchnik". Wyroby tych przedsiębiorstw — i innych — zyskały społeczną aprobatę. To uznanie spływa też na ludzi, którzy w tych fabrykach pracują i powinno być dla nich przynajmniej częścią satysfakcji.

Ale w wielu wypadkach ten, kto to zrobił pozostaje anonimowy. Na przykład w budownictwie. Nie wiem, czy nie byłoby dobrze, gdyby gdzieś na wielkiej płycie nowego bloku czy całego osiedla budowlani pozostawili tabliczkę — nie z pełną listą płac oczywiście — ale choćby tylko z nazwiskiem projektanta, kierownika brygady wykonawców i nazwę przedsiębiorstwa. Wiadomo byłoby wtedy, komu być wdzięcznym za dobre rozwiązania i do kogo mieć pretensje za usterki i „niedoróbki".

Dla partaczy anonimowość jest bardzo dobra i wygodna. Ale też nikt rozsądny nie będzie utrzymywał, że w budownictwie pracują sami partacze. Ludziom dobrej roboty anonimowość nie daje satysfakcji, a taka satysfakcja jest im bardzo potrzebna. Każdemu z nas jest potrzebne społeczne uznanie tego, co robi. Każdy z nas chce być zauważony, chce czuć się potrzebny. Chce mieć świadomość tego, że to co robi jest nie tylko potrzebne, ale spotyka się ze społecznym uznaniem. Nie zastąpi tego wzmianka w gazecie, kilka kadrów na telewizyjnym czy filmowym ekranie. Ludzie chcieliby też zostawić po swojej dobrej pracy trwalszą wizytówkę. I nie tylko budowlani. Wybrałem ich raczej jako przykład, gdyż budujemy wiele i będziemy nadal wiele budować. Myślę, że warto o tym pomyśleć.

Nie wynika z tego jednakże wcale, że „J. Nowak ze Spółdzielni Pracy" musi koniecznie na ścianie pomalowanego mieszkania u Kowalskich zostawić swój trwały ślad. Nie zawsze i nie wszędzie można zostawiać go w taki sposób. Ale jeśli „J. Nowak ze Spółdzielni Pracy" swoje malowanie zrobi dobrze i Kowalskim to się spodoba, to będą o tym opowiadali znajomym, będą go chwalili i to również jest powód do satysfakcji.

MARCIN RODAK

LATO-76

MIECZYSŁAW

MICHAŁ

SZARGAN

ŁATKI

ADRESATKI

GRYZACZKI

Wyrzucono na rynek
Smoczki gryzaczki,
Niech się podgryzania
Nauczą dzieciaczki.

Z WIESZCZA

Nad wódą wielką i czystą
Leży polskie chłopisko.

Z CYKLU: AUTENTYKI

Na murze tablica:
„Wydział Zdrowia — Kostnica".

RYM O CHLEBIE

Z kwiatów żyta
Chleb rozkwita.

DWA NOŻE

Siebie na korze
Wyryły dwa noże.

KWIAT LIPY

U nas kwiat lipy
Dość pospolity.

Z CYKLU: AUTENTYKI

Już nawet w pralni
Są nietykalni.

FRYZURY A. GRUNA

Widziałem „FRYZURY"
Całkiem łyse zaczesane do góry!

Z OKNA PĘDZĄCEGO SAMOCHODU

Mój Boże
Jeszcze rośnie zboże!

MIGAWKI MORSKIE

Tam gdzie oparłaś rękę
Choć na piasku być ziarenkiem.

Ja zakochany,
A ją w objęcia
Biorą bałwany!

NA WIDOK MUSKULARNEGO CHŁOPCA

Wciągnęły brzuchy
Dwie staruchy.

ZASKÓRNIAK

Czy nie przednia jest myśl taka:
Mieć dziewczynę zaskórniaka.

TWÓRCZOŚĆ

Słyszę —
Liszka pisze
Na kapuście ciszę!

DROGOWSKAZ

Tędy, tędy;
Tam są BŁĘDY!

STĄD

Stąd jego grzechy nieliczne,
Nie grzeszy, czeka na wytyczne.

EKSPONATY

Ujrzałem na wystawie śliczne krawaty.
Biegnę! Napis!! EKSPONATY!!!

HIPOTEZY

„Pierwsi europejscy żeglarze, którzy wylądowali na początku XVIII wieku na Wyspie Wielkanocnej, nie wierzyli własnym oczom. Na małym skrawku ziemi, oddalonym 3600 km od wybrzeża chilijskiego, zobaczyli setki olbrzymich rzeźb, ustawionych wzdłuż i wszerz wyspy. Nie do poznania były całe masywy górskie, twarda jak stal skała wulkaniczna została pocięta jak masło, a dziesiątki tysięcy ton potężnych skał leżały na miejscach, w których nie można ich było obrobić. Jeszcze dzisiaj setki olbrzymich postaci, około 10 do 20 m wysokich i ważących aż 50 ton, wytrzeszcza wyzywająco swoje oczy na każdego przybysza (...)".

BOHDAN FELT

ZAGADKA STAROŻYTNEJ ARCHITEKTURY

Tak rozpoczyna Erich von Däniken jeden z rozdziałów swej, popularnej także i u nas, książki „Wspomnienia z przyszłości. Nierozwiązane zagadki przeszłości". Autor wyraża opinię, iż nie mogli tego zrobić mieszkańcy wyspy leżącej przecież z dala od wszelkiej cywilizacji, raz — dlatego, że zamieszkiwało ją około 2000 osób, dwa — ponieważ ludzie ci nie dysponowali żadnymi narzędziami i urządzeniami, które umożliwiłyby im odrobienie, przetransportowanie i ustawienie tych kolosalnych figur nad brzegami oceanu. Kto zatem wykonał tę pracę? Tak jak, kto pomagał naszym przodkom z innych części świata we wznoszeniu gigantycznych budowli? „Bogowie", tajemnicze istoty pozaziemskie?

Okazuje się, że nie. Ani siły nadprzyrodzone, ani pomoc „pozaziemskich" istot. Nasi przodkowie posługiwali się po prostu kilkoma typami maszyn prostych i tłumem niewolników. Jak twierdzi architekt i archeolog — Jean-Pierre Adam w książce: „L'Archéologie devant l'imposture", wznoszenie piramid czy układanie 800-tonowych kamiennych bloków rzymskiej świątyni Baalbek, wcale nie było „pracą Herkulesa".

Nauka na swym obecnym poziomie nie jest w stanie wyjaśnić wielu zagadek naszej rzeczywistości, choć tak dużo pomogła już rozwiązać. I dlatego wygodnie jest powoływać się na odległych przodków, zwłaszcza, kiedy wiadomo, że niewielkie są szanse na rozstrzygającą odpowiedź. A zatem: czy piramidy egipskie musiały akurat powstać dzięki tajemniczym siłom nadprzyrodzonym ich budowniczych? Czy posągi na Wyspie Wielkanocnej mogły być ustawione tylko dzięki pomocy pozaziemskich istot?

Z uwagi na dokonany postęp techniczny, zapomnieliśmy już, że w zamierzchłych czasach człowiek zanim zaczął posługiwać się maszyną, sam nią był, wykonując pracę dzięki sile swoich mięśni. Ocenia się nawet, iż jeszcze ponad 100 lat temu, około 1860 roku, 15 procent całkowitej energii, zużytkowywanej na świecie, dostarczała jedynie praca ludzkich rąk. Dziś udział tej pracy wynosi zaledwie 1 procent.

Jean-Pierre Adam, dyrektor Instytutu Architektury Antycznej w Paryżu, przedstawia w swojej książce cały zestaw środków technicznych, którymi posługiwały się różne cywilizacje starożytne, proponując dość logiczne rozwiązania szeregu „tajemnic". Ustalenia dokonane przez historyków, potwierdzone licznymi dokumentami minionych epok, pozwalają wnioskować, że „nieprawdopodobne" osiągnięcia starożytnych były możliwe do zrealizowania i nie potrzeba się wcale odwoływać do „antygrawitacji" czy pośrednictwa w nich istot pozaziemskich, aby wytłumaczyć ów „fenomen".

Wielka piramida Cheopsa zbudowana została ok. 2700 lat przed naszą erą. Liczy sobie 146 metrów wysokości i 230 metrów długości każdego z czterech boków podstawy. Ocenia się, że na jej budowę zużyto około 2.300.000 bloków kamiennych, z których każdy ważył średnio ok. 2—3 ton. Była to zatem masa o wadze 6 milionów ton! Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne. Zapewne, należy jednak wspomnieć słowa greckiego historyka Herodota z Halikarnasu, który w zapiskach ze swej podróży do Egiptu zanotował, że budowa trwała 20 lat, pracowało przy niej ponad 100 tysięcy ludzi. Jak wznosili oni owe kamienne bloki na tak znaczną wysokość?

Jak się wydaje, Egipcjanie tej epoki nie znali jeszcze koła pasowego, należy zatem odrzucić koncepcję wielokrążków. Jedna z pierwszych godnych uwagi hipotez sugerowała, że wokół wznoszonej piramidy zbudowano ogromne rampy o łagodnie nachylonych zboczach, po których wciągano na specjalnych saniach kamienne bloki. Na podstawie zachowanych kronik, rysunków i płaskorzeźb należy sądzić, iż w skład każdego takiego „zaprzęgu" wchodziło ok. 40 ludzi. Z kolei według innych hipotez, przy budowie posługiwano się maszynami prostymi, w których była stosowana znana Egipcjanom dźwignia. Poza tym należy pamiętać, że sznury również były znane starożytnym, wyraźne ich ślady znaleziono przecież w słynnej grocie Lascaux, w południowozachodniej Francji, a pochodziły one z początku okresu kultury magdaleńskiej ok. 13.000 lat p.n.e. Ustalono, że Egipcjanie używali plecionek złożonych z 3 sznurów. Każdy z nich składał się z 40 cienkich sznurków, na które z kolei składało się ok. 7 włókien papirusowych. Wszystko to razem było następnie utwardzane w kąpieli smołowej!

Powracając do budowy piramidy Cheopsa i pracy włożonej w jej wykonanie, spróbujmy, oczywiście z wielkim przybliżeniem, dokonać oceny wartości siły zużytkowanej na to przedsięwzięcie. Zakładamy ogólnie, że owe 6 milionów ton kamienia zostało podniesione na wysokość ok. 50 m (trzecią część wysokości piramidy). Mnożąc otrzymany wynik przez 2 okazuje się, że praca, jaką wykonano z uwzględnieniem strat tarcia i czynności dodatkowych wyniosła... 6 x 10^{12} J (dżuli, 1 J=0,102 kilogramometrów)! Ale przecież wykonywano ją przez 20 lat, z których przynajmniej siedem było efektywnym czasem pracy stanowiącym w przybliżeniu równowartość 200 milionów sekund. Zatem moc efektywna wynosiła „zaledwie" 30 000 watów czyli około 40 KM. Oznacza to, że maszyna poruszana silnikiem o mocy 40 KM wykonuje pracę stanowiącą równowartość pracy całej armii niewolników uczestniczących w budowie piramidy. Na pewno jest to obliczenie bardzo szacunkowe, nie pozwalające na wyciąganie ścisłych wniosków. Niemniej umożliwia ono uświadomienie sobie faktu, iż ta tytaniczna wydawałoby się praca nie wymagała wcale nadprzyrodzonych środków oraz to, że czas i tania siła robocza dość łatwo zastępowały późniejsze potężne maszyny.

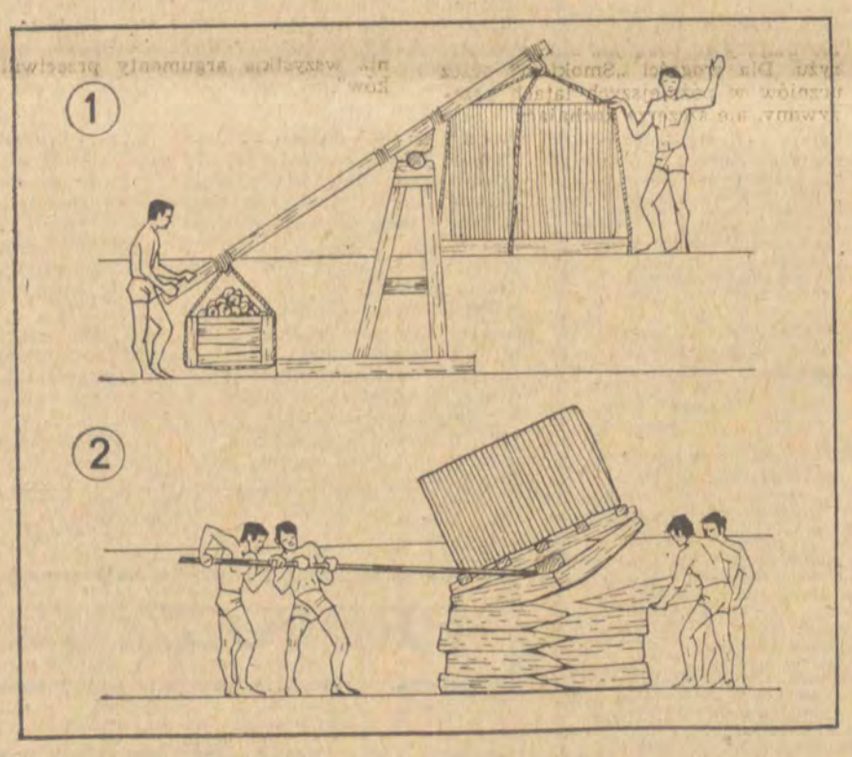

Przenieśmy się teraz w epokę starożytnego Rzymu. Jego mieszkańcy, dla których obróbka kamieni przedstawiała znacznie mniej problemów i którzy ponadto potrafili wytwarzać cegły, raczej niechętnie odnosili się do stosowania ciężkich kamiennych bloków w architekturze. Do nielicznych pod tym względem wyjątków ale za to najbardziej niezwykłych nie tylko w starożytności, lecz w całej historii, należy rzymskie sanktuarium Baalbek na północ od Damaszku. Otóż tarasy świątyni położone po jej zachodniej stronie zbudowane są z trzech potężnych kamieni (tzw. ciosów), każdy długości ponad 19 metrów, wysokości 4,30 m i szerokości 3,65 cm. Wagę każdego z nich ocenia się na ok. 800 ton, a trzeba pamiętać, że pochodzą one z kamieniołomu położonego o ponad kilometr drogi od świątyni! Jak je zatem przetransportowano, a później — w jaki sposób dźwignięto na wysokość prawie siedmiu metrów?

Zanim spróbujemy wyjaśnić tę zagadkę, spójrzmy najpierw na pewien przykład z nie tak odległej historii. Chodzi tu o transport bloku granitowego o wadze ok. 1250 ton na trasie 6 kilometrów, który to blok cesarzowa Katarzyna II wybrała jako cokół pod pomnik Piotra Wielkiego na koniu. Pod kierunkiem hrabiego de Carbury 64 ludzi wykonało tę gigantyczną pracę w ciągu 6 tygodni. A jak to zrobiono? Blok był po prostu przetaczany na „łożyskach kulkowych". W tym celu umieszczono blok na „saniach" złożonych z dwóch specjalnych bali, w których wykonano wyżłobienia, pokryte warstwą metalu. W całej operacji wykorzystywano dwie pary takich bali, które na przemian zastępowano w miarę przemieszczania się bloku. W wyżłobieniach bali umieszczono metalowe kule, po których „sanie" się ślizgały. Całość była ciągniona za pomocą dwóch lin przechodzących przez dwa wielokrążki (3--kołowe) i nawiniętych wokół dwóch kołowrotów, z których każdy obsługiwało 32 ludzi (po czterech przy każdym z 8 drągów). Drągi te miały długość 2,60 m, zaś średni punkt przyłożenia siły znajdował się w odległości 1,60 m od osi kołowrotu, którego promień bębna wynosił 10 cm. Siłę ludzkich mięśni należało zatem pomnożyć przez 16, a następnie przez 3 (z racji stosowania wielokrążków). Jeśli przyjąć, że każdy człowiek wywierał siłę 200 N (niutonów), tzn. 20 kG, to całkowita siła przyłożona do bloku w czasie jego transportu wynosiła ponad 60 T.

W związku z tym J.P. Adam wysuwa nieco inną hipotezę. Sugeruje mianowicie ewentualność użycia przez Rzymian kołowrotów 6-ramiennych obsługiwanych przez 24 ludzi, przy czym punkt przyłożenia siły był oddalony o 1,70 m od osi. Przyjmując, że każdy z nich dysponował siłą ok. 200 N oraz to, że działało 6 wielokątników (po dwa koła pasowe każdy), można było dzięki tym urządzeniom uzyskać siłę 979.200 N, która po uwzględnieniu strat tarcia wynosiła ok. 780.000 N. Była więc zupełnie wystarczająca do transportu bloku. Weźmy jednak pod uwagę fakt, że Rzymianie wcale nie musieli korzystać z cedrowych okrągląków, jest wysoce prawdopodobne, że bloki były przesuwane po kamiennym bądź gliniastym podłożu wobec czego wartość sił tarcia dochodziła do 2/3 ich ciężaru ogólnego tj. ok. 530 T.

Autor francuski proponuje w związku z tym następujące rozwiązanie: zakłada mianowicie możliwość zastosowania 16 kołowrotów 8-ramiennych, z których każdy miałoby obsługiwać 32 ludzi. Na każdym drągu punkt przyłożenia siły miał się znajdować w odległości 1,70 m od osi kołowrotu, którego bęben miał mieć promień 10 cm. W efekcie siła, jaką reprezentowali ludzie obracający kołowrót, zwielokrotniała się 17-krotnie. Każdy z kołowrotów był połączony z wielokrążkiem składającym się z czterech kół pasowych, co powodowało dalsze powiększenie się siły, tym razem 4-krotne. Ostatecznie więc siła ta wynosiła: 200 x 16 x 32 x 17 x 4=6.963.200 N, a uwzględniając straty wynikające z tarcia (ok. 20 proc.) przedstawiała sobą wartość 557 T. Jak wynika z tego rachunku, do wykonania takiej pracy potrzeba było 512 ludzi! Wydaje się, że to dużo, zważmy jednak, że gdyby nie zastosowano wspomnianych wyżej maszyn prostych, pracę tę musiałoby wykonywać ok. 800 wołów!

A w jaki sposób wyjaśnić tajemnicę Wyspy Wielkanocnej? Bez wątpienia jest to wyjątkowo skomplikowana zagadka, tym trudniejsza, że nie zachowały się żadne zapiski dotyczące obróbki, transportu i sposób wznoszenia tych gigantycznych posągów. Nikt nie wie jak tego dokonano. Nie oznacza to bynajmniej, że jest to problem nie do rozwiązania. Bądź co bądź największy z posągów ważył „tylko" 80 ton, a więc 10 razy mniej niż kamienne bloki świątyni Baalbek i został wzniesiony ok. 1000 lat później.

To oczywiście prawda, niestety nic nam nie wiadomo odnośnie poziomu techniki reprezentowanego przez mieszkańców wyspy w tej epoce. Czy znali oni sznury i koła pasowe? Nic również nie możemy powiedzieć na temat innych metod, jakimi ewentualnie się posługiwali. Czy mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej wykorzystywali siłę „antygrawitacyjną" dla przemieszczania owych posągów? Taka bowiem była jedna z sugestii francuskiego badacza Francisa Mazière'a. Kiedy jest się już zmuszonym do wypowiadania takich niedorzeczności świadczy to najlepiej o tym, jak dalece człowiek XX wieku zapatrzony jest w osiągnięcia nowoczesnej techniki i jak mało ma zaufania do pomysłowości minionych cywilizacji.

Spróbujmy dokładniej przypatrzeć się problemowi. Otóż posągi powstały w wyniku obróbki nadmorskich skał wulkanicznych i, jak to można było zauważyć, na pewnej liczbie niedokończonych posągów, były one połączone z rodzimą skałą swą częścią grzbietową. W momencie, gdy obróbka została ukończona, połączenie to likwidowano i ów blok skalny opuszczał kamieniołom, ześlizgując się po specjalnie gładko ociosanej „pochylni", która była wyżłobiona w skale. Można byłoby zatem postawić pytanie, po co mieszkańcy wyspy zadawali sobie trud drążenia takich „pochylni", skoro przemieszczali posągi przez „lewitację".

Pozostaje więc wyjaśnić, w jaki sposób dokonywano ich przetransportowania, skoro droga z nadbrzeżnych kamieniołomów do miejsca ich ustawienia liczyła niejednokrotnie wiele kilometrów. Dodajmy, że największa statua miała 10 m wysokości i ważyła ok. 80 ton! Jest zatem mało prawdopodobne, żeby tak wielką masę mieszkańcy ciągnęli po prostu po ziemi, jak bowiem wskazują eksperymenty, trzeba by w tym celu dysponować siłą równą 2/3 całkowitego ciężaru posągu, czyli 53 T. Zakładając, że pojedyńczy człowiek dysponował siłą 25 kG, potrzeba było do wykonania tego zadania 2.100 ludzi. Tymczasem cała ludność wyspy, włączając w to kobiety, inwalidów, starców i dzieci, nigdy nie przekraczała 5—6 tysięcy osób. Zatem w takim „zaprzęgu" musiałaby się znaleźć przynajmniej trzecia część mieszkańców wyspy, co wydaje się raczej niemożliwe.

Toteż Jean-Pierre Adam proponuje nieco inne rozwiązanie. Według tej koncepcji należałoby pod część środkową (grzbiet) posągu podłożyć kilka drewnianych okrąglaków, a następnie owinąć jego podstawę sznurami. Sznury te byłyby ciągnięte przez znaczną grupę ludzi. Inna grupa zaopatrzona w krótkie i mocne drągi, powinna starać się podważyć podstawę z przeciwnej strony. W rezultacie nastąpiłby obrót posągu wokół osi obrotu (okrąglaki), a istniejąca przeciwwaga („pchacze") umożliwiłaby przybliżenie się punktu podparcia do osi obrotu. Z każdym obrotem o 180° posąg przesuwałby się więc wzdłuż własnej długości. Podobną metodą niektóre plemiona afrykańskie ciągną swoje pirogi przez plaże. Jak się okazuje, dwóch ludzi: „popychający" i „przeciwwaga" jest w stanie przesuwać tym sposobem łódź lub statek o wadze 1 tony! Zatem do przetransportowania większości posągów wystarczyłoby zaledwie 500 ludzi. Oczywiście jest to tylko hipoteza, bowiem, jak już wspomniano, brak jest jakiegokolwiek świadectwa czy dokumentu, który potwierdziłby taką koncepcję transportu. Jest również bardzo prawdopodobne, że prawdy nie dowiemy się nigdy. Niemniej podejmując próby wyjaśnienia zagadek architektury starożytności i techniki, jaką się posługiwano we wznoszeniu gigantycznych budowli, można — jak to było widać — doskonale się obejść bez lewitacji bądź pomocy pozaziemskich istot.

Objaśnienia rysunków

Wielka piramida Cheopsa składa się z ponad 2.000.000 bloków kamiennych ważących 2—3 tony. Oto dwa sposoby podnoszenia owych bloków. Jak widać na górnym rysunku, do tego celu wykorzystywano dźwignię, na której dłuższym ramieniu umieszczano dodatkowe obciążenie (przeciwwagę dla bloku). Przy pomocy tej metody można było dość łatwo podnosić owe ogromne bloki kamienne na pewną wysokość.

Inne zastosowanie zaproponował egiptolog, William Flinders Petrie. Odpowiada ono dość dokładnie opisowi z kronik Herodota. Blok kamienny umieszczano na swego rodzaju „saniach" z zakrzywionymi płozami (rysunek dolny). Po rozkołysaniu ich za pomocą drągów (dźwignie) podkładano pod zakrzywione płozy ogromne kliny, podnosząc w ten sposób ciężar w górę (oczywiście również do pewnej wysokości).

CZY ZNAMY JANA MATEJKĘ

Jan Matejko wszystkim znany. Tak zatytułowała swoją opowieść biograficzną Maria Szypowska. Bo rzeczywiście — polska kultura ma wielu malarzy wybitniejszych od Jana Matejki, bardziej znaczących dla kultury europejskiej, malarzy, których dzieła są w światowym Muzeum Sztuki o wiele bardziej istotne od „Grunwaldu" i pocztu królów polskich.

Ale żaden z tych malarzy nie stworzył „Grunwaldu" i pocztu królów polskich. Dzięki Janowi Matejce całe pokolenia Polaków znają dzieje narodu poprzez artystyczną wizję tego malarza.

Więc wszystkim znany? Otóż niezupełnie.

„Zdawałoby się, że dokładnie jest zbadana każda chwila jego życia, że nic nie pozostało niejasne, wątpliwe — wystarczy znane materiały po kolei odczytać, by zobaczyć wychodzącego naprzeciw nam żywego człowieka.

A jednak...

Zacznijmy od daty urodzenia, którą dziś znajdujemy we wszystkich opracowaniach: 24 czerwca 1838 roku.

Taką datę ustalił w roku 1938 sędzia apelacyjny, doktor Gustaw Groeger, w oparciu o księgę chrztów parafii Św. Krzyża w Krakowie. Weźmy tę księgę do ręki. Chropawy, grubo szeleszczący papier w palcach. Zbrązowiały atrament. Kaligraficzne, pajęcze litery, pięknie wypisane przez księdza wikarego Żurkowskiego w odpowiednich rubrykach. Rzeczywiście „natus" — „Junius 24". Wykreślona jest natomiast informacja o chrzcie, zamieszczona pod datą 30 czerwca (chrzest odbył się dopiero 1 stycznia 1842, przy czym adnotacja o urodzeniu informuje lakonicznie: „iam dudum" — już niegdyś).

Marian Gorzkowski — sekretarz i powiernik Matejki — w swych o nim wspomnieniach podaje lipcową datę urodzin.

„Dnia 20 lipca, to jest w dzień urodzin artysty, byłem u niego na obiedzie, podano wino; wznosiłem toast na jego zdrowie..." „...a chociaż dzień jego imienin powszechnie obchodzi się w czerwcu, to jednak ja zwykle osobno o dniu urodzin jego pamiętam" — kilkakroć napomyka pan Marian. Cytuje on również metrykę chrztu (acz w odpisie z 1863 roku), podającą też dzień urodzenia Matejki: 30 lipca.

Lipcową datę urodzin Matejki uściślił dyrektor archiwum krakowskiego, doktor Adam Chmiel, opariszy się na aktach cywilnych parafii Św. Krzyża.

„...metryka chrztu mylnie wymienia dzień urodzin naszego Mistrza na 30 lipca 1838 roku zamiast 28 lipca. W dniu bowiem 30 lipca 1838 roku ojciec Jana Matejki wraz z dwoma świadkami oświadczyli w urzędzie parafialnym Św. Krzyża, że syn Franciszka Matejki, któremu nadano imiona Jan Alojzy, urodził się na dniu onegdajszym, o godzinie jedenastej w nocy, a więc dnia 28 lipca 1838 roku".

Trzy daty. Różne.

Trzy dokumenty. Sprzeczne.

Trzej autorytatywni świadkowie: sędzia apelacyjny, przyjaciel Matejki, archiwariusz krakowski. W sporze.

Komu wierzyć?

Ale czy to ważne? Czyż nie jest ważniejszy moment, w którym Matejko urodził się jako malarz? Spójrzmy więc — śladem książki Szypowskiej — w lata 1851—1858, gdy Jan Matejko studiował w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych.

„...Przybył do Szkoły na Wesołej Jan Matejko, wzrostu średniego, niechudy, z uderzająco skrzywionym nosem, oczami bardzo ciemnymi jak tarki, włosów równie ciemnych. Granatowy surducik wytarty, czapka nie lepsza, z daszkiem zmatowanym. Trzymający się sztywno, pozornie wydający się obojętnym, a z boku zerkający oczyma ciekawie, małomówny, mrukliwy, w garderobie widocznie przerobionej ze starszego, w obuwiu z przyszczypkami, powoli i ukradkiem obserwujący kolegów i ich studia. Z powodu krótkiego wzroku przykładał do lewego oka szkiełko w, czasie roboty dla lepszego zrozumienia danego wzoru. Od początku najpilniejszy i najspokojniejszy z uzdolnionych uczniów.

(...) od razu rozpoczął studia z wzorów gipsowych: odlewy z natury (części ciała), następnie głowy z antyków: Aleksandra Wielkiego i Likurga. Że zastał kilku kolegów już malujących (olejno) z martwej natury, jako drugorocznych, pracował usilnie, aby ich dogonić (...) Z wielkim zajęciem słuchał wykładów anatomii prof. Stattlera i perspektywy prof. Łuszczkiewicza, należąc już wtedy do najlepiej przyswajających sobie te nauki. Pierwsze studia malowane olejno były: „Orzech kokosowy", „Kanarek wypchany" i „Trupia głowa" (bez szczęki dolnej). „Cyrankę wypchaną" wykonał z wielką subtelnością a prawdą kolorytu właściwego.

(...) Wojciech Korneli Stattler i Władysław Łuszczkiewicz, to dwaj pierwsi malarze, z jakimi Matejko zetknął się w życiu.

Dyrektor Stattler, sławny autor „Machabeuszy" — nagrodzonych we Francji złotym medalem przez Słowackiego witany jako „brzask różany kiedyć przyszłego malarstwa polskiego", przez policję carską wyrzuconych z wystawy w Odessie za „niebłagonadiożność" — wywierał na uczniów ogromny wpływ swym autorytetem i nadawał wyższą rangę krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, która od 1831 roku została decyzją władz wyłączona z Uniwersytetu Jagiellońskiego i de facto była szkołą średnią stanowiącą część Instytutu Techniki. Stattler głosił równe poezji znaczenie sztuk plastycznych w życiu narodu, podkreślał szczytną, kapłańską rolę artysty; twierdząc zarazem, że natura „we wszystkich czasach jest najobfitszym źródłem dla malarstwa", on — ku śmiertelnemu zgorszeniu Krakowa! — wprowadził do szkoły rysunek nagiego modela.

Władysław Łuszczkiewicz był to malarz niewysokiego lotu, ale bezgranicznie oddany sprawom sztuki. Ledwie dziesięć lat starszy od Matejki, ale mający za sobą już studia w Paryżu. Dla srogości „Smokiem" przez uczniów w późniejszych latach przezywany, ale szczerze kochający swych żaków. Syn nadszefa Szkoły, czyli dyrektora Instytutu Techniki Michała Łuszczkiewicza, okresami wykładający po pięć przedmiotów, ale też pracujący jako bezpłatny nauczyciel rysunków i pełniący w Szkole najrozmaitsze posługi. A przede wszystkim człowiek, którego pasją życiową było poznanie i ochrona wszelkich zabytków sztuki oraz obiektów kultury materialnej związanej z dziejami Polski.

„Pierwsze prace Matejki były bardzo bojaźliwie robione, ale też i najbardziej wykończone, wymęczone. Grabowski nazywał go „męczybuła-ślepowron" — opowiada Jabłoński.

„W pierwszej chwili po wejściu do Szkoły przy rysowaniu z antyków nie wyróżniał się talentem spośród kolegów, ale profesor, przypadkowo dostawszy do rąk książeczkę notatkową z pysznie narysowanymi biustami sławnych Polaków z kolekcji rzeźb szkolnych, dostrzegł strunę wysokiego nastroju młodzieńca" — dodaje ówże profesor, czyli sam Władysław Łuszczkiewicz.

„Ludzie twierdzili kiedyś tutaj w Krakowie, że on żadnego nie ma talentu, że jako uczeń ze słabym wzrokiem nie będzie miał żadnej przyszłości"; „...owoczesna władza szkolna nawet radziła już wtedy ojcu Matejki, by swego syna nie kształcił w artystycznym zawodzie, gdyż z braku zdolności nic z niego nigdy nie będzie..." — przytacza Gorzkowski zasłyszane od Matejki wspomnienia. W wierność tych zapisów każe nam wierzyć i fakt, że po raz pierwszy były ogłoszone za życia Matejki, i jakaś cierpka uporczywość pamiętania przez Mistrza początkowych niepowodzeń".

Niepowodzeniami się zresztą nie zrażał. Nic nie zdołało złamać woli i ambicji tego chucherkowatego chłopaka z płonącymi czarnymi oczyma, który już czuł się przyszłym Wielkim Matejką, Mistrzem Matejką.

W jego liście z 7 maja 1858 roku znajdujemy zdanie niby żartobliwe, jednak niezartobliwe wcale: **„Przebacz niewyraźnemu pismu, ale to podobno wielcy ludzie tylko babrzą, a ja już od urodzenia byłem wielkim — więc nie może być inaczej"**

I szybko stał się wielkim. Już w maju 1864 roku znany był wszystkim jako malarz polskiej historii. Znany jako twórca „Kazania Skargi".

(...) „Przystępując do jakiejś artystycznej roboty, Matejko, jak nieraz mi potem wspominał, miał stałą i niewzruszoną zasadę: „Wyczerpać najprzód wszelkie możebne źródła do tegoż należące przedmiotu, a mając przygotowaną i wszechstonną wiedzę, dopiero wtedy do malowania obrazu przystąpić. Chcę zresztą — **mawiał** on zwykle — mieć w sobie to przekonanie wewnętrzne, że kończąc obraz i podpisując na nim moje nazwisko, tak go skończyłem, jak tylko mogłem najlepiej, o ile tylko mogły się zdobyć me siły". (Gorzkowski).

Tę możliwie pełną wiedzę o epoce zamieniał Matejko potem nie w ilustrację jakiegoś konkretnego wydarzenia, ale w swoistą summę wiadomości i przeżyć, w wizję mocarną, konkretną, pełną, dotykalną jak bryła kamienia.

Mówiąc o historii Polski swymi obrazami, chciał ukazywać narodowi siły będące motorem dziejów, ich dynamizmem — a przez to tworzyć nową historię narodu...

Dla Skargi placówką publicystyki, trybuną polityczną była i kazalnica, i mała książeczka „Kazań sejmowych" (jako że — biorąc ściśle — słynne kazania nigdy nie były wygłoszone).

Trybuną polityczną — dla Matejki — było płótno obrazu.

(...) Poryw twórczy, swobodny lot wyobraźni — trzeba było zamienić w obraz pracą długą, żmudną, mozolną, popartą tysiącami ustaleń historycznych.

„Gorączkowa działalność przed rozpoczęciem obrazu „Kazanie Skargi" była tak wielką, jakby był opanowany obawą, że długo nie pożyje, a gromadził zbiory, zasoby, garderobę do obrazu, jakby był pewnym, że cały wiek żyć będzie, ciągle je później pomnażając zakupnem i darami" (Jabłoński).

Dyscyplina artystyczna zwyciężyła w Skardze nad tak charakterystyczną bujnością Matejkowską, nad jego zwyczajem wypełniania tła najrozmaitszymi elementami namalowanymi z krzyczącą prawdziwością.

Dyscyplina artystyczna zawsze jednak musiała ustępować nadrzędnemu celowi przyświecającemu artyście.

Mieczysław Treter, jako historyk sztuki, ubolewa, iż obniżał lot „taki artysta, prawdziwie opętany miłością ojczyzny, oddany swej mniemanej misji, służbie społecznej".

Innych zaś historyków oburzało dążenie Matejki do artystycznej syntezy jakiegoś dziejowego procesu, świadome mieszanie ludzi, miejsc i dat. „W zapalczywych dyskusjach z dziedziny historii pomiędzy Tadeuszem Wojciechowskim, Ludwikiem Kubalą nieraz był pokonanym, gdyż jego: „A bo to prawda!" nie zawsze było uzasadnione przekonywającymi argumentami". (Jabłoński). Pokonany, ale nie przekonany wracał do obrazu. To, co namalował, miało większą siłę niż wszystkie argumenty przeciwników".

Ale oprócz twórczości — a raczej obok niej — były też tysiące drobnych kłopotów, sprawy osobiste, bieda codzienna, dotkliwa... Sprawy osobiste. Żona Teodora z Giebułtowskich Matejkowa, którą poznał jeszcze jako podlotka.

(...) „Teodora — Dora — Teosia — Osia.

Każdy niemal z biografów uważa, że była po prostu przekleństwem Matejki. Jest przedstawiana — mniej czy bardziej dobitnie — jako swoista pani Twardowska, baba z piekła rodem, męża nie kochająca, zła dla rodziny, umysłowo chora przez parę lat, a zawsze zwariowana, chciwa, rozrzutna, snobka, próżna, diablo pyszna, lekkomyślna, nieinteligentna, marnotrawiąca wysiłki męża i — co najgorsza — utrudniająca pracę genialnemu artyście przez fatalne swoje cechy.

Czasem ktoś na usprawiedliwienie Teodory bąknie: Cóż, musiało się tak skończyć, kiedy bujną dziewczynę rodzina wydała za nie kochanego człowieka, budzącego w niej wstręt fizyczny!...

Spróbujmy jednak na chwilę zapomnieć o utrwalonej od stu lat opinii, sięgnijmy po listy tych dwojga, i te wydane drukiem, i te rękopiśmienne, pieczołowicie przechowywane w muzealnych zbiorach Domu Matejki, przeczytajmy je uważnie, spokojnie, z opowieści zaś rówieśnych życiu Jana i Teodory wyłuskajmy ziarno faktów. A może dojdziemy do wniosku, że na Jana nie spadło żadne przekleństwo. Że mu to „przekleństwo" było do życia i działalności twórczej niezbędne, że on sobie to „przekleństwo" sam wyhołubił, ukształtował, rozwinął, wyreżyserował, od dawna dobrze znając charakter Teodory.

Z listów Jana wiemy, że wobec młodzieńczej narzeczonej okazywał taką nieśmiałość, taką cześć i uwielbienie, takie hołdy jej składał, jak w średniowiecznym romansie paź, rycerz czy trubadur wobec królewny z zaczarowanego zamku. Czy była to jednak lękliwość prawdziwa? Czy jakaś gra przed samym sobą i przed światem, podnosząca wartość obiektu uwielbienia?...

Teodora świetnie, aż za dosłownie, czuła się w roli romantycznej władczyni. Joannę śmieszył i drażnił „smętny amant siostruni". Pani Paulina wolałaby więcej praktycznej codzienności, więcej konkretów. Tymczasem Jan nawet podjęcie korespondencji z ukochaną — dopiero w końcu 1863 roku! — uważał za wielką śmiałość.

15/16 listopada 1863. **„Najdroższa Pani moja! Długom się kłócił z myślami, zanim zdecydowałem się napisać te słów kilka (...) i choć Pani przyzwoliła na moje prośby, które wzięły początek z zachęty samej Mamy, jednak czuję, że to Pani nie ze szczerej ochoty zrobiła, jeno dla dogodzenia prośbom moim".** Dla ścisłości dodajmy, że Jan prawie miesiąc zwlekał, nim skorzystał z danej mu w połowie października zgody na korespondencję.

Drugi list Jana został wysłany w miesiąc dopiero po pierwszym.

15 grudnia 1863. **„Najdroższa Pani moja! (...) Poza ogrodem widzę dwa jasne okna jakiegoś sąsiedniego domu, przypominają mi dwoje jasnych ócz Pani (...) Nie czuj, Pani, przykrości czytając te słowa; jest to podzięka Tobie, zamknięta na wieki w mojej duszy. (...) Pani swojej ręce Jan całuje".**

Pisanie kolejnego listu idzie nieco szybciej i śmielej. 3/4 stycznia 1864. **„Chociaż się Pani gniewała na mnie w przeszłym liście o owe okna, toć i dziś mi toż samo przypominają — i gwiazdę widzę, jasno drży, więc mnie pocieszyła w smutkach moich. (...) Panin na zawsze Jan".**

Ocalało dwadzieścia jeden takich listów do „Najdroższej Pani mojej", które słał „Panin na zawsze", „zawsze przywiązany", „zawsze jeden", „na zawsze jednaki", „zawsze ten sam".

I dalej — już po ślubie.

(...) „Jan do Teodory: „...nie zdawał mi się wtedy tak przykrym rozdział choćby kilkodniowy, pokąd patrzałem na Ciebie, w naszego Tadka śpiącego ani nawet wtedy, kiedy za odjeżdżającym biegłaś w brzozy, śląc pocałunki i znacząc drogę krzyżykiem błogosławiącym, a wreszcie chustą jakby skrzydłem gołębia ostatnie znaki dając. Wszystko to nie rozdzierało mnie, bom jeszcze Cię widział i czuł koło siebie; znalezienie się dopiero w pustym mieszkaniu, mało wietrzonym, prawie bezpowietrznym — wobec portretu tylko Twego, Doro! — opadło na mnie smutkiem i tęsknotą..." (10/11 lipca 1867).

Teodora do Jana: „Mój Jaśku, mój drogi — cóż bym za to dała, żeby można Cię dostać a ucałować jak zwykle po tysiące razy (...) Nie wiem, jakim Cię słowem nazwać, jakim Ci słowem opisać, co czuję. (...) Odpisz kiedy przyjedziesz, i przyjeżdżaj jak możesz naprędzej, moje drogie Jaśki — całuję ręce, oczy, wszystko po tysiące razy". (12 lipca 1867).

A jednak po latach Matejko zwierza się przyjacielowi:

(...) **„Ja cierpię i męczę się od pierwszej chwili pobrania się naszego — opowiadał Matejko 19 kwietnia 1878 — już w dwa tygodnie po ślubie naszym, i to w czasie gdy ludzie najbardziej tym ślubnym życiem cieszą się i radują, powiedziała mi żona, „że jeśli ją tylko nos zaswędzi, to będę tańczył koło niej". Jakież okropne te wyrazy sprawiły na mnie wrażenie! Któraż to młoda mężatka mogłaby się zdobyć na taką myśl i wyrazy? A jednak tak było! Gdy wspomnę o tym, to dziś jeszcze truchleję, bo do tej pory ciągnie się piekło życia mojego. Ona nie tylko ze mną, lecz nawet z najbliższymi krewnymi swymi gryzła się ciągle; rodzony brat jej (...) ksiądz Stanisław Giebułtowski przez długi czas przez nią nie bywał u mnie (...). Z rodzoną swą matką, gdy nieraz ona mieszkała u mnie, robiła sceny zatrważające. Wprawdzie jej matka była też do niej podobną, a kiedyś za młodu tak samo była okrutną w rodzinnym życiu jak ona".**

Stanisława Serafińska również utrwaliła na piśmie bardzo krytyczne sądy o Teodorze — własne i rodzinne.

Czyż więc Gorzkowski, Serafińska i inni współcześni pisali nieprawdę oskarżając Teodorę o stworzenie Matejce piekła na ziemi?!

Oczywiście, że pisali prawdę! Tylko prawdę niepełną. Życie Matejki z Teodorą nie było nieustannym piekłem — ale nieustannym przerzucaniem się od piekła do nieba najwyższych uniesień. Nigdy nie była to szara zwyczajność, (nawet wśród pieluch kleików, leków)...

I te zmiany nastrojów właśnie najbardziej oburzały Gorzkowskiego, Serafińskich i innych współczesnych. Nie rozumieli, że Matejce jego pasje codzienne („pasje" — gwałtowne uczucia i „pasje" — męczarnie) po prostu były niezbędne do życia, do malowania postaci pełnych pasji. Nie nadużywał alkoholu, nie sięgał po narkotyki, miał za to swoją Teodorę.

A jak było naprawdę? Czy to ważne? Przecież najważniejsze są jego obrazy — owa piękna wizja polskich dziejów. Ale i ta książka opowiadająca rzetelnie i drobiazgowo dzieje życia Jana Matejki jest również ważna, bo pozwala spojrzeć szerzej i głębiej na losy artysty, którego „wszyscy znają", a o którym w gruncie rzeczy wiemy tak mało. Książka Marii Szypowskiej poszerzyła tę naszą ubogą wiedzę o panoramiczny obraz życia i twórczości Jana Matejki.

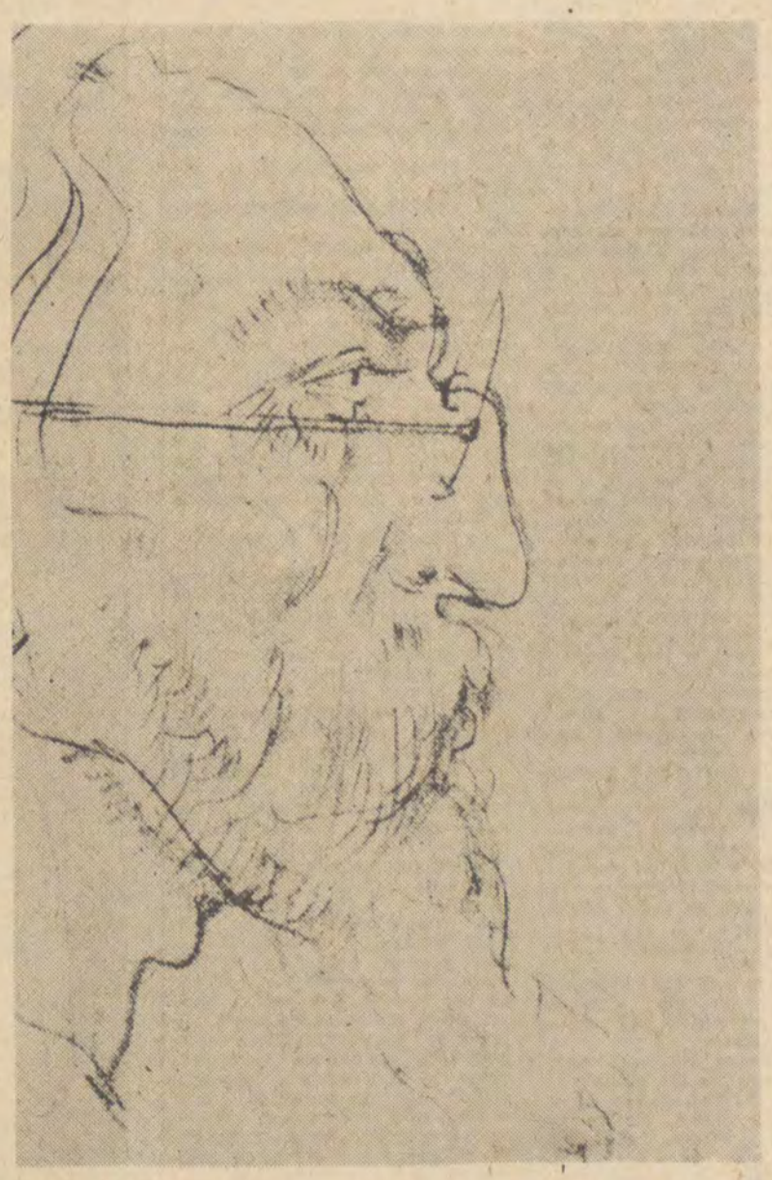

Autoportret ołówkowy Matejki

Oprac. JERZY WILMAŃSKI

Maria Szypowska „Jan Matejko wszystkim znany", PIW, cena 70 zł.

magazyn

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

DZIESIĄTY I NIE OSTATNI

W tydzień po powrocie z Opola, do którego to festiwalu swoje sceptyczne nastawienie wyrażałem już na tych łamach, wyjechałem łyknąć trochę jodu i poobserwować, co też ciekawego dzieje się w kołobrzeskim amfiteatrze. Szczęśliwie trafiłem na wspaniałą, słoneczną pogodę, co każdorazowo pozwalało mi przed południem przetrawiać na plaży obserwacje z dnia poprzedniego na swoje własne subiektywne refleksje. Nie prowadziłem, broń Boże, jakiegoś dziennika swoich spostrzeżeń, ale zawierzając bez reszty swojej pamięci, która nie jest ani dobra, ani zła, spróbuję teraz przytoczyć — możliwie w chronologicznym porządku docierania do mnie — niektóre spośród nich. Oczywiście, te, które wydają mi się najistotniejsze dla sprawy.

Festiwal Piosenki Żołnierskiej odbył się w Kołobrzegu już po raz dziesiąty i przyznać musze — z żalem spoglądając wstecz na coroczne spotkania w Opolu — że końca wcale nie widać, bo impreza kołobrzeska ani trochę się nie zestarzała. (Jedyny kłopot mają tutaj autorzy, a przede wszystkim autorzy tekstów, którzy związani wojskową tematyką utworów szukają — nie zawsze z powodzeniem — nowych dróg i sposobów tworzenia, nowych pomysłów, które odcinałyby się od tego wszystkiego, co dotychczas napisali ich poprzednicy). Co ważniejsze, jubileusz uczczono specjalnym koncertem z udziałem wszystkich gwiazd dotychczasowych festiwali kołobrzeskich (zabrakło tutaj tylko Haliny Frąckowiak i zespołu „Dwa plus Jeden") i wówczas okazało się, iż długo trzeba by było wyliczać przeboje — szlagiery wojskowe i nie tylko — które po raz pierwszy przedstawiono szerokiej publiczności właśnie tu, w położonym nie opodal nadmorskiej plaży amfiteatrze. A to świadczy bezsprzecznie, iż FPŻ odgrywają niebagatelną rolę w popularyzacji treści najbliższych współczesnemu wojsku polskiemu i jego szczytnym tradycjom, co z kolei służy w pewnym stopniu kształtowaniu światopoglądu zwłaszcza młodych obywateli naszego kraju, bo to właśnie oni są głównym odbiorcą i kolporterem „piosenki dla wojska".

Zresztą młodzi garną się również do śpiewania na festiwalowej estradzie. To przecież dla najlepszych z kandydatów organizuje się w Kołobrzegu, w ramach festiwalu, konkurs amatorów — solistów i zespołów. Wystarczy dodać, że startując na tego typu koncercie w 1969 roku jedna z czołowych dzisiaj naszych piosenkarek, później wielokrotnie honorowana w Kołobrzegu — Elżbieta Igras (notabene: skrzywdzona chyba nieco przez jury tegorocznego festiwalu) zdobyła „Złoty Pierścień". Co było w pewnym sensie początkiem jej kariery. W tym roku również przyznano kilka nagród w koncercie amatorów i stwierdzić trzeba, że tutaj nie popełniono żadnych gaf — wyróżniono faktycznie najlepszych: zespół „Truwerzy" z Koszalina oraz solistów Bożenę Ogonowską, Pawła Dochniaka i Andrzeja Cieślika, przy czym mnie osobiście najbardziej podobali się na estradzie ci dwaj ostatni.

Tradycyjnie najciekawszym koncertem bywają — „Premiery". W ubiegłych festiwalach prezentowano ich nieco mniej, w czasie ostatniego — ponad czterdzieści. Postanowiono doprowadzić do konfrontacji wszystkich zakwalifikowanych przez komisję artystyczną utworów, a każdy z wykonawców miał zaśpiewać dwie piosenki. Niestety, ten eksperyment nie w pełni zdał egzamin, gdyż publiczność została dosłownie zasypana piosenkami, wśród których dwie trzecie to — trzeba to otwarcie powiedzieć — utworki słabsze, bez jakichkolwiek szans. Z drugiej strony obarczanie piosenkarza czy zespołu instrumentalno-wokalnego przygotowaniem dwóch piosenek odbiło się ujemnie na ich interpretacji, a równocześnie przyczyniało się do narastania nerwowości, gdyż wykonawcy musieli długo oczekiwać na swój kolejny występ (rozpraszająca uwagę przerwa między jednym a drugim „wyjściem" trwała zazwyczaj więcej niż półtorej godziny). Wydaje się, że w roku przyszłym organizatorzy winni dokonać transformacji swej tegorocznej koncepcji.

Ponieważ o koncercie galowym specjalnie pisać nie będę, jako że był on wypadkową wszystkiego, co działo się wcześniej, poświęcę parę słów widowisku pn. „Ballada o czterech pancernych", które to widowisko w zamiarze autorów (libretto i teksty piosenek w oparciu o własną książkę napisał Janusz Przymanowski, a muzykę skomponował Benedykt Konowalski) miało być bodaj musicalem. Wprawdzie autorzy otrzymali „Złote Pierścienie" za piosenkę, która była częścią składową spektaklu, niemniej on sam jako całość był nie do przyjęcia. Członkowie Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego otrzymali zadanie ponad siły, ale i to nie było najgorszą stroną „Ballady". Zdecydowanie raziła bowiem warstwa treściowa całkowicie w tej formie prezentacji niespójna, momentami skłaniająca się ku farsie, a rozbudowana do gigantycznych rozmiarów (widowisko trwało ponad trzy godziny). Podobno TVP dokonała wielu skrótów, które wyszły „Balladzie o czterech pancernych" na dobre.

Część koncertów, z jednodniowym opóźnieniem, transmitowała telewizja, ale nie wiem, czy tutaj dało się zauważyć to, co rzucało się w oczy na miejscu. Otóż, wśród najlepszych wykonawców — co znalazło pełne potwierdzenie w komunikacie jury tegorocznego festiwalu kołobrzeskiego — rej wiedli znowu artyści pochodzący z naszego miasta. Za ich zdrowie spełniłem toast na pofestiwalowym bankiecie urządzonym w prześlicznym, nowo oddanym do użytku hotelu — „Solny", w którym oby za rok mnie zakwaterowano. Oczywiście, w czasie festiwalu.

ANDRZEJ GRUN

OLIMPIADA

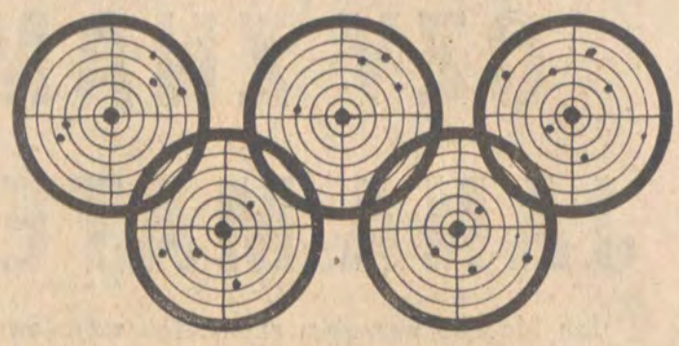

RYSZARD BINKOWSKI

TWARDY

Twardy — junior szedł z kolesiem Mirkiem porą wieczorową na herbatkę do cioci Zosi. Szli sobie wolniutko, wietrzyk wiał, koleś Mirek wietrzał.

— U tej ciotki będzie coś w grzdyl? — zapytał.

— Herbatka z konfiturami i ciastko z dziurką — odparł Twardy — junior.

— To ja wracam. Zwietrzeję po drodze i smutno mi będzie.

— Jak herbatka, to herbatka! — zganił go młodszy Twardy. — Żadnego gazu.

— A może by tak przytankować po drodze? — spytał z nadzieją Mirek.

— O tej porze? Dziesiąta...

Osowiali dowlekli się do dworca. Patrzą, a tu jarzą się cieplutko okna kawiarenki. A do drzwi dobija się nie kto inny, jeno sam Twardy — senior, okrutnie napruty. Wali w szybę i pcha się jak ćma do wodopoju, i bluźni.

— O rany, ojca znowu stuknęło — jęknął z rozpaczą junior Twardy. — Trza go odholować do domu.

Ale zanim doszli na miejsce, stary Twardy wyrwał drzwi wraz z trzymającym je szatniarzem i wbił się jak ułan do szatni. Ściąga ołaszcz i krzyczy:

— Służ, dziadu, władzy, bo mnie popamiętasz!

Szatniarz struchlał. Kłania się i uderza w grzeczne negocjacje.

— Wszystko gra — mówi — ale w tym stanie nie radziłbym wchodzić do lokalu. Do łóżeczka, przy żonce, tegośmego...

Twardy — senior rzucił kapotę na ladę i drze się:

— Numerek!

— Nie dam!

— Jak nie, to nie — warknął stary Twardy. Wciągnął kapotę i mimo protestów szatniarza rzucił się przez salę do bufetu. Twardy — junior z kolesiem Mirkiem pozostali w szatni, bo nie chcieli się rozdziewać. A ponadto Twardy — senior, to była jakaś władza i miał nawet autentyczną legitymację, pomyśleli więc, że bez przeszkód coś złopnie.

— Piwo! — wrzasnął stary na bufetową Lidkę.

— Nie ma.

— Koniak!

— Koniak nie dla pana — nie dała się zbić z tropu dzielna bufetowa. — I won do chałupy.

— A pani wie, kto ja jestem?

— Moczymorda, żeś pan jest! — odpaliła Lidka.

Rozsierdzony i niedopity stary Twardy zwalił się z impetem na niedobitki znużonych gości kawiarnianych, usiłując odjąć im od ust to, co jeszcze zostało w szklankach. Bluźnił przy tym, warcholił, szarpał się i zamierzał komuś podpieprzyć rękawiczkę.

2.

Szefową kawiarni była kobieta, a zastępcą szefa pan Zbyszek, małżonek szefowej. W jego kantorku znajdował się telefon, z którego często telefonowali do Komendy będący na obchodzie funkcjonariusze MO. Tego wieczoru do kantorka wszedł kapral Z., aby przekablować do centrali, że na rewirze wszystko gra.

Ale nie przekablował.

Nie zdjął bowiem jeszcze płaszcza i ledwie zamienił z panem Zbyszkiem dwa słowa, gdy z sali dobiegł go wrzask, ostre kurwowanie i inne słowa, zwane w sądownictwie niecenzuralnymi. Pan Zbyszek wyszedł i jął upraszać szalejącego seniora Twardego, bo to był on, aby grzecznie opuścił lokal, bo się zamyka, skończyło się żłopanie i w ogóle ma być zachowany spokój w porze wieczorowej, a tym bardziej w porządnym lokalu.

— A dmuchnij mi tam, gdzie słonko nie zagląda! — odparł butnie Twardy — senior i rozkraczył się bojowo.

Na taką odzywkę pan Zbyszek użył amatorskiego nelsona i wciągnął Twardego do kantorka.

— Puść go, ajenciaku wszawy, bo gabloty będą w skorupkach! — krzyknął Twardy — junior.

— Cicho, zaraz tu zrobimy manko — uspokoił go koleś Mirek. — Niech wyjdą.

Kapral Z. wylegitymował starego Twardego.

— Nie rób mu pan kolegium — zwrócił się do Zbyszka. — Znam człowieka, on zaraz pójdzie do domu.

I wyprowadził Twardego szepcząc mu łagodnie do ucha:

— Idź spać, Twardy, ja wiem, że ty jesteś władza, ale ja jestem wyższa władza, na służbie, więc dobrze ci radzę...

Chłopaki stali w szatni spokojnie. Kapral wyprowadził starego na ulicę i namierzył w odpowiednim kierunku. Chłopaki dołączyli do Twardego i wydawało się, że w kawiarni przy dworcu zapanuje spokój.

Zapral Z. ujął słuchawkę, kiedy Twardy — senior ponownie wtargnął z rykiem do lokalu, taranując szatniarza. Wobec powyższego kapral do spółki z panem Zbyszkiem zaczęli wyprowadzać go na ulicę.

— No, zjeżdżaj, gnojku — pożegnał go ajent.

— Co za gnojku, tylko nie gnojku! — wystąpił w obronie honoru ojca syn.

Koleś Mirek nic nie powiedział, tylko wyładował sierpem w głowę kaprala Z., któremu spadła czapka. Kiedy funkcjonariusz schylił się po czapkę, Mirek nazwał go synem przez dwa es, wybiegł na ulicę i wrzasnął:

— Przyjdź tu, glino, to się policzymy!

A uciekając dorzucił bohatersko:

— Jak zamkniesz Twardego, to cię zabijemy!

Kapral Z. puścił starego Twardego i rzucił się w pościg. Twardy — junior strzelił w twarz pana Zbyszka. Pan Zbyszek puścił starego, złapał młodego i zaciągnął do kantorka. W kantorku junior skakał mu do oczu, wymachiwał rękami i bluzgał prowokacyjnie, przeto pan Zbyszek dał mu na narkozę raz w żołąd i dwa razy w szczękę. Ale junior Twardy stał twardo i bluźnił.

Po chwili kapral Z. przyholował kolesia Mirka. Zamknięto drzwi na klucz i rozpoczęło wstępne przesłuchanie, które przerwało gwałtowne dobijanie się do drzwi. Dobijał się twardo stary Twardy. Kiedy pan Zbyszek uchylił drzwi, wściekły senior wstawił nogę, huknął ostro, szyby wyleciały, a napastnik wpadł do środka i podniesionym głosem jął wydawać rozkazy:

— Kapral, do mnie! Tego zwolnić — wskazał syna — tego uniewinnić (kolesia Mirka), a tego — złapał za klapy ajenta — zamknąć! Ja dzwonię!

Zadzwonił jednak kapral Z. Radiowóz zabrał Twardych z Mirkiem, a że było to 23 grudnia, wigilię mieli z głowy.

Na Komendzie Twardy — senior krzyczał, że cała milicja może mu wskoczyć na czubek, bo był twardy. Syn jednak okazał się mięczakiem. Oklapł i zabrało go pogotowie. Stwierdzono podwójne złamanie żuchwy, przez co u Twardych zabrakło jednej gęby do żarcia, z czego matka była zadowolona, ponieważ u rzeźnika dostała tylko kilo wołowiny i zamrożnego kurczaka.

Mówi się, że starzy to wapniaki. Tymczasem wapnieje i niewieścieje nam młodzież męska.

Stary Twardy wytrzymał, syn padł.

GDY ŚPIEWA „DAN—POLONIA"...

Przez ostatnie dni lipca w Koszalinie i Słupsku króluje pieśń chóralna. „Królowanie to" związane jest z trwającym tu III Światowym Festiwalem Chórów Polonijnych. Na to święto pieśni do Koszalina zjechały z najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej chóry i zespoły polonijne. Przed miesiącem odwiedziliśmy jeden z nich. Wybór padł na **„Dan — Polonię"** — chór mieszany z Kopenhagi kierowany przez **p. Mariana Czerepaka**, niestrudzonego popularyzatora muzyki polskiej w kraju Wikingów.

Naszą rozmowę przy „małej czarnej" i polskim placku rozpoczynamy od pytania:

— Od jak dawna pracuje pan — zwracam się do p. Mariana Czerepaka — **z tą dość dużą grupą chóralną?**

— Chór „Dan — Polonia", którego jestem założycielem powstał w r. 1970, początkowo jako mały 12-osobowy chórek, który — jak pan widzi — rozrósł się prawie do 40 sób. Od niedawna mamy także tercet żeński. Członkami chóru jak i tercetu są w większości synowie i córki polskich emigrantów rolnych sprzed 60 lat, jak również Polacy pozostali w Danii po II wojnie światowej. Mamy także sporo chórzystów najmłodszego pokolenia urodzonego już tutaj w Danii. Chciałbym dodać, iż poza Polakami występują także w naszym zespole Duńczycy. Np. moja orkiestra składa się wyłącznie z Duńczyków. Ma ona co prawda sporo kłopotów z polskimi mazurkami i kujawiakami, ale efekt końcowy jest dobry.

— Gdzie najczęściej występujecie?

— W czasie minionego 5-lecia większość naszych koncertów odbyła się na terenie Kopenhagi i okolic. Występowaliśmy także na zlotach polonijnych w Naskov, Nastved, Nykobing, Kolding a także w Malmö w Szwecji. Ostatnio na przykład z okazji 50-lecia Związku Polaków w Danii daliśmy specjalny koncert w Nykobing — Falsler na wyspie Lolland. W koncercie tym poza nami wystąpili także polscy artyści m. in. łodzianka Małgorzata Cegiełkówna.

— A repertuar?

— Bazujemy przede wszystkim na przebogatej polskiej twórczości ludowej — odpowiada p. Marian Czerepak. **Ale w naszym programie mamy także ludowe pieśni duńskie i bułgarskie. Właśnie wspomniany wyżej tercet ma ich najwięcej w swoim repertuarze. Być może zdziwi to pana, ale mamy także przygotowany specjalny zestaw pieśni na takie okoliczności jak śluby czy pogrzeby. Musi pan bowiem wiedzieć, że my Polacy tutaj w Danii stanowimy jedną wielką rodzinę i dzielimy wspólnie zarówno radości jak i smutki. Lubimy śpiew, żyjemy nim. Zresztą nie tylko my, chórzyści, ale wszyscy Polacy mieszkający w Danii. Powiadają oni, że gdy śpiewa „Dan — Polonia" to słychać w ich pieśniach polskie słowiki, szum Wisły i szelest mazowieckich wierzb...**

— Spotykamy się dwa razy w tygodniu — kontynuuje naszą rozmowę p. Czerepak — **by wspólnie grać, śpiewać i tańczyć. Ale nie tylko. Nasze spotkania, to także rozmowy o kraju, oglądanie polskich filmów, słuchanie polskich nagrań, dyskusja o polskich książkach. Rozmawiamy tylko po polsku. Chcemy bowiem aby to pokolenie, które urodziło się w Danii dobrze sobie przyswoiło język ich ojców. — Pomagamy także członkom naszych zespołów załatwiać pracę, mieszkanie, ba, nawet kojarzymy małżeństwa! — Słowem „Dan — Polonia" — to jedna wielka rodzina na skandynawskiej ziemi.**

Pora kończyć naszą rozmowę bowiem z sąsiedniej sali dobiegają dźwięki znanej melodii ludowej „Przez wodę koniczki". Rozpoczyna się kolejna próba przygotowana przez **Mariana Czerepaka i Kazimierę Halkier.** Na scenę wkraczają urodziwe dziewczęta w strojach ludowych, a w ślad za nimi podążają tanecznym krokiem „łowickie chłopaki". Program zaprezentowany zostanie na III Światowym Festiwalu Zespołów Polonijnych w Koszalinie.

HENRYK CISKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1242, R-1, I. Nr indeksu 26762.